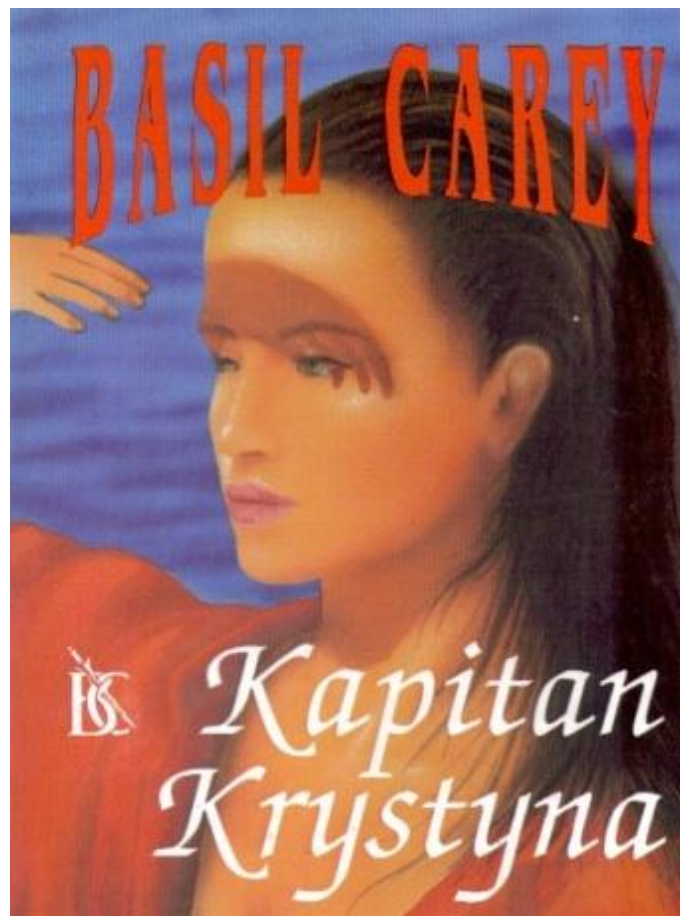




Basil Carey

KAPITAN KRYSTYNA



CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Carroll wykręcił „Meduzę” jeden rumb w prawo.

— Czemu Allen kłamie? — zapytał Blaize'a.

— Allen łże?

— Jasne! Pamiętasz, jak ostatni raz nie było go cztery tygodnie? Mówił, że jeździł za Amanu szukać pereł.

— I co z tego?

— Monty Hawes był na Rapuhi i widział go. Rapuhi leży o siedemset pięćdziesiąt trzy mile na północo-wschód od Amanu. Po jakiego licha Allen tłumaczył się, co robił?

— Obawia się czegoś.

— Właśnie. Pytanie — czego?

Blaize siedział na pokładzie z podkurczonymi nogami, zajęty robotą przy linach. Ponieważ słońce świeciło mu prosto w oczy, przesunął się leniwie w cień grotzągła. Był wielki i silny. W jego ciemnych oczach pojawił się niepokój. Puścił zwój manili.

Allen... Co go obchodzi Allen? Kto by tam wchodził w sprawy tego głupca? Co innego córka Allena. Czy Carroll dużo wie? Czego nie dopowiedział? Blaize rozpiął jeszcze jeden guzik niebieskiej koszuli. Gdy ocierał pot z czoła, morski wiatr targnął jego bujną, czarną czupryną. Na Boga, ależ upał! — Wytarł dłonie o spodnie i znów wziął w ręce linę.

„Meduza” płynęła do Parary z ładunkiem towaru, żeby z powrotem zabrać transport muszli perłowych i kopry. Pędzili życie bezpieczne i leniwe. Długie, jednostajne dni na morzu przeplatały się z wesołymi postojami w portach. Już od trzech lat „Meduza” kursowała między Amanu i Pararą. Blaize mocował się zaciekle z liną. Co to za życie — spokojne, nudne... Wprzęgli się w nie obaj i gniją!

Wstał nerwowo i poszedł do stojącego przy sterze Carrolla.

— Wiatr się zrywa — zauważył ten ostatni. — Nie dziwiłbym się, gdybyśmy przybili do Parary zmoczeni do nitki.

— Słuchaj no... — zaczął Blaize i urwał. Carroll rzucił okiem na jego wzburzoną twarz.

— Co takiego?

— Zbrzydło mi wożenie towarów — rzekł Blaize ni z tego, ni z owego. — Jakie my mamy życie? Co my robimy? Tłuczemy się od Parary do Amanu i tyle. Mam tego dosyć.

Carroll bacznie mu się przyglądał.

— O co ci chodzi? Co cię ukąsiło, Blaize? Jeżeli masz dosyć Parary, to możemy się wynająć na miejsce Hoopera na Makateę. On chce odejść.

Blaize nie odpowiedział.

— Ja wiem, co ci jest — dodał Carroll. — Ty także wiesz, tylko nie chcesz się przyznać.

— O? — rzucił chłodno Blaize.

— Tak, tak. Robota ci dojadła, masz wszystkiego dosyć. A ja swoje wiem. Przyczyną każdej biedy jest kobieta i już.

— Nie bądź dowcipny.

Nie patrząc na przyjaciela Carroll mówił dalej:

— Daj temu spokój. Ona by ci nie dała szczęścia i zresztą nie chciałaby cię. Czy sam nie widzisz?... Allen to niewyraźny facet. Nie lubisz go, nie masz do niego zaufania, to co się będziesz dobijał o jego córkę?

— Wcale o niej nie myślę.

— Sądzisz, że jestem ślepy?

— Mylisz się. Nie dbam o nią.

— Gdyby nie ona — ciągnął powoli Carroll — Nie żeglowałbyś między Amanu i Pararą. Żeby tylko jeździć na Pararę... Tak, tak...

Zamilkł widząc wyraz oczu przyjaciela. W milczeniu sterował na wschód, trzymając kurs na Pararę. Było południe i bezlitosne słońce paliło statek żywym ogniem. Kanakowie* siedzieli cicho, tylko majtek wykrzykiwał śpiewnie z wysokości bocianiego gniazda. Carroll milczał, ale myśli nie dawały mu spokoju. Martwił się o Blaize'a.

*** Kanakowie — plemiona tubylcze zamieszkujące rejon północnej Polinezji.**

Spoglądał na niego spod oka. Blaize czyścił fajkę. Skąd mu się bierze to gorzkie zacięcie ust? Co znaczą te humory, rozdrażnienie, przekora? Niedaleko szukać przyczyny. Nie dalej niż na Pararze. Piwne oczy Carrolla przybrały ostry wyraz; pomyślał przez chwilę o Allenie. Co też on knuje i jeżeli macza w czymś palce, to czy jego córka jest w to wmieszana?

— Ja teraz stanę przy sterze — odezwał się niespodziewanie Blaize. Przeszedł przez pokład i przez chwilę stali obok siebie. Stanowili wręcz odmienne typy. Carroll był o pół głowy niższy od Blaize'a. Jakkolwiek starszy, wyglądał młodziej dzięki jasnej cerze i włosom, wysmukłości i złudnie łagodnej twarzy. Nikt go nigdy nie zaczepił dwa razy. Kto zaś potrafił go przejrzeć od razu, z

miejsca dawał spokój. W porównaniu z nim towarzysz, przy sześciu stopach wzrostu, wydawał się jeszcze wyższy. Blaize miał śniadą cerę i niesforną, czarną czuprynę, co mu nadawało wygląd zdecydowanie groźny. Obcy ludzie brali mylnie Blaize'a za daleko niebezpieczniejszego.

— Powinniśmy osiągnąć Pararę o zachodzie słońca — rzekł Blaize.

Carroll skinął głową.

— Tak. Co tam Poawa pitrasi? Smacznie pachnie. Już odchodził, gdy Blaize go zatrzymał.

— Chodź no. Posłuchaj. Mówiłeś o Allenie.

— No?

— Ja w tym nie widzę nic takiego.

— Gdyby chodziło o kogo innego tobyś widział.

— Bzdury! Dlaczego nie miał pojechać na Rapuhi?

— Pewnie, że to jego sprawa, ale dlaczego się z tym kryje?

— Jego interes.

— Ano, jego — przytaknął z drażniącą obojętnością Carroll.

— Powtórz dokładnie, co mówił Monty Hawes?

— Mówił, że był akurat w szynku Prouta na Rapuhi, gdy wszedł Allen. Allen go nie widział, bo był ścisk. Monty nie zwróciłby uwagi, ale usłyszał, jak Allen mówił głośno, że jeździł za Amanu po perły.

— Czy Monty snuł jakieś domysły?

— Nie. To spokojny człowiek. Nie lubi mącić wody.

— Rapuhi... Dlaczego Allen chciał to zachować w tajemnicy?

— Ba! dlaczego' zawsze się kryje ze wszystkim? Nikt nie wie, co on za jeden. Nikt nie wie, skąd przybył na te wyspy. Albo — czym się zajmuje? Handluje koprą? Sam dobrze wiesz, że koprę przewozi dla niepoznaki, dla zamydlenia ludziom oczu. Wybudował dom na Pararze i żyje sam, tylko córkę trzyma przy sobie. Czy się ukrywa? Czy boi się kogoś lub czegoś? Nie wiadomo. Nikt nie wie. Schodzimy mu z drogi, bo wiemy, że z nim ciężko dojść do ładu.

— Ciężko! — Blaize ujął za ster. — Ano, właśnie. Kłótniwy dureń i tyle. W zeszłym roku złamał rękę Simpsonowi. Chłopak coś tam głupio powiedział, a ten go o ziemię.

— Zabijaka — rzekł z naciskiem Carroll. — Tylko patrzeć, jak się zagalopuje i dostanie kulę w łeb. W taką rodzinę wejść, niech Bóg broni!

— Kto mówi o wejściu w rodzinę?

— Opowiadają — Carroll silił się na obojętność — że Simpson durzył się w Krystynie.

— Kłamstwo! — zaperzył się Blaize. — Czy ona by na niego spojrzała? Taki dzieciuch...

— Jeżeli tak, to szczęście dla chłopca — rzekł uspokajająco Carroll. — Ma temperament po ojcu. Widziałeś ją kiedyś w gniewie? Bo ja widziałem.

— Nie mógłbyś przestać o niej gadać? — rozżłościł się Blaize. — A może ty sam straciłeś głowę?

— Ja? Dla niej? — odrzucił szyderczo Carroll. — O, nie! Wolałbym się zakochać w dzikiej kocicy. Prędzej bym sobie z nią poradził, niż z Krystyną.

Przystąpił o krok bliżej.

— Nie oszukasz mnie, bracie. Powiem ci, że mi to leży na wątrobie. Wolałbym nie wiem co, niż żebyś ty...

— Milcz.

— Nie, powiem wszystko. Obserwowałem cię. Widziałem, jak się jej często przyglądałeś udając obojętność. Ona o tym wie. Będzie cię zwodzić, a potem odepchnie, jak wielu innych.

— Nudzisz — burknął Blaize.

— Wcale nie. Dlaczego nie powiesz otwarcie, jak jest? Nie miałeś zwyczaju kryć się z miłośkami. Nie robiłeś przede mną tajemnicy, gdy chodziło o dziewczynę z Degas.

— Tu cię boli.

Carroll nie odpowiedział. Spostrzegł, że przy tym stanie ducha Blaize'a, nic z niego nie wydobydzie. Podszedł do relingu na rufie i wpatrzył się w smugę spienionej wody. Przepływali koło Paherui, gdzie Kanakowie mają za tabu długoogonowe jaszczurki ze szkarłatnymi łepkami. Tych świętych stworów nie wolno pod żadnym pozorem dotykać czy też krzywdzić.

Przypomniał sobie, jak raz, gdy „Meduza” stała na kotwicy koło tej wyspy, byli świadkami kary, wymierzonej tubylcowi za przetrącenie świętej jaszczurki. W końcu Blaize nie wytrzymał i chociaż odległość była znaczna, dobił nieszczęśnika wystrzałem, tak jak się dobija umęczone zwierzę.

Jakiż on się zrobił nerwowy! Carroll klął w duchu dziewczynę z Parary. Nie mogła zostawić go w spokoju? Na wyspie wszyscy o niej mówią, wszyscy za nią wariują. Czy jej tego nie dosyć? Ale niech się sama zakocha, to zobaczy. Pozna, czego narobiła nieborakom, którzy nie sypiają przez nią po nocach. Przysporzyła też kłopotu Carrollowi. Myślał ze złością, jak bardzo ta miłość zmieniła Blaize'a. Co on w niej widzi, do ciężkiego licha? I po co za nią łązi, kiedy wie, że jest jej najzupełniej obojętny?

Wszystko przez próżność — Carroll splunął. Krystyna, jak to kobieta, szczęśliwa jeżeli może wodzić kogoś za nos. Biedny Blaize! Ale może byłoby

jeszcze gorzej, gdyby zyskał wzajemność. Carroll i Krystyna nie pomieściliby się na jednym statku. Siedmioletnia przyjaźń, która przetrwała upały, nudę i kłótnie, wzięłaby w łeb.

Carroll zszedł na dół i krzyknął na Poawę, żeby przyniosł jedzenie. Boy zjawił się biegiem, niosąc wysoko w prawej ręce odrapany emaliowany półmisek.

— O, Keruri, kai-kai* co być wyborna. Zrobić sama jam, sama ryż!

* Kai-kai — jedzenie.

Odkrył z dumą smakowicie pachnącą siekanekę z solonej wołowiny, ryżu, jamu i resztek kościstej kury, zaprawioną obficie pieprzem i odrobinę czosnkiem. Carroll zabrał się z apetytem do jedzenia, podczas gdy Poawa stał nad nim z rękami założonymi na piersiach, z uśmiechem zadowolenia na ustach, niby artysta, którego chefd'oeuvre znalazło należyłą ocenę.

— Może ona statek przybyć do Parara w jedna dzień dziś? — zauważył tonem pogawędki. — Długo zostać.

— Dzień, dwa. Niedługo. Poawie twarz się wyciągnęła.

— Mnóstwo dziewczęta na Parara — rzekł. — Poawa lubić mnóstwo dziewczęta. Długo być na Parara.

— Rozpustniku — rzekł surowo Carroll. — Tylko pozwalaj sobie za wiele, to zobaczysz!

Poawa przestąpił niespokojnie z nogi na nogę. Umilkł i niebawem odszedł z pustym półmiskiem do kambuza, cichy i zgaszony.

Dzień upływał powoli. Pod wieczór majtek z bocianiego gniazda wrzasnął:

— O, Keruri, widzieć ona Parara daleko, daleko!

Wiatr osłabł i Blaize rozpiął więcej żagli, żeby złapać nieco bryzy. Obserwując go Carroll myślał:

— Śpieszy mu się na ląd. Nie uspokoi się, póki jej nie zobaczy. Dałby Bóg, żeby ją Allen zabrał ze sobą.

Ale przypomniał sobie, że Allen miał jechać na Makateę po koprę dopiero po dwudziestym czwartym.

Słońce zsuwało się w szkarłatne morze. Światła portowe mrugały jak gwiazdy na niebie. Parara, ciemniejąca na tle nieba, rosła w oczach. Już było słyhać ryk bałwanów tłukących o rafy. Na wodzie migotały dwa światełka. Allen kazał umieścić z obu stron wejścia pływające boje. On również, żeby stworzyć sztuczne wejście do laguny, kazał wysadzić wyrwę w koralowej rafie. Co dzień o zachodzie słońca Kanak brał czółno i płynął zakładać latarnie na bojach. To urządzenie zapewniało statkom bezpieczne wejście do portu, z wyjątkiem bardzo burzliwych dni. Owe światła znane były od Degas do Amanu jako Oczy Allena.

Carroll przeprowadził zręcznie „Meduzę” koło rozłożystych raf i wprowadził bezpiecznie na spokojne wody laguny. Plusnęło, łańcuch kotwiczny zjechał po burcie, gwiazdzista woda zmarszczyła się w drobne fale. Blaize krzyknął na Kanaków, żeby spuszczała szalupę. Sześć par rąk wykonało z pośpiechem rozkaz.

— Co się tak śpieszysz? — sarknął Carroll. — Nie możesz poczekać?

— Niech cię diabli! — zaklął Blaize. — Mam tu siedzieć całą noc?

Carroll wzruszył ramionami.

— Czyj to statek? — zapytał nagle. Blaize spojrział bystro.

— Tam — widzisz? Za tym bliższym. Coś mi się wydaje znajomy!

Blaize stał jak wrośnięty w pokład. Zapomniał o pośpiechu.

— Znajomy? — powtórzył. — Chyba tak. Ciemno, ale można poznać.

— No? — rzucił pytająco Carroll.

Ale wiedział już, jaka będzie odpowiedź.

— To „San Juan” — rzekł wolno Blaize. — Treherne musi być w porcie.

Rozdział drugi

Dom Allena stał z dala od brzegu, wśród lasu palm. Wzniesiony rękami Kanaków, przypominał styl meksykańskich domów z niewypalanej cegły. Tak chciał Allen. Tylne okna wychodziły na wewnętrzny dziedziniec w kształcie prostokąta. Wchodziło się przez żelazną bramę od strony morza. W zewnętrznej ścianie ciemniały dwie wąskie szczeliny obserwacyjne. Allen sprowadził do pomocy Kanakom chińskich robotników z Amanu. Pamiątką po tych ostatnich były dziwne, rzeźbione oblicza, wystające ze ścian i węglów w najbardziej niespodziewanych miejscach.

Allen siedział przed bramą na wielkim, niezgrabnym drewnianym krześle, które tu zawsze stało dla jego wygody, pochodziło zaś z rozbitego okrętu, wyrzuconego przez morze na rafy. Allen nie wiedział, że pochodziło ze złupionego klasztoru w nadbrzeżnym miasteczku na południe od Buenos Aires. Nie wiedział również, że wyszło z warsztatu stolarskiego trzysta lat przedtem w Padwie. Ale gdyby nawet wiedział, byłoby mu wszystko jedno.

Siedział w niedbalej pozie, przygarbiony, z długimi nogami wyciągniętymi przed siebie. Kurząc ordynarny tytoń, który śmierdział na milę, przeczesywał od czasu do czasu ręką siwą czuprynę i ani na chwilę nie spuszczał oczu ze świateł na statku Treherne'a. Widząc go tak spokojnego nikt by nie zgadł, jak się w nim serce tłukło. Nawet Krystyna, która właśnie wyszła z bramy z rękami w kieszeniach, spostrzegła, że coś się święci, dopiero gdy się odezwał.

— Gdzie chłopcy, Krystyno?

— Jedzą kolację — odpowiedziała zwięźle. — Co ci jest? Allen nieczęsto okłamywał córkę, ale teraz to zrobił.

— Nic. Głowa mnie trochę boli. Ta whisky, cośmy przywieźli, nie jest najlepsza.

— Statek przybija — oznajmiła Krystyna — Pewnie „Meduza”.

— Krystyno — zaczął Allen i urwał.

— Co takiego?

— Ten Blaize... Co o nim myślisz?

— Niezły — odpowiedziała. — Dlaczego pytasz?

— Dobry zapaśnik — orzekł Allen. — Ten drugi, Carroll, swoją drogą mądry chłopak.

Skinęła głową.

— Niech przyjdą na kolację. Poślij po nich.

— To sam nie pójdziesz? — zdziwiła się.

— Dziś nie.

— Coś się stało — rzekła niespokojnie. Czuję w powietrzu coś niedobrego. Na pewno nic ci nie jest?

— Nie, nic.

Odeszła do domu. Słyszał jej dźwięczny głos, gdy wyprawiała Huata-atę do portu. Wstał z krzesła. Może jednak nic nie będzie. Może nie ma się czego bać. Ale miał tak silne przeczucie bliskiego nieszczęścia, że — wiedział to dobrze — nie mógł się dłużej łudzić. Czyżby wybiła jego ostatnia godzina? Znow zwrócił oczy na światła na statku Treherne'a.

Tak zapatrzonego zastała go córka. Od laguny doleciał słaby brzęk łańcucha kotwicznego.

— Posłałam Huata-atę. Powie im, żeby zaraz przyszli. Może kazać Mori zabić jeszcze dwie sztuki drobiu?

— Rób, co chcesz.

W głosie Allena było coś takiego, że chwyciła go za ramię.

— Tatusiu, co się stało?

— Dowiemy się, gdy przyjdzie Treherne — odpowiedział ponuro.

— Treherne? Prawda. Dziwne, że jeszcze nie wysiadł na ląd. „San Juan” przybił o trzeciej. Ale ...

— O, daj spokój — przerwał. — Wiesz, dziecko, czasami zastanawiam się, czy nie zaniedbałem twojego wychowania.

— Jak to?

— Mogłaś otrzymać lepsze wykształcenie. Krystyna potrząsnęła głową.

— Ależ ja jestem wykształcona. Czyż nie siedziałam cztery lata w klasztorze na Amanu? Umiem czytać i pisać, znam francuski, potrafię wyliczyć królów angielskich.

— Ja cię także nauczyłem niejednego. Umiesz władać nożem i bronią palną i potrafisz prowadzić statek nie gorzej ode mnie. Tak, rzeczywiście, może jesteś wykształcona. Tylko...

— Co?

— Brakuje ci doświadczenia w miłości.

— Obejdę się.

— Chcesz, czy nie chcesz, będziesz się musiała z tym zetknąć. Chętnych nauczycieli nie zabraknie.

— Niech idą do diabła! — palnęła Krystyna.

— O, pewnie. Co się który w tobie zakocha, to jakby się dostał do piekła.

Zapadło milczenie. Od laguny dolatywał cichy plusk wioseł. Latarnia, podobna do żółtej czereśni, zbliżała się chybotliwie do brzegu. Blaize i Carroll

byli w drodze. Niebawem szalupa wparła się z chrzęstem w piasek. Dały się słyszeć głośne powitania.

— Ojczy — zapytała Krystyna — czy masz jakieś kłopoty z Treherne'em?

— Dlaczego?

— Nie oszukasz mnie. Dlaczego on dziś nie wysiadł? „San Juan” stoi na kotwicy już cztery godziny, a jego nie ma i nie poszedł do portu.

— Czy ci na nim zależy?

— O, nie, nie.

— Całe szczęście — rzekł Allen z pewną gwałtownością. — .Słuchaj, jakby napomykał o naszej... naszej wyprawie do Rapuhi — to nie jeździliśmy. Rozumiesz?

— Dobrze.

— Nie trzeba, żeby się dowiedział — ciągnął gorączkowo Allen. — Jeżeli się dowie, jestem zgubiony. Wiesz, co to za człowiek. Możesz się domyślić, co by zrobił, gdyby zwierzył, że wyprowadziłem go w pole. Rozmawiaj z nim dziś, córuchno, staraj się go zająć rozmową. Blaize i Carroll też będą. O tym on nie wie.

— Skąd pewność, że Treherne przyjdzie wieczorem?

— Przyjdzie — burknął cierpko. — Czuję w kościach, że przyjdzie. Słuchaj, mogłabyś się raz ubrać w suknię.

Odwrócił się i poszedł spadzistą ścieżką na spotkanie nadchodzącym.

Co to jest, że złe przeczucie ogarnęło go i nie opuszcza? Zawsze chełpił się, że nie boi się nikogo. Czyżby wreszcie przyszła kryska na Matyska? I kogo ma się bać? Treherne'a? Dziwnie pomyśleć, żeby się miał bać Treherne'a, którego wspólnikiem był przez pięć lat. Na wyspach nie było człowieka, który chciałby mieć wroga w Treherne — korsarzu i bandycie z „San Juana”!

Z cienia trzech palm rozległ się głos Carrolla:

— Hej! To ty, Allen?

— Ja. Chodźcie. Co słychać?

Ciepłe uściski rąk młodych ludzi rozproszyły złe przeczucia Allena. Witał ich hałaśliwie.

— Co słychać na Amanu? Cieszę się, że was widzę. Co byście powiedzieli, gdybym was zabrał do siebie? Będę wam bardzo rad.

Nie zdawał sobie sprawy z brzmienia swego głosu, który to chrypl, to załamywał się przeraźliwie. Nie widział, że młodzi ludzie idący z boku, bacznie mu się przyglądają. Mówił bez przerwy, nie dawał im dojść do słowa. Księżyc stał na niebie i białe ściany domu jaśniały w blasku jak srebrne. Przy żelaznej bramie czekało dwóch Kanaków. Allen, wchodząc z gośćmi, rzekł:

— Zamknąć bramę!

Przeszli przez sklepione wejście i znaleźli się na dziedzińcu. Lampy już się paliły. Z okien obszernej bawialni, zajmującej połowę parteru, płynęło łagodne światło. W powietrzu unosiły się smakowite zapachy.

— Jezusie! ale jestem głodny! — rzekł Carroll, a Allen idąc przodem, zarechotał.

Pokój był długi i wąski, dwa okna i drzwi wychodziły na dziedziniec. Na chropowatych ścianach wisiały dziwne trofea, zebrane przez gospodarza w wędrówkach po świecie: zatrute dzidy z Wyspy św. Józefa, papuaskie przybranie głowy z prześlicznych żółtych piór, grzechotka i dzwonki jawajskiej tancerki świątynnej. Na podłodze leżało parę mat z trawy. Stół, roboty Kanaków, wspierał się na krzyżakach. Z jednej strony stała ława, u szczytu stołek, na drugim końcu krzesło z wysokim oparciem.

Krystyna czekała na gości w progu. Wyciągnęła rękę. Na surowym tle oświetlonego pokoju wydała się taka wysoka i piękna, że Carroll przystanął oszołomiony. Blaize ją kocha — pomyślał. Czarne, lśniące włosy zaczesane wysoko na głowie, nadawały jej wygląd prawie królewski. Proste, wysmukłe ciało, które twarde wychowanie uzbroiło w siłę i hart, z wdziękiem i swobodą poruszało się pod powłóczystą, umyślnie na tę okazję włożoną suknią.

— Jak się masz, Carroll! — rzekła Krystyna. — Chodźcie prędzej do stołu. Pieczone kurczęta, chłopcy. Blaize, ile złamanych serc zostawiłeś tym razem na Amanu?

Blaize był tak onieśmielony, że oniemiał. Pierwszy raz widział Krystynę w sukni. Na statku ojca i na wyspie nosiła jak chłopak buty i spodnie oraz starą, spiczastą czapkę Allena, pod którą wpychała włosy. Czasami chodziła z rozpuszczonymi włosami.

— Jak... jak się masz? — wyjąkał wreszcie Blaize. Krystyna zaśmiała się głośno.

— Jaki nieśmiały. Tatusiu, to dlatego, że włożyłam suknię.

— Nieźle wyglądasz — pochwalił krytycznie Allen. — Carroll, chodź. Tutaj twoje miejsce. Blaize, ty tu siadaj. Hej, boy, dawaj kai-kai prędko! — zawołał, podnosząc głos.

Wśród Kanaków, czekających po drugiej stronie dziedzińca, wybuchł przeraźliwy jazgot. Wszedł Huata-ata niosąc wysoko półmisek wątróbek z kurcząt, obłożonych plasterkami cytryny. Za nim kroczył boy z talerzami i widelcami. Apetyczne skwierczenie za drzwiami zapowiadało na drugie danie pieczone kurczęta.

Języki się rozwiązały. Allen wydobył butelkę szkockiej. Pod rozbawionym spojrzeniem Krystyny Blaize nabrał nieco pewności siebie. Między mężczyznami wywiązała się rozmowa na temat rekina-żarłacza, który od przeszło tygodnia niepokoił lagunę Rataritari. Podano pieczone kurczęta i Krystyna obsłużyła gości. Blaize umilkł. Patrzył na jej szczupłe, pewne w ruchach ręce.

— Powinni założyć hak — mówił Allen. — Tak, bierze się hak i zakłada przynętę: pół prosiaka. Zapach krwi zwabi każdego rekina.

Ożywił się, gadał z wielkim przejęciem. Po prostu zapomniał o niejasnej trwodze, która gnębiła go przez cały wieczór. Pochłonięty wyjaśnieniami, jak się łapie rekiny, pochylił się nad stołem.

Słowa zamarły mu na ustach. Skamieniał z podniesioną ręką. Ktoś dobijał się do bramy.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział pierwszy

— Kto to może być? — zdziwiła się Krystyna. Allen wstał. Był blady jak trup.

— Co to? — zapytał ostrym głosem Carroll. — Kto to, Allen?

— Treherne — odrzekł wolno Allen. — Czekaście, sam otworzę.

— Treherne? — powtórzył Blaize. — To my z Carrollem powinniśmy się stąd zabierać.

W oczach Allena malował się przeraźliwy strach.

— Nie. Zostańcie. Carroll, zostań. Chcę, żebyś został.

— Treherne nie jest naszym przyjacielem.

— Moim też nie. Skończyło się. Ale ja... Na Boga, Carroll, jakież ja byłem głupi!

Carroll podniósł się.

— Słuchaj, Allen, czy Treherne przychodzi jako przyjaciel?

— Przyszedł mnie zabić — odpowiedział Allen zwracając ku nim posiniąłą twarz. — Mam coś, na co ten człowiek dybie. Ale mu nie oddam. Rozprawiałem się z ludźmi wiele razy; tym razem przegram. Jeżeli chcecie, możecie się śmiać. Wybiła moja godzina.

— Nie mów głupstw, Allen — rzekł szorstko Blaize. — Co masz?

— Ciekawys? Coś, za czym on goni. Zabił człowieka, żeby to zdobyć, a ja mu zabrałem — na Rapuhi. Myślałem, że nie zgadnie, kto mu to zabrał. Boże! jakież ja byłem głupi! Powinienem był przewidzieć, że się domyśli.

Spóźniony gość dobijał się coraz głośniejszym, z coraz większym zniecierpliwieniem.

— Powiedzcie mu, żeby sobie poszedł do diabła! — zawołała Krystyna. Oczy jej miotają groźne błyski. Gniew zarumienił twarz. Energiczna bródka podniosła się wyzywająco. — Kto by sobie coś z niego robił? — krzyczała. — Czego się boisz, ojczy? Nigdy się nie bałeś. Treherne! Któż to jest, żeby wszyscy padali plackiem przed tym człowiekiem? Wpuścić go!

Nim ją zdołano powstrzymać, wypadła z pokoju. Szybkie kroki przebiegły przez dziedziniec. Szczęknęły rygle, zgrzytnął klucz. Usłyszeli jej głos:

— Wchodź, Treherne.

— Carroll — rzekł ochryple Allen — czy staniecie przy mnie? Obaj z Blaize'em. Blaize, staniesz przy mnie?

Blaize skinął głową i sięgnął do rewolweru. Carroll wahał się.

— Nie nasza sprawa, a Treherne celnie strzela.

— Nie chcecie, to niech was wszyscy diabli! — warknął Allen. — Tylko trzymajcie się na uboczu i jak się zacznie, pilnujcie Krystyny.

Na dziedzińcu dały się słyszeć kroki. Obecni jak na komendę obrócili się ku drzwiom.

— Co widzę, przyjęcie — rzekł Treherne.

Wszedł leniwym krokiem i stanął w rozkroku, z rękami w kieszeniach, patrząc na zebranych. Jego ubranie lśniło niepokalaną bielą. Czarne włosy były szesane z czoła. Mimo słusznego wzrostu, wydawał się nieco niższy wskutek przysadzistej budowy, szerokich barów i potężnych ud. Twarz miał silnie opaloną, w uszach ciężkie, złote kolczyki, noszone powszechnie przez żeglarzy. Pomimo kornwalijskiego nazwiska wyglądał prawie na Hiszpana lub Włocha. Zresztą chodziły słuchy, że miał romańską krew. Czarne oczy patrzyły uważnie. Ale cały wyraz twarzy skupiał się w ponurym, gorzkim grymasie ust, na których uśmiech gościł nader rzadko.

— Prawdziwe przyjęcie — powtórzył. — Jak się masz, Blaize? Dobry wieczór, Allen!

Na Carrolla spojrział, jakby go nie widział. Allen i Balize odpowiedzieli chłodnym pozdrowieniem. Krystynie wyrwało się beztrasko:

— To jest Carroll. Pewnie się nie znacie. Carroll zaczerwienił się z wściekłości.

— Owszem, znamy się — odpowiedział i wykręcił się na pięcie.

Krystyna spojrzała nie rozumiejąc.

— Żeglowaliśmy razem przed laty — rzekł wolno Treherne. — Widzę, że nie zapomniał.

W pokoju zapadła cisza. Po chwili Allen zagadał nerwowo, że trzeba usiąść do stołu. Służba niosła już dla nowo przybyłego gorące danie. Gospodarz nalał whisky wyraźnie pewną ręką i goście zajęli po kolei miejsca. Treherne silił się na humor. Mówił rozwlekłym, niskim głosem, dobierając słów z pedantyczną starannością. Światło odbijało się w kolczykach, które za każdym zwrotem czarnej głowy miotaly złote błyski. Krystyna przysłuchiwała się z pewnym zaciekawieniem opowieści o połowie pereł na Houtenach, jednocześnie obserwując zdenerwowanego ojca, zaciętego Blaize'a i na pozór obojętnego Carrolla. Czy ci dwaj pośpieszą z pomocą? Ogarnął ją strach.

— ... nagroda była zasłużona, co, panno Krystyno? — Ba! żeby się nam wszystkim dostawało w udziale to, na co zasługujemy!

Treherne spojrział na Allena i uwagi Krystyny nie uszło, że ojciec zacisnął pięści.

— No, Allen? — mówił gruby głos. — Na przykład ja albo ty, a zwłaszcza ty. Jeżeliby się tobie dostało to, na co zasługujesz ...

Urwał.

— To co? — zgrzytnął Allen.

— To zawisłbyś na stryczku — dokończył spokojnie Treherne.

Allen skoczył na równe nogi, lecz nie zdążył powstrzymać córki. Krystyna chlasnęła gościa w twarz. Oczy jej gorzały jak pochodnie. Trzęsa się z wściekłości, że ktoś śmiał znieważać jej ojca. Treherne zbladł, a potem zrobił się purpurowy. Nie zasłonił się, nawet nie wstał. Odezwał się tylko i słowa jego padały w ciszę jak gładkie kamyki:

— Kiedyś będziesz mnie błagała na kolanach, żebym ci to zapomniał.

— Treherne! — zagrmiał Allen i obszedłszy stół, stanął obok wroga. — Po co przyszedłeś? — zapytał głosem, któremu daremnie starał się nadać zwyczajne, obojętne brzmienie.

Treherne wzruszył ramionami.

— Sam wiesz — odpowiedział spokojnie.

Krystyna przysunęła się bliżej. Blaize dopadł do niej dwoma krokami i bez słowa chwycił za ręce, wykręcając je ostrożnie w tył, ku sobie. Szarpnęła się niecierpliwie. Ale równie dobrze mogłaby próbować strząsnąć kajdany. Wściekła, lecz bezsilna, stała przykuta do miejsca.

— Po co przyszedłeś? — pytał Allen. Usta mu drżały, twarz dziwnie się kurczyła.

— Masz coś, co mi jest potrzebne.

— Ja? Co takiego?

— Nie oszukasz mnie. Byłeś wtedy na Rapuhi. Wiem. Dziesięć tygodni temu. Ale trzeba było czasu, zanim się upewniłem. Rozmawiałem z Hunterem i z Mastersem.

Tu Treherne odwrócił się twarzą do Allena.

— Widziałem się także z Henrykiem Rice'em. Z Henrykiem Rice'em! No, to przypadło.

— Upewniłem się — ciągnął Treherne. — Sprawa była trudna. Najwięcej kłopotu miałem z Henrykiem. — Wzdrygnął się. — Ale powiedział wszystko. On był czwarty z szajki, co? Poznałem go po rękach, jak mnie obmacywał. Wiecie, to dziwne uczucie — taka macająca ręka bez dwóch palców. Doświadczyłeś kiedyś tego?

Wstał i kręcił się w miejscu, krok w tę stronę, krok w tamtą, jakby nie mógł wytrzymać tyłu badawczo wlepionych w siebie wrogich spojrzeń.

— Dalej, Allen. Wiem, że to masz. Dobrze zapłaciłeś ludziom, ale widocznie za mało.

— Ja tego nie mam. Treherne'a opuściła zimna krew.

— Łgarzu! — krzyknął. — To moje. Oddawaj!

— Prędzej skonam!

Stali zwrócenii do siebie twarzami, pochłonięci sobą, zupełnie nie zauważając reszty obecnych. Carroll zbladł. Córka Allena usiłowała się uwolnić, włosy opadły jej na zaczerwienione policzki, naprężone ciało rwało się do walki. Bo zanosilo się na walkę. Raz się obejrzała i Blaize'owi dostało się piorunujące spojrzenie. Odparł je milczeniem. Lecz gdy, potrząsnawszy wyniośle głową, odwróciła oczy, zdjęła go gwałtowna chęć porwania jej w ramiona i uniesienia w bezpieczne miejsce, z dala od burdy, która musiała skończyć się nieszczęściem.

Treherne kołysał się na nogach. Oczy mu płonęły.

— Ukradłeś, Allen. Oddawaj, złodzieju!

— Ukradłem? Ano, ukradłem. A ty — skąd to miałeś? Odpowiadaj. Skąd?

— To moja sprawa.

— Ja ci powiem, skąd. Zabrałeś umarłemu. Treherne zacisnął pięść.

— Kłamstwo!

— O, nie! Zabiłeś Andy'ego Petersa u Jeffersona, żeby mu to zabrać.

— Nie potrafisz tego udowodnić. Niepotrzebnie się rzucasz!

— Udowodnić? Andy Peters to miał. Po jego śmierci znalazło się w twoich rękach. Znaleźli go na jego własnej plantacji, przebitego nożem. Jeżeli tyś go nie zabił, to wiesz, kto to zrobił.

— Nie wiem.

Treherne zrobił krok w tył. Oczy miał straszne. Carroll, który go bacznie obserwował, wyczytał w nich determinację. Obeznany z taktyką Treherne'a, sięgnął do rewolweru. Treherne to widział.

— Ty się w to nie mieszaj, Carroll. Nie twój interes.

Nie spuszczał oczu z twarzy Allena. Wrogi nastrój nie odbierał mu pewności siebie. Allen — ta świnią! — Allen wie, że wybiła jego godzina. Stara się zyskać na czasie, odwlec chwilę starcia. Zbyt wystraszony, żeby mógł być niebezpieczny. Treherne nie bał się Allena. — Czy ten czarny, Blaize, strzeli? Nie, musi pilnować dziewczyny. A Carroll — Carroll mimo zuchwałej odwagi nie wda się w awanturę przez szczególną lojalność, której się nie wyzbył od czasu, gdy żeglowali na „San Juanie” jako wspólnicy. Mózg Treherne'a pracował błyskawicznie. Ostrożnie, ostrożnie! — mówił ostrzegawczy głos. — Powoli!

Wzruszył ramionami i wrócił do stołu. Wychyliwszy szklanekę z nie dopitą, rozwodnioną whisky, usiadł na swoim miejscu. Był panem sytuacji.

— Ech — rzekł z rezygnacją — niepotrzebnie się kłócimy. Siadaj, Allen. Pogadamy.

Zmiana w zachowaniu groźnego gościa spowodowała nieznaczne odprężenie. Blaize puścił Krystynę, która zaczęła rozcierać ręce, wykrzykując, że porobił jej siniaki. Treherne obserwował ją niepostrzeżenie.

— Co tu jest do gadania? — zawarczał Allen.

— O, dużo — odpowiedział Treherne. — Na przykład, co się tyczy kopry — sprzedałem w ostatnim miesiącu na Makatei z dwa razy większym zyskiem, niż można się było spodziewać.

Allen usiadł powoli.

— Naprawdę? Więc Howard cię posłuchał?

— Mógłbym to lepiej wyjaśnić bez świadków — rzekł gładko Treherne. — Ale rozumie się, goście...

— Nie ruszą się stąd — wtrącił Carroll od drzwi, gdzie stanął jak na warcie. — Słuchaj, Allen, z Treherne'em skończyłem siedem lat temu i nie zamierzam zaczynać z nim na nowo. Jeżeli masz choć trochę rozumu, to wyrzuć go. Czy nie widzisz, że chce zostać z tobą sam? Nie masz co na mnie łypać, Treherne. My się znamy. Wszystko mi jedno, o co idzie i kto zawinił.

Wstąpił w krąg światła lampy.

— Precz stąd — rzekł do Treherne'a. — Przyszedłeś zrobić burdę. Zrobiłeś, to się wynoś!

Treherne postawił z brzękiem szklanek.

— Wyjdę, jak dostanę to, po co przyszedłem. Ty, głupi smarkaczu, sam nie wiesz, w co się mieszasz.

Nagle Allen stracił głowę.

Pochylił się w przód, oparł na stole tłuste ręce, wyciągnął szyję. Twarz miał udręczoną. Od szeregu tygodni żył w strachu. Krystynie wydało się, że ojciec dziwnie w jednej chwili się postarzał. Zobaczyła, że nachyla się do Treherne'a a sięga ukradkiem do pasa...

— Tak, tak, wynoś się! — zakrzyczał przeraźliwie, choć głos mu się załamywał. — Precz z mego domu! Wynoś się! Mam cię dosyć. Jesteś pies, kanalia, śmierdziel! Niech cię wszyscy diabli.

Tchu mu brakowało, ręce się trzęsły. Na próżno usiłował się opanować. To już nie był dawny Allen z „Kulika”. Stał się zwierzyną, na którą zapolował Treherne.

— Skończmy z tym, Allen. Słuchaj. Albo mi oddasz to, po co przyszedłem, albo... — Treherne nie dokończył, bo Krystyna przerwała mu ostro:

— Albo co?

Treherne obrócił się w jej stronę. Spotkali się oczami i w Krystynie zamarło serce.

Wiesz, dlaczego twój ojciec dwadzieścia lat mieszka na tych wyspach? Dlaczego zabrał cię tu z sobą prawie niemowlęciem? Nie wiesz. Nikt nie wie oprócz mnie i Henryka Rice'a.

— To Rice ci... — jęknął Allen.

— Powiedział mi. Zmusiłem go, żeby mi wszystko powiedział, nie tylko o Rapuhi. Rozumiesz? Wszystko.

Allen nie mógł dobyć głosu. Ręka, macająca kolbę rewolweru, opadła bezsilnie wzdłuż boku. Osunął się w krzesło. Głowa spoczęła na wyciągniętym ramieniu.

— Uczciwi ludzie nie chcieliby cię znać — ciągnął Treherne. — Myślisz, że Blaize by na ciebie spojrział? Albo córka? Córka nie wie, dlaczego nie chcesz jechać do Anglii? Nie. Tylko my trzej wiemy, ty, ja i Henryk Rice.

— Szantaż — chrypiał Allen. — Szantaż!

— To i co z tego? Oddasz mi to, czego żądam i nie będzie żadnego gadania.

Allen zerwał się z krzesła.

— Wszystko mi jedno! — wybuchnął. — Nie oddam. Tak, mam, ale nie oddam. Na Boga! Nie oddam!

Treherne uśmiechał się.

— Zostawiam ci czas do jutra, do wieczora. Będę tu o szóstej. Albo mi dasz to, czego żądam, albo ogłoszę światu to, co mi powiedział Rice. Córka dowie się pierwsza.

Odwrócił się i wyszedł.

Rozdział drugi

Krystyna podeszła do ojca, skulonego na krześle. Ze wszystkich czworga ona zachowała najwięcej zimnej krwi. Gwałtowny gniew na Treherne'a zobojętnił ją na jego pogroźki. Prawie nie słuchała, co mówił. Chciałaby się na niego rzucić i bić, bić, bić silnymi pięściami. Stała nad ojcem jak rozjuszona tygrysica, z twarzą w ogniu, z ustami wzgardliwie drgającymi.

— Dlaczego nie położyłeś go trupem? Gdyby mnie ktoś powiedział coś podobnego, już by nie żył. Co ci się stało? A wy — wykręciła się porywczo — Carroll... Blaize...! Jak mogliście go wypuścić?

— Cicho, dziecko — rzekł znękany głosem Allen. — Nie wiesz wszystkiego.

— A co mam wiedzieć? Plótł od rzeczy. Cóż on może wiedzieć? Coś ty takiego zrobił przed laty? Czy to może być coś okropnego? Nie! Niemożliwe.

Ale głos ją trochę zawodził. Allen nie mógł odpowiedzieć.

Na Boga! Gdyby usłyszała, dlaczego trzymam się tych zakazanych wysp — przeszło mu przez myśl — nie chciałaby mnie znać. Jakim sposobem ten pies wydusił prawdę z Rice'a? A gdybym zaryzykował... Gdybym wyznał Krystynie...

Nie, nie mógł tego uczynić. Miał ją jedną. Nawet gdyby go zrozumiała, gdyby mu wybaczyła... Zawsze odtąd spoglądałaby na niego z wyrzutem, a gdyby milczała, obawiałby się, że myśli o nim z niechęcią. Treherne miałby mu złamać życie? .

Nalał sobie machinalnie wódki. Gdy stawiał szklanekę, Krystyna zapytała:

— Kiedy Haggerty wraca?

— Jutro wieczorem.

Carroll kręcił się po pokoju. Ze zdenerwowania pociągał za jawańskie dzwonki. Pokój wypełnił się cieniutkim, niesamowitym brzękiem.

— Co ty takiego masz, Allen?

— Coś takiego, że Treherne gotów mnie zabić, żeby to zdobyć. Uderzony tonem Allena, Blaize zapytał ostro:

— Nie oddasz mu, co?

— O czym tu gadać? — Allen wstał, odsunął szklanekę i poszedł do drzwi. — Blaize, Treherne to silny człowiek. Silny jak iiaabel. Gdyby chciał, mógłby mnie stąd wypędzić.

Głos zamarł w ciszy.

— Nie wiedziałem, żeś taki tchórz — mruknął pogardliwie Blaize. Krystyna nasrożyła się.

— Jak ty śmiesz tak mówić? Jak śmiesz ojca nazywać tchórzem? Gdybym ci powiedziała... powiedziała, czego ojciec dokonał ...

Allenowi dech zaparło. Stała śliczna, wysoka, zarumieniona, prosta jak miecz, dobyty w obronie jego czci. Nie, nie mógł ryzykować takiej straty.

— Słuchaj, Allen — rzekł Carroll — ty nie żartujesz? Zamierzasz ustąpić Treherne'owi?

— Tak.

O mało się nie udławił tym słowem, lecz wypluł je wyzywająco. Ano, musi ustąpić. Weźmie w łeb ambitne marzenie, z którym nosił się blisko dwa lata, marzenie, które po Krystynie najwięcej znaczyło w jego życiu. Co to będzie za triumf dla Treherne'a! Allen zobaczył siebie, jak oddaje pakiecik z tajemnym skarbem, a ten chwyta go chciwymi palcami, z uśmiechem okrutnego, złośliwego zadowolenia.

Wyzwać Treherne'a? Zaryzykować wojnę? Treherne rozpuściłby swoją opowieść we wszystkich szynkach na wyspach i większość słuchaczy uwierzyłaby. Choćby na początek podrzywali, starsi zaczęliby myśleć, przywoływać w pamięci stare nazwiska i na pół zapomniane zdarzenia. Dwadzieścia lat. Kawał czasu, ale pamięć ludzka dalej sięga.

A gdyby z tych wspominków złożyła się cała sprawa? Musiałby schodzić ludziom z oczu. Przed dwoma laty w szynku na Makatei słyszał, jak dwaj goście rozmawiali o nim, o jego sprawie. Stary Gaunt i jakiś młody z „Rose Marie”. Allen wszedł dowiedzieć się o nową linię..

— Fortescue? Słyszałem to nazwisko. Pamiętam, jeszcze byłem chłopakiem. Zabił kogoś?

— Tak. Przynajmniej ludzie mówili...

— Nie złapali go?

— Nie. Ale za to złapali innego.

— No, i...?

— Osadzili i powiesili.

— Powiesili niewinnego?

— Ano, tak. Fortescue musiał się urodzić, jak Pan Bóg miał wolny dzień. Podłe nasienie! Hej, Marty, jeszcze jeden rum. Serwus, Allen! Co słyszać?

Z oddali dwóch lat Allen słyszał w odpowiedzi swój słaby głos.

Gwiazdy świeciły jasno nad małym dziedzińcem. Cztery drzewa pomarańczowe, posadzone w rogach, chwiały się na wietrze. Wszedł z gołą głową, ochłodzić rozpaloną twarz.

W pokoju panowało milczenie. Pierwszy ochłonął Carroll.

— Mamy zostać, Krystyno? Treherne może wrócić. Potrząsnęła głową. Była upiornie blada.

— Nie — powiedziała znękanym głosem. — Dziękuję. Możecie iść. Zdaje mi się, że ojciec będzie wolał zostać sam.

Carroll zawahał się.

— Jesteś pewna?

— Tak.

Wyszli i minęli Allena, który puścił ich bez słowa. Żelazna brama zamknęła się z hałasem. Zaspany boy przybiegł przekręcić klucz. Wiatr omiatał wyżynę chłodnymi powiewami, przesyconymi wonią morza. Blaize odetchnął pełną piersią.

— To typ! Co on takiego ma, że Treherne na to dybie?

— Nie wiem. Ale cokolwiek by to było, Treherne mu odbierze.

— Skąd ta pewność?

— Żeglowałem z nim — rzekł krótko Carroll.

— Zawsze byłem ciekawy, dlaczegoście się rozstali?

— Dużo zniosę — padła powolna odpowiedź — ale morderstwa — nie.

Blaize więcej nie nalegał. Znał już tę niechęć do wynurzeń, gdy chodziło o Treherne'a. Carroll z własnej woli nigdy nie wspominał o tych dawnych czasach. Że się nienawidzili z Treherne'em okazało się przy spotkaniu.

Szli w milczeniu. Gdy port ukazał się ich oczom, stanęli jak wryci. W ciszy nocnej rozległo się trzeszczenie drewna, na niebie zaś stała złowroga luna. Serca zabiły żeglarzom.

— Statek się pali!

Ruszyli biegiem w okropnej trwodze. Liany owijały im się wkoło nóg, Carroll runął jak długi i stłukł sobie ramię. Blaize wyprzedzając go, pędził na brzeg. Spotkali boya, gnającego do białego domu Allena. Carroll krzyknął pytając, co się stało, ale odpowiedź, ściszone brakiem tchu, rozplynęła się w mroku. Na wybrzeżu migwały w różnych kierunkach ruchome światła. Usłyszeli gwar i krzyki. Naokoło żaglowca uwijały się katamarany ostrożnie omijając niszczące płomienie.

Z ciemności wyskoczyła ku nim czarna postać — Kanak Kariki. Łkając z przerażenia przywarł do ręki Blaize'a. Mówił coś urywanie i niezrozumiale.

— Spokojnie! — ryknął Blaize. — Czy pożar objął cały statek?

— Cała ogień — szlochał Kanak. — Poawa pływać w laguna... cała mokra ... ona statek... ona „Meduza” ... o! Bilase, o! Keruri, ona „Meduza” ...

Odrzucili go i biegli. Za chwilę piasek chrzęścił pod chryżymi stopami. Przepchnęli się nad wodę przez cizbę wrzeszczących Kanaków. Ofiarowano im

trzy katamarany, ale na cóż im się mogły przydać? Już za późno było ratować „Meduzę”. Płomienie wżarły się w deski. Rześki wiatr podrywał je wysoko i rozdmuchiwał. Główny maszt, przepalony do cna, runął. Ogień szalał. Belki i deski pękały z trzaskiem, podobnym do wystrzałów. Z ładowni leciały snopy iskier.

Kanakowie, zawsze bojący się ognia, tracili głowy. Cisnąc się nad wodą murem brązowych ciał, wytrzeszczali z przerażenia oczy. Carroll stał wśród nich i płakał łzami wściekłości. Sam nie wiedział, że klnie. Głos jego, nabrzmiąły rozpaczą, wybijał się nad histeryczny bijący w niebo lament.

Blaize stał obok z pobielającymi wargami i patrzył w milczeniu, jak smukły, śliczny statek ginie w płomieniach.

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział pierwszy

Krystyna nie mogła spać.

Leżała na materacu odkryta, bo zrzuciła z siebie cienki koc. Przez okno zaglądał blady księżyc, świecąc prosto w jej zatroskaną twarz. Uniosła się niecierpliwym ruchem i zgarnawszy z nagich ramion chmurę włosów, skrzyła je w rękach jak powróż.

W żaden sposób nie mogła odgonić obrazu pożaru na przystani. Allen udał się z pośpiechem na brzeg. Poszła za nim do trzech palm na zboczu. Stąd patrzyła, jak statek dopalił się do powierzchni wody. Teraz zadawała sobie uporczywe pytanie, jak się to mogło stać? Kto zaproszył ogień?

Przyszła, myśl, potwornie nieprawdopodobna. Krystyna zachnęła się niecierpliwie. Dlaczego Treherne miałby w tym maczać palce? To, że nienawidził Carrolla, nie mogło być powodem tak haniebnego czynu. Nie, to musiał być wypadek. Swoją drogą dziwny wypadek, zważywszy na to, że na pokładzie pozostał tylko jeden Kanak. Czyżby głupiec majstrował koło ognia w kambuzie?

Krystyna położyła się z rękami nad głową. Jakież ten Blaize ponury! I jak ją mocno trzymał! Gładziła się w zadumie po obolałych rękach. Nie rozumiała, dlaczego Blaize budził w niej instynktowną wrogość. Z Carrollem czuła się swobodna. Mogła z nim gawędzić, żartować, paplać. Blaize co innego. Przez pół wieczora nie otworzył ust. Niby to na nią nie patrzy, a jej aż nieswojo, bo czuje, że jego czarne oczy śledzą każde jej poruszenie.

Dlaczego ojciec tak dziwnie się dziś do niej odzywał? Dlaczego powiedział, że brak jej doświadczenia w miłości? W miłości! Dlaczego mężczyźni uważają, że każda kobieta jest przeznaczona do miłości? Ona żyje już dwadzieścia dwa lata, a nigdy jeszcze serce jej nie zabiło do żadnego mężczyzny. Czy to nastąpi? Czy też uniknie niewoli, upragnionej przez inne kobiety.

Zniecierpliwiona bezsennością, wstała i wyjrzała przez okno. Chłód w nią uderzył, więc narzuciła na ramiona bluzę od pizamy.

— Pewnie już blisko druga — myślała. — Kiedy też ojciec przyjdzie do domu?

Myśl o ojcu sprawiała jej przykrość. Tego wieczora nędznie się spisał. Pierwszy raz za jej pamięci pozwolił się tak potraktować. Jakże się zmienił na twarzy, gdy Treherne zagroził mu wyjawieniem jakiejś tajemnicy! Zbladł jak ściana i szczęka opadła mu tak zabawnie, że Krystyna miała ochotę śmiać się ze

złości. Nigdy nie chciał wspominać swoich przeżyć sprzed przybycia na wyspy i nigdy nie powiedział jej nic o matce.

Co Treherne może wiedzieć? Ale cokolwiek by to było, dla niej nie może mieć znaczenia. Nic na ziemi nie mogłoby osłabić jej miłości do ojca. Allen wychował córkę prawie po męsku. Rozumiejąc, na jakie niebezpieczeństwa jest narażona kobieta zmuszona żyć wśród mężczyzn, nauczył ją traktować ich podejrzliwie i mieć za przyjaciół tylko ludzi wypróbowanych. Zahartował jej duszę na równi z ciałem. W końcu Krystyna wyrobiła sobie wesoły, z lekka cyniczny pogląd na życie: ponieważ wszyscy walczą o byt i ona musi walczyć, jeżeli chce sobie zapewnić miejsce na tych wyspach... Szczęk bramy, ciężkie kroki na dziedzińcu.

— Hej! Ojcie!

Przyszedł i stanął pod jej oknem. Zobaczyła w mroku jego podniesioną twarz niby białawą plamę.

— Już po wszystkim?

— Tak. Na Boga! Chciałem zabrać obu z powrotem, ale nie zgodzili się. Są na wybrzeżu.

— Czy nic się nie da...?

— Gdzież tam! Statek spalił się doszczętnie. Są zrozpaczeni. Carroll odchodzi od zmysłów.

— A Blaize? — zapytała wbrew woli.

— Jak kamień. Nie odpowiadał, gdym do niego zagadywał. Stał i patrzył.

— Może mu wszystko jedno?

Wszystko jedno? O, nie bądź dzieckiem. Gdybyś widziała jego twarz, nie mówiłabyś takich głupstw. Hej! Huata-ata, przynieś coś do jedzenia.

Wszedł do bawialni i ściągnął buty. Huata-ata grzał kawę i krajał zimną wędzonkę. Krystyna zeszła na dół w piżamie i siedząc na wysokim stołku, z którego wdzięcznie zwisały jej rozbujane, długie nogi, przyglądała się, jak ojciec je i pije. — Allen rzucił na nią okiem.

— Treherne był? — zapytała.

— Nie. Może zresztą był, ale go nie widziałem.

— Ciekawe, gdzie mógł siedzieć?

— Najpewniej na „San Juanie”.

— Ojcie?

— Co, dziecko?

— Czego on chciał? Co mu zabrałeś na Rapuhi? Allen kiwnął głową.

— Tak. Słyszałaś, co mówił. Wiesz, na co dybie.

— I dopnie swego?

— Ano, dopnie — rzekł ponuro Allen. — Myśl, co chcesz, córuchno. Tym razem przyparł mnie do muru. Żeby go jasne pioruny!

— Dlaczego tak łatwo ustępujesz? W jaki sposób może mieć cię w rękę? Pewnie coś zmyślił.

— Gniewasz się? Wstyd ci, że ojciec zachował się jak mazgaj i pozwolił sobie nauragać? Trudno!

— On ci grozi. Grozi, że rozgłosi jakąś tajemnicę. Cóż on takiego wie? Nie możesz powiedzieć?

— Nie — odrzekł posepnie. — Nie męcz mnie. To moja sprawa i nikomu nic do tego. Idź się położyć. Już bardzo późno.

Krystyna ześlizgnęła się ze stołka i stanęła nad ojcem.

— Nie znoszę takich tajemnic. Jeżeli nie chcesz powiedzieć, co Treherne takiego wie, to niech się przynajmniej dowiem, dlaczego chce wydobyć od ciebie ten pakiecik i dlaczegoś mu go odebrał?

Allen spojrział na córkę z wahaniem.

— To jest mapka wód naokoło Takunai.

— Takunai? Gdzie to jest?

— Najdalsza, skrajna wyspa z grupy Houtenów. Dostęp diabelnie trudny. Morze zjeżone rafami. Ale można się przebić. Na mapce jest droga.

— Po co by się tam ktoś wyprawiał? Wyspa zamieszкана?

— Białych nie ma.

— A Kanaków?

— Też nie ma.

Allen zdecydował się nagle. Wyjąwszy obłożony w ceratę pakiecik, który chował przy sobie starannie od szeregu tygodni, rozłożył go i rozpostarł na stole, prostując zgięcia drżącymi palcami.

— Widzisz — rzekł. — Teraz posłuchaj ...

Słuchała z uwagą, wpatrując się w szkicowy planik. W miarę postępu opowieści serce biło jej coraz prędezej, coraz prędezej. Allen nie przemilczał niczego. Spowiadał się przed córką z nadziei, ambicji i zamierzeń, z którymi nosił się blisko dwa lata. Gdy umilkł, Krystyna zawołała zdyszczanym głosem:

— I oddasz to Treherne'owi?

— Muszę.

— To najpierw zrób kopię — rzekła prędko. — A może już zrobiłeś?

— Jeszcze nie. Niebezpiecznie mieć w domu taką kopię. A gdyby ktoś znalazł?

Wstał i poszukał papieru i pióra. Papier był zmiętoszony. Pióro zardzewiało.

— Teraz zrobię — rzekł. — Co prawda nie na wiele się to zda. On się przecież domyśli.

— My także możemy się wyprawić, gdy Haggerty wróci na „Kuliku”.

— Treherne by nas zatopił — stęknął Allen. — To szatan. Nie dopuści nikogo do Takunai, choćby się znalazło dwanaście mapek.

— Dlaczego nie wyruszyliśmy miesiąc temu? — pytała Krystyna. — Czemu zmarnowałeś tyle czasu?

— Taka wyprawa wymaga przygotowań. Wyruszymy, gdy Haggerty wróci.

— Po co on jeździł? Nie potrzebował jeździć na Amanu z ładunkiem.

— Toteż nie pojechał. Wysłałem go na Degas.

— Na Degas? Po co?

— Po ludzi, takielunek, narzędzia. Myślisz, że na taką wyprawę wystarczy puszka wędzonki i sześć sążni liny?

— Po co ludzie z Degas?

— Do nurkowania. Świetni nurkowie. Wśród Kanaków rzadko spotkasz równie odważnych jak oni.

— Kiedy wyruszamy? — pytała podniecona. Allen popatrzył na córkę.

— My? Ty nie pojedziesz.

— Ja nie pojedę?

— Nie. Niebezpieczna sprawa. Tupnęła bosą nogą.

— Nigdy' mnie nie zostawiałeś! Nie mogę zostać sama na Par ar ze.

— Wiem. Obmyśliłem sobie, że cię zawiozę na Makateę, do żony Mc Carthy'ego.

— Niech to wszyscy diabli!

— Nie klnij! Jeszcze nie wiem, czy warto ryzykować, bo musielibyśmy gonić Treherne'a.

— Czy to konieczne? Nie oddawaj mapki.

Oparła mu ręce na ramionach zmuszając, by na nią spojrział.

— Ojczy, niech on robi, co chce. Nie daj się zastraszyć.

— Ma mnie w ręku — mruzczał ponuro Allen. — Przypuśćmy, że nie oddam mapki? Przypuśćmy, że skoro Haggerty wróci, uda mi się niepostrzeżenie popłynąć na Takunai. Cóż z tego? Treherne poty by wietrzył, póki by nie trafił na trop „Kulika”. Co tu gadać, zastrzeliłby mnie bez wahania. A nawet gdyby tego nie zrobił, to wie tyle, że zamieniłby mi życie w piekło.

— Cóż on wie?

— O, idź spać — rzekł z irytacją. — Jestem zmordowany jak pies. Rano pogadamy. Idź spać, córuchno.

Zdjęła niechętnie ręce z ojcowskich ramion i poszła ku drzwiom. Na progu obejrzała się. Allen siedział z łokciami opartymi na stole, wpatrzony w mapkę Takunai. Tupiąc bosymi stopami, wróciła do łóżka. W kątach pokoju stały czarne cienie. Zapaliła świecę, która stała na krześle. Migotliwe światło zalało ściany ciepłą jasnością. Krystyna nakryła się kocem i w niespełna pięć minut usnęła.

Na dole Allen szukał atramentu. Musi przerysować mapkę możliwie dokładnie. Mimo obaw i złych przeczuć nie zamierzał ustąpić Treherne'owi bez walki. Jeszcze spróbuje szczęścia. Tak, na Boga! Nie może się zgodzić na to, żeby wszystko było po myśli Treherne'a. Nalał sobie trochę whisky i wypił. Szukał atramentu, ale widział jak przez mgłę. A jest! Biorąc małą buteleczkę, o mało jej nie upuścił. Zatoczył się z powrotem do stołu. Usiadł i wygładził papier.

Długo siedział, wpatrzony w niewyraźne znaki na mapce. Takunai była trudno dostępna. Nie sposób było przedostać się między tymi rafami bez mapy. Wziął pióro i odrapywał daremnie zardzewiały koniec stalówki.

Wrócił myślą do „Meduzy”. Jakaż to strata dla tych ludzi!

Był ogromnie zmęczony. Głowa zaczęła mu się kiwać. Wyprostował się i zanurzył pióro w atramencie. Czas iść spać, ale wpierw musi to załatwić. Tak, wpierw musi to załatwić...

Opuścił głowę na ręce wsparte na stole. Kałamarz wywrócił się i atrament zaczął kapać na podłogę. Nie słyszał. Był znużony, śmiertelnie znużony. Cichy pokój napełnił się głośnym chrapaniem.

Wydało mu się w sennym rojeniu, że stoi pod ścianą i patrzy na siebie, uśpionego na stole. W powietrzu unosiła się groza zbliżającego się niebezpieczeństwa. Chciał ostrzec śpiącego i nie mógł się ruszyć. W pokoju po ścianach przemykał się cień. Cień ten sunął ku nieruchomej postaci. Patrzący wiedział, że to Treherne. Co on robi? O! składa coś pośpiesznie i wpycha do kieszeni. Kradnie to, co Allen skradł jemu...

Allen szarpał się w kleszczach zmory, usiłując się obudzić. Oddech rwał się, przeszedł w jęk. Pięści zacisnęły się kurczowo.

Raptem obudził się i usiadł prosto. Przed nim stał Treherne. Allen nie mógł krzyknąć. Strach dławił mu gardło. Cicha

postać z podniesioną ręką przystępowała coraz bliżej, coraz bliżej, aż trąciła nogą chwiejne krzyżaki. Na ten lekki odgłos Allen oprzytomniał. Wyciągnął instynktownie ramię, żeby powstrzymać spadające ostrze i... nie zdążył.

Rozdział drugi

O świcie Krystyna posłała Huata-ate, żeby sprowadził Carrolla i Blaize'a. Po rozpaczliwych poszukiwaniach znalazł ich w knajpie Schencka. Carroll, skulony na krześle, spał jak zabity. Blaize siedział nad nie dopitą szklanką whisky z oczami wbitymi w przestrzeń. Gdy Huata-ata wykrzyczał swoją wieść, Blaize obudził Carrolla.

— Wstawaj. Wzywają nas.

— Kto?... co?...

— Do Allena. Dalej, czy nie możesz się ruszyć? Nie, cholera, dosyć picia. Chłasz bez opamiętania. Chodź prędko!

I Blaize wypadł z izby, zmierzając wielkimi krokami w kierunku zbocza. Carroll szedł za nim ziewając i mamrocząc, w kapeluszu zepchniętym zawiadaczko na tył głowy. Raptem wzrok jego padł na jeszcze dymiące szczątki „Meduzy”. Poczzerwieniał z wściekłości. Jak się to stało? Jedyne Kanak, który był na pokładzie, przypląnął wplaw do brzegu. Na pytania odpowiadał histerycznie, bez ładu i składu. Może za dnia uda się z niego coś wyciągnąć.

— Hola!

Na zdziwiony głos Carrolla, Blaize odwrócił się.

— Co takiego?

— Treherne zwiął.

Na lagunie ciemniały tylko żalosne szczątki „Meduzy” i gdzieś tam katamarany.

— O, do diabła! — rzekł Blaize i obaj przystanęli, patrząc na wodę. Ale żagli nie było ani śladu.

— Co on sobie myśli?

— Chyba nie wrócił do Allena!

— Blaize, co ty?

— Boy Allena mówił, że jego pan nie żyje.

— Nie żyje?

Bezwiednie ruszyli biegiem. Ogromnymi susami wspinali się po stoku ku białemu domowi, na pół ukrytemu wśród palm. Żelazna brama stała otworem. Obok krzesła Allena siedział w kucki któryś z jego służących zawodząc żalobną pieśń plemienną. Lament rozlegał się w porannym powietrzu ostro i przejmująco, aż drugi głos podjął go z dziedzińca. Czyste głosy podnosiły się i opadały w miarowym rytmie. Dwaj biali wpadli w bramę. Huata-ata czekał.

— O, Bilase, przyjdź prędko, prędko zobaczyć Kerisitini — rzekł błagalnie.

— Kerisitini ona nie chceć kai-kai, ona umrzeć.

Wprowadził ich trwożnie do bawialni. Allen leżał z wyciągniętymi rękami, tak jak upadł, skręcony w bok. Treherne dźgnął go nożem tylko raz, ale to wystarczyło. Allen musiał skonać w jednej chwili. Widok był niemiły. Przyjaciele przystanęli w progach, żeby się opanować i Blaize powiedział gwałtownie:

— Krystyna, wychodź stąd natychmiast!

Stała nad ojcem. W strasznie bladej twarzy ciemniały nienaturalnie wielkie oczy. Wstrząs sparaliżował ją. Stała jak posąg, bez ruchu. Miała na sobie zwykłe codzienne odzienie: niebieską koszulę, białe kortowe spodnie i przerzucone przez ramię białe, fałdziste okrycie. Widocznie alarm Huata-aty zaskoczył ją na ubieraniu.

— Wychodź stąd natychmiast! — powtórzył Blaize. Wątpliwe, czy usłyszała. Podeszedł i dotknął łagodnie jej ramienia. Nie poruszyła się. Chwycił mocniej.

— Chodź stąd, Krystyno.

Była taka blada i cicha, że zląkł się o jej zmysły. Delikatnie, jak kobieta, przeprowadził ją koło stołu i wyciągnął na dwór. Po zastąlej atmosferze pokoju, świeże powietrze uderzyło w nią orzeźwiająco.

Odetchnęła z głębi piersi, jak człowiek, który się budzi. Przyjaciele wymienili spojrzenia i Blaize wyprowadził Krystynę przed żelazną bramę, do krzesła ojca. Posadził ją i oparł o rzeźbioną poręcz. Wyjął butelkę.

— Napij się.

Nie odpowiedziała i nie wyciągnęła ręki. Czekał z gorączkowym niepokojem. Żona Sama Maunarda zachowała się tak samo, gdy przyniesiono szczątki męża, nie dojedzone przez rekina. Dostała pomieszania zmysłów, zwariowała i już. Doktor Mason mówił, że gdyby ją wyrwano z osłupienia, może by do tego nie doszło.

— Krystyna, wypij to natychmiast. Czy słyszysz?

Zwróciła na niego puste spojrzenie, aż mu serce załomotało. Musiał działać szybko, obudzić ją, ocucić, wprowadzić w gniew, wyrwać z oszołomienia, skierować porażoną myśl ku innym rzeczom. Zatkanął flaszkę, schował do kieszeni.

— Rób, co każe! — ryknął, targając ją za uszy.

Twarda piastka wyrznęła go w szczękę. Odparowując z ręczne ciosy, miał ochotę krzyczeć z ulgi. Krystyna walczyła tak, jak ją nauczył ojciec, prawym prostym, umiała stosować świetne tricki lewą i Blaize spostrzegł, że nie pozostaje mu nic więcej, jak bronić się. Krystyna zaczerwieniła się, zwężone oczy patrzyły przytomnie. Carroll, który nadszedł wolno od strony domu, przerażony tak niezwykłym widokiem — rzucił się między walczącą parę.

— Blaize! Krystyno! — rzekł ze zgorzeniem. — Co wy też...

Ale w tej chwili dostał tak dotkliwie w prawe ucho, że zaniechawszy interwencji, cofnął się stropiony. A Blaize podniósł ręce nad głową na znak kapitulacji.

— Daruj, dziewczyno! Dajmy temu spokój. Są ważniejsze sprawy.

Krystyna stanęła nieruchomo, tylko palce drgały jej nerwowo na poręczy krzesła. Przyjaciele obserwowali ją z uwagą. Spodziewali się, że zapłacze i nie zawiedli się. Usta jej zadrgały, nagłym ruchem rzuciła się na krzesło i zaczęła strasznie płakać. Nie próbowali jej uspokajać. Carroll wrócił do domu, a Blaize stanął plecami do płaczącej. Oddałby wszystko, co posiadał, żeby ją wziąć w objęcia, żeby się wypłakała na jego ramieniu.

Po jakiejś chwili usłyszał słaby głos:

— Pożycz mi chustkę. Rzuć.

Nie oglądając się, rzucił przez ramię czerwono-niebieski kwadrat z bawełny. I znów upłynęło parę chwil.

— Już mi dobrze — rzekła. — Gdzie Carroll?

Blaize przystąpił do krzesła. Na widok nabrzmiałej od płaczu twarzy Krystyny ścisnęło go w gardle. Powiedział szorstko:

— W domu. Pójdę po niego.

— Pójdziemy razem.

— Nie. Ty zostań!

Podszedł do bramy i krzyknął na Carrolla. Jasnowłosy żeglarz wyszedł z domu, wycierając ręce w szmatę.

— Co robić?

— Poślij po Schencka i po wszystkich, którzy są na miejscu. Czy nie dziś wypada dzień przyjazdu Hallidaya po zapasy na plantację?

I Huata-ata znów gnał po zboczu na wybrzeże. Ułożono Allena na długim stole w bawialni. Carroll zmył mu własnoręcznie krew z twarzy za pomocą gąbki. Dwaj służący czuwali koło pana, jeden u wezglowia, drugi u nóg. Ich żałobna pieśń dolatywała do uszu Krystyny. Blaize stanął obok niej. Carroll usiadł po marynarsku przy krześle i w dalszym ciągu wycierał ręce.

— Opowiedz nam, jak było — rzekł.

— Zeszłam na dół, a tu Huata-ata przybiegł do mnie — mówiła Krystyna martwym głosem. — Weszłam do pokoju. Ojciec nie żył. Posłałam po was Huata-atę. Nie wiem, czy jest coś więcej do powiedzenia.

— Kto był po naszym odejściu?

— Nikt nie był.

— Jesteś pewna?

— Najpewniejsza. Wysłałam z ojcem z domtł. Ojciec zszedł na wybrzeże. Ja zostałam przy palmach.

— Czy zostawiłaś bramę otwartą?

— Tak. Była otwarta. Nasi ludzie biegli do pożaru.

— To znaczy że przez ten czas, jak ciebie z ojcem nie było, mógł ktoś wejść.

— Chyba tak.

— Wykrztuście wreszcie to nazwisko — zniecierpliwiał się Blaize. — Tylko Treherne mógł to zrobić. Kanalia!

— Po co? Allen zamierzał mu oddać żadaną rzecz i Treherne doskonale to wiedział.

— Krystyno — zapytał Blaize — co twój ojciec takiego miał?

— Mapkę Takunai — rzekła wolno. — Tam gdzieś jest skarb w zatopionym okręcie. Haggerty pojechał na Degas po ludzi i takielunek.

— A więc ojciec miał upatrzony skarb. Jak zdobył tę mapkę? Zasadził się na Treherne'a na Rapuhi z kilkoma innymi?

— Tak. Ale Treherne skradł ją Andy'emu Petersowi. Wiadomo było, że Peters ją miał. Po jego śmierci znikła. Ojciec odgadł, kto ją zagrabił. Kanakowie na Papaluli wydali Treherne'a.

— Rozumiem — rzekł Carroll. — I Treherne chciał odebrać ojcu mapkę.

— Ojciec mówił mi wczoraj wieczorem, że nosił się z tym planem od dwóch lat, od czasu jak usłyszał o skarbie. Ale

Takunai jest niebezpieczna. Pokazał mi również mapkę z zaznaczonymi rafami i prądami naokoło miejsca, gdzie utonął statek.

— Jakim sposobem dowiedział się, że Peters ją miał?

— Mówili o tym w szynku na Makatei. Nikt nie wierzył. Opowiadali, że Peters ma dokładną mapkę. Ale wiadomo było, że to człowiek niespełna rozumu. Wszyscy pokpiwali, tylko ojciec i Treherne się nie śmiali. Potem — pamiętacie? — Peters wyprawił się na połów wielorybów. Nie było go rok z okładem. Wrócił przed kilku miesiącami. Dowiedziawszy się o tym ojciec pojechał na Papalulę. Ale Treherne go uprzedził.

Umilkła. Na wspomnienie ożywionej twarzy ojca pod lampą, łzy wezbrały jej pod powiekami. Carroll powiedział z wahaniem:

— Nie znaleźliśmy żadnej mapki. Na stole było tylko pióro, pusty kałamarz, bo atrament ściekł na podłogę i czysty papier. Pewnie ojciec chciał przerysować mapkę.

Krystyna spojrzała na niego z błyskiem przestachu w oczach.

— Właśnie miał zacząć. Więc nie zdążył?

— Zdaje się.

— Powiem wam, co mnie się zdaje — wtrącił Blaize. — Według mnie Treherne miał wszystko obmyślane co do joty. Głupi byłby, gdyby nie przewidział zamiaru Allena.

— Chcesz powiedzieć, iż ułożył sobie, że wróci i załatwi interes — rzekł Carroll. — Ale jak mógł wiedzieć, że zastanie bramę otwartą.

— A dlaczego była otwarta? — rzucił ochryple Blaize. — Powiedźcie!

— Bo wszyscy wybiegli patrzeć na pożar „Meduzy” — rzekła Krystyna.

— Ale on o tym nie wiedział, co? — ciągnął tym samym zmienionym głosem Blaize. — Czy nie widzicie? Czy nie możecie się połapać? Carroll, głupcze, nie rozumiesz?

Zaciskał pięści, aż żyły na obnażonych przedramionach pęczniały od wysiłku.

— Kto podłożył ogień pod „Meduzę”? Poawa został na pokładzie. Wydrę z niego prawdę. Boi się, kundel, Treherne'a. Wszyscy Kanakowie się go boją. Ale Poawa mnie powie wszystko.

— Myślisz, że to sprawka Treherne'a?

— Tak, zakuty łbie, tak! Treherne wiedział, że będzie popłoch i że to mu pozwoli wśliznąć się do domu pod nieobecność wszystkich i ukryć się do powrotu Allena. Postanowił się zabezpieczyć, żeby prócz niego nikt nie wyprawił się na Takunai. I zastanówcie się. Co jeszcze wiedział? Naturalnie musiał wiedzieć, że statek Allena jeszcze nie wrócił i że w porcie stała jedna jedyna „Meduza”. Jak wam się zdaje, z jaką myślą podpalał „Meduzę”? — niech go ciężka choroba! Powiem wam. Zabezpieczał sobie odwrót.

Śniada twarz Blaize'a poczerwieniała. Wściekłe oczy skierowały się ku dalekiemu widnokręgowi.

— Droga do Takunai otwarta! O to mu chodziło. Na Boga! postawił na swoim!

— To jeszcze nie koniec.

Na dźwięk ostrego głosu Krystyny przyjaciele obrócili się w jej stronę. Stała z podniesioną głową, prosta i wyzywająca.

— Zostawił za sobą dwa trupy — człowieka i statek. Czy myślicie, że ja mu to daruję? Poczekaście, póki Haggerty nie wróci na „Kuliku”. To teraz mój statek... Ojciec go już nie potrzebuje.

Otarła łzy.

— Na pewno nie chciałby, żebym się poddała. Po południu pójdę do Schencka kazać przygotować zapasy. Skoro tylko Haggerty wróci, popłyniemy.

— Tak, statek jest twój, Krystyno — przyznał Carroll — ale nie masz kapitana. Chyba, że wyznaczysz Haggerty'ego.

— Zobaczymy...

CZĘŚĆ CZWARTA

Rozdział pierwszy

Haggerty powracał z wyspy Degas z ludźmi i takielunkiem. Słony wiatr nadymał żagle „Kulika” do twardości bębna. Fale z białymi czubami gnały wściekle jedna za drugą. Haggerty, lawirując przy północno-wschodnim wietrze, klął z humorem.

Stał przy sterze, silne ręce zaciskały się na kole, krępa figura kołysała wraz z rozbujanym pokładem. Krystyna mawiała, że taki tłuszcioch może się nie obawiać utonięcia. Haggerty był istotnie bardzo tęgi, twarz miał gładką, małe, głęboko osadzone piwne oczy i szerokie skóre do śmiechu usta. Ci, co porywali się na niego, zmyleni pozorami, mieli za swoje. Haggerty zamieniał się w walce w wielką, żywą kulę armatnią. Na tak niskiego człowieka miał zdumiewająco długie ręce.

Płynąc na Pararę wyśpiewywał sprośną piosenkę na jakąś dowolną melodię. Morska piana opryskiwała jego nagie ramiona i spływała po palcach strużkami wody. Cieszył się na awanturniczą wyprawę. Cieszył na walkę z Treherne'em. Mocno nie w smak było mu przymierze między tym ostatnim i Allenem. Rad był, gdy się pogryźli. Teraz razem z Allenem mieli wyprzedzić Treherne'a. Haggerty dobrze się wywiązał z polecenia. Wiedział, że stary Allen będzie zadowolony z Kanaków z silnymi płucami, z takielunku, haków i — wielkiego skarbu — skafandra. Ten ostatni udało mu się nabyć za małe pieniądze.

— Ona Parara! — zabrzmiał głos z bocianiego gniazda. — O, Hageriti, ona Parara!

Haggerty chichotał. O zmroku będą w przystani. Napije się z Allenem szkockiej starki za powodzenie wyprawy. Będzie długi, miły, leniwy wieczór, będą fajki i szklanki, będzie Krystyna z czarną lśniącą głową w świetle lampy. Już słyszał siebie, jak opowiada o odbytej podróży, już widział ją zasłuchaną.

No, ale będzie i piekło, jak się dziewczyna dowie, że jej z sobą nie wezmą. Allen zarzekał się, że nie pozwoli córce jechać. Bał się o jej bezpieczeństwo. Haggerty godził się z jego zdaniem. Jeżeliby Treherne zwietrzył, co się święci i wyruszył za nimi, nie obeszloby się bez strzelaniny. Ba! Mogłyby być gorsze rzeczy. Zresztą „Kulik” nie nadawał się dla kobiety. Haggerty wzdychał. Był w wielkiej przyjaźni z Krystyną. Więcej, od pamiętnego dnia, gdy ukończyła dziesięć lat, cieszył się jej serdeczną miłością.

Wbrew ciągłym ostrzeżeniom na pełnym morzu wlaźła na bukszpryt i wisząc w powietrzu, wyśmiewała się z Kanaków, gdy błagali z wielką trwogą o powrót. Ale kołysanie się statku przyprawiło dziewczynkę o zawrót głowy. Błada ze strachu, czepiała się kurczowo drabinki.

Tłusty Haggerty wdrapał się za nią, zniósł bezpiecznie na dół, postawił ostrożnie na pokładzie i tu z miejsca sprawił okrutne lanie. Potem, jak to kobieta, uwielbiała go, nie za to, że ją uratował, lecz dla jego męskiej bezwzględności.

— Tak — rozmyślał Haggerty — będzie piekło, jak mała się dowie, że jej nie weźmiemy.

Wiatr dopisał i o zachodzie „Kulik” wchodził do przystani po złotej toni między Oczami Allena. Na wybrzeżu już zapalono ognie i dziewczęta kanackie snuły się nad wodą grupami, pod ręce, z czerwonymi kwiatami hibiskusa we włosach. Haggerty spojrzał, czy nie ma innych statków, ale laguna była pusta. Zobaczył tylko czarne szczątki „Meduzy”.

— Psiakość — mruknął, przypatrzwszy się wrakowi. — Tylko trochę belek zostało. Ciekaw jestem, co to za statek?

Nie przestając się zastanawiać, krzyknął o szalupę. Kanakowie hisowali* ochoczo i niebawem kil łośdzi uderzył w wodę. Łańcuch kotwiczny zjechał z hałasem, z brzegu zakrzyczały powitalne głosy. Haggerty opuścił się przez burtę w rozkołysaną szalupę, załoga wzięła się do wiosła. Łódź pomknęła po gładkiej wodzie. Szurnęła po żwirze w chwili, gdy słońce zapadło w morze. Haggerty, wygramoliwszy się na mokry piach, podążył ciężko pod górę, ku domowi Allena.

* Hisowanie — tu: podnoszenie i opuszczanie szalupy, za pomocą liny i krążka.

Dziwił się, że stary nie wyszedł na spotkanie. Zazwyczaj czekał na wybrzeżu z czeredą wrzeszczących Kanaków i witał przyjaciela tubalnymi okrzykami.

Dziwne — myślał Haggerty, przyspieszając kroku. W połowie zbocza przystanął, żeby otrzeć twarz. I Kanakowie — jacy spokojni! Prawda! Nie pchali się żebrząc o podarki, które im przy sposobności przywoził — jakieś kawałki wstążek, kolorowe resztki bawełniane, cegielki tytoniu... Dziwne — myślał Haggerty z trwogą. Gdzie Allen? Musi wiedzieć, że „Kulik” zarzucił kotwicę.

Z mroku zbliżała się wysoka, jasna postać. Z pewnością Krystyna. Powitał ją z ulgą.

— Hej, Krystyna!

Nie odkrzyknęła. Szła, jakby nie słyszała. Krótki podzwrotnikowy zmierzch przechodził już w ciemność nocy, ale było jeszcze na tyle widno, że zdołał

wyczytać w jej twarzy nieszczęście. Biorąc ją za rękę, poczuł, że dłonie miała suche i rozpalone.

— Krystyno, co słyszeć? Gdzie ojciec?

— Nie żyje.

Krew uciekła z rumianej twarzy grubasa.

— Co za głupi żart? Jak możesz mówić takie rzeczy?

— To prawda, Haggerty.

Martwy głos dziewczyny przekonał go o prawdziwości jej słów.

— Na Boga! Jak? Kiedy?

— Chodź do domu, to powiem.

Odwróciła się i szła przodem, a on za nią, dławiąc szloch. Potykał się trochę i przez mgłę łez widział mroczne zarysy palm. Krystyna, która umyślnie dała mu czas się opanować, słyszała, jak chrząkał. Zawsze chrząkał, gdy był wzruszony. Ale gdy przechodzili pod latarnią w bramie, światło ukazało jego twarz, jak zawsze obojętną.

Jak dziwnie, gdy Allen nie wychodzi naprzeciwko. Jeszcze dziwniej nasłuchiwać i nie słyszeć jego głosu. Haggerty wkroczył z zaciśniętymi ustami do bawialni za Krystyną. W blasku lamp zobaczył, że jest blada i znużona. Nie chciał usiąść. Stojąc prosto, z oczami zwróconymi w dal nad dziedzińcem, słuchał jej opowieści.

— Na Boga! — zawołał, gdy skończyła. — Treherne! Rozumie się! Jakie masz plany?

— „Kulik” jest mój. Jestem spadkobierczynią. Pożegluję na Takunai.

— Do pioruna! Znalazłaś szypra?

— Masz go przed sobą...

— Nie bądź głupia, dziewczyno! Kobieta kapitanem statku?! I co jeszcze!? Wystawilibyśmy się na pośmiewisko połowy Pacyfiku.

— Kto się próbuje ze mnie śmiać — odpaliła — temu się prędko odechce. Czyż się nie znam na żegludze? Czy obaj z ojcem nie nauczyliście mnie dowodzenia statkiem?

Haggerty potarł brodę w zamyśleniu, kiwnął głową.

— Nie o to chodzi. Ja myślałem o utrzymaniu karności. Kto będzie słuchał kobiety? Niełatwo ci przyjdzie zebrać załogę.

— Białych mi nie zabraknie. Co się tyczy Kanaków...

— Z Kanakami nie będziesz miała kłopotu. Ale kogo byś zwerbowała z białych?

— Mam ciebie. Spojrzał bystro.

— Myślisz, że ja będę cię słuchał? Podeszła i wykręciła go twarzą do siebie.

— Haggerty, pomóż mi, proszę. Liczę na ciebie, liczę na twoje poparcie. Och, proszę cię... Haggerty...

— O, daj spokój z przymilaniem — fuknął. — Już dobrze, dobrze. Jestem stary dureń, ale popłynę z tobą. Po prawdzie, to na innym statku byłoby mi nieswojo... Kogo jeszcze masz na widoku?

— Blaize'a i Carrola. Nie mają statku i pragną zemsty na Trehernie.

— Oni pod kobiecą komendę nie pójda.

— A mnie się zdaje, że pójda.

— O, tobie się zdaje? — odparł Haggerty patrząc na nią przebiegle. — Skąd ta wiara? Myślisz, że się zgodzą dlatego, że są wściekli na Treherne'a?

— Właśnie dlatego — podchwyciła ostro. — Innego wyjścia nie mają. Widziałeś „Meduzę”?

— Widziałem.

Krażył po pokoju tam i z powrotem głęboko zamyślony. Nie mógł się pogodzić z Krystyną w roli kapitana statku. Czy ona naprawdę jest taka śmiała i opanowana, czy też strach, naturalny u kobiety, porywającej się na takie przedsięwzięcie, pokrywa pozorami buńczucznej pewności siebie? Spojrzał na nią i zobaczył, że mimo dumnie podniesionej głowy, ładne usta leciutko drżą. Raptem ogarnęło go wzruszenie. Biedna, zdaje się na niego. Ułożyła sobie wszystko, myśląc w duszy: Haggerty będzie ze mną. Haggerty mnie poprze. On mi we wszystkim pomoże.

A tu on ofuknął ją szorstko — tę śliczną, dzielną Krystynę. Klepnął ją po ramieniu z niezdarną czułością.

— E, wszystko będzie dobrze — rzekł. — Blaize i Carroll zgodzą się na pewno, a jakby się za bardzo stawiali i trzeba by im zmyć głowy, to mi powiesz.

Podniosła na niego błyszczące oczy i wyciągnęła rękę. Ujął ją serdecznie. Oboje wiedzieli, że Haggerty będzie wierny córce tak, jak był wierny ojcu.

— A zapasy? — zapytał zniecierpliwiony, idąc do stołu, na którym były rozłożone papiery. — To jest spis? Musimy zaraz iść do Schencka.

— Już tam byłam. To kopia spisu. Na rano wszystko będzie gotowe. Tylko ładować.

— Dobra! Ludzi i takielunek mam na pokładzie. Skafander i rury kupiłem za psie pieniądze. Ale jeszcze jedno. Popłyniemy na Takunai — i co? Jak się dowiemy, gdzie zatonał ten piekielny statek? Czy przynajmniej pamiętasz mapkę?

Krystyna wzięła papier i zaczęła rysować. Haggerty patrzył jej przez ramię.

— Tak, to będzie pewną pomocą, ale niewielką.

— To się na wiele nie przyda — rzekła Krystyna żałośnie, wyciągając sztywno rękę ze szkicem. — Nie pamiętam odległości, nie wiem, gdzie umieścić rafy. I tu gdzieś krzyżują się prądy.

Podarła papier na drobne kawałeczki i rzuciła.

— Na nic. Gdybym miała do czynienia z mapami, mogłabym zapamiętać z zupełną dokładnością najmniejszą rafę. Nic by nam nie pozostawało, jak jechać i zabrać skarb.

— Północny wschód — medytował Haggerty. — Musimy się tego trzymać, moja mała. Koło wybrzeża, od północnego wschodu, hm, lepszy rydz, niż nic.

Zadudniły kroki, dały się słyszeć czyjeś głosy. Ktoś pukał niecierpliwie do bramy. Huata-ata pobiegł otworzyć.

— Drugi i trzeci mat — uśmiechnął się Haggerty, gdy ogromny cień Blaize'a padł przez próg.

Krystyna podeszła do gości. Obaj znali Haggerty'ego i pokój zaszumiał powitaniem. Zawołano Huata-ate, który przyniósł szklanki. Haggerty otworzył świeżą butelkę Allenowej whisky. Powietrze zamgliło się od dymu. Krystyna, usiadłszy trochę z boku, przyglądała się żeglarzom. Carroll, siedząc okrakiem na krześle, gardłował prędko z oburzeniem. Nad rozpiętym kołnierzem koszulki czerwieniała młoda rozogniona twarz. Rozprawiał z Haggertym o spalonej „Meduzie”. Krystynie Carroll przypadł do serca. Podobała się jej jego żywość i dowcip. Przy tym robił wrażenie człowieka energicznego i sprawnego. Zdjęła ją nedorzeczna chęć przyglądzenia jego zwichrzonych włosów. Patrzył na Haggerty'ego z chłopięcym ożywieniem. Krystyna uśmiechnęła się nie wiadomo dlaczego.

W Blaizie nie było nic chłopięcego. Palił fajkę z twarzą poważną, prawie ponurą. Krystyna czuła do niego wyraźną niechęć. Dlaczego taki zawsze milczący, taki pogrążony w myślach? Przewidywała, że będzie miała z nim scysję i to prędko. Prędko? Czyż już nie są na bakier? Przypomniała sobie, jaką ślepą wściekłością wybuchła w odpowiedzi na brutalne dotknięcie jego rąk. Dała mu nauczkę, teraz drab rozumie, że nic mu nie ujdzie bezkarnie. Na samo wspomnienie krew uderzyła jej do twarzy. Wstała i weszła w krąg światła.

— Posłuchajcie!

Wyprostowali się i umilkli. Dwie pary oczu skierowały się na córkę Allena. Tylko Blaize nie uważał, jakby go całkowicie pochłaniał dym, wywijający się w górę z cybucha.

— Słuchajcie — mówiła Krystyna — na „Kuliku” wakują miejsca drugiego i trzeciego mata. Płaca normalna. Cóż wy na to?

Carroll spytał prędko:

— Dokąd płynie?

— Na Takunai.

— Jestem na usługi. Hej, Blaize? Jedyna dla nas sposobność dobrać się do Treherne'a.

Blaize milczał. Krystyna tupnęła niecierpliwie.

— No, więc?

Blaize wyjął fajkę z ust. Przyglądając się z ciekawością cybuchowi odpowiedział ze spuszczonej oczami:

— Haggerty szyprem? Krystyna poczerwieniała.

— Nie.

— Więc ty?

— Tak.

Wytrząsnął popiół i odłożył fajkę.

Kobiety, gdy chcą rządzić, zawsse narobią kłopotów — rzekł. — Ale niech tam. Zgadzam się.:

Rozdział drugi

„San Juan” brał kurs na południowy wschód. Morze było wzburzone. Żaglowiec kołysał się buntowniczo, wdzierając się na fale z ponurym uporem. Ale Treherne nic sobie z tego nie robił. „San Juan” minął Telagas, przedarł się koło zdradzieckich raf niby muł po górskiej ścieżce i niedaleko Papaluli położył się niemal na boku. Kanakowie podnieśli wrzask, Lambert wpadł na Treherne'a:

— Na Boga! Po co tyle żagli? Statek nie wytrzyma takiego naporu wiatru.

— W porządku. Nic mu nie będzie. Co się tak boisz? Lambert pokraśniał. Wzgardliwy ton Treherne'a dotknął go do żywego. Lambert nienawidził Treherne'a. Zdarzało się, że na sam widok barczystego awanturnika wzbierała w nim złość. Głupio zrobił, że do niego przystał. Treherne potrafił dogadywać tak zjadliwie, choć niby zdawkowo, że w młodzieńcu krew się gotowała.

Któregoś dnia wszedł do knajpy Marty'ego na Makatei i zagadnął Lamberta. Mówił o zatopionym statku, zatopionym skarbie ...

Zaciągnął się jako pierwszy mat. Treherne wołał załogę złożoną z krajowców, jako karniejszych i potulniejszych od białych. Zresztą kapitan „San Juana” wołał trzymać swoje przedsięwzięcia w tajemnicy, a opowieści Kanaków nikt nie bierze poważnie. Lambert był dumny, że taki człowiek jak Treherne obdarzył go zaufaniem.

Jakże teraz żałował swojej decyzji.

Nie byłoby jeszcze tak źle, gdyby miał z kim pogadać, z kimś kto by patrzył na Treherne'a takimi jak on oczami, kto by tak samo wzdragał się i czerwienił pod szyderczymi docinkami. Nie mógł znieść bezczelności Treherne'a, tego traktowania niedbale wzgardliwego, a przecież zawsze starannie obmyślanego. Wśród bezsennych nocy układał odpowiedzi, które mógł być zastosować, kłamstwa, którymi mógłby się zasłonić przed tym czy innym upokorzeniem. Zgorączkowany, nieszczęśliwy, przewracał się i rzucał na koi, przeklinając swoje szaleństwo. Co go skusiło, że się zaciągnął na „San Juana”!

— Lambert!

Stanął.

— Słucham?!

— Chodź tutaj! — zawołał Treherne od steru. — Ty sobie spacerujesz po pokładzie, a ja będę zrywał gardło, tak? Posłuchaj.

Popatrzył na młodzieńca krytycznym okiem.

— Czy wiesz, dlaczego cię zwerbowałem?

— Nie.

— Może dla urody — ciągnął Treherne. — Wyglądasz jak dziewczyna. Włosy w lokach, oczy do całowania. Dziewczęta muszą za tobą bzikować. Ale mylisz się, gagatku. Nie dlatego ciebie sobie upatrzyłem.

Nachylił się nad sterem i mówił dalej już bez żartów:

— Umiesz pływać. Obserwowałem cię na lagunie na Makatei. Możesz być głupi, ale na Boga, w wodzie uwijasz się jak ryba. Nadto potrafisz nurkować. Więc dopiero na Takunai zaczniesz odrabiać swoją gażę.

Coś w głosie Treherne'a sprawiło, że Lambertowi serce zabiło.

— To znaczy będę musiał nurkować do dna? Ależ Kanakowie mieli nurkować.

Pytał tak trwożnie, że Treherne zmarszczył czoło.

— Ja mówiłem? Hm. Naturalnie i oni także, ale ty z nimi. To durnie, a nie mogę tracić czasu na wydobywanie niepotrzebnych rupieci.

— Ależ oni potrafią powiedzieć, co tam jest, równie dobrze jak ja.

— Cóż tak zbladłeś? Boisz się zamoczyć nogi? Mówię ci, że nie mam czasu do stracenia. Durnie spuszcza się na dno, wypłyną parskając jak wieloryby i będą jazgotać: „Ona skrzynka co być wielka, ona skrzynka, co być mała...”.

Urwał.

— Potrzebuję kogoś, kto umie patrzeć — dodał. — Powiem ci, czego szukać i wydobędziesz mi to od razu. Więcej ci teraz nie wyjawię. Tyle wystarczy, żebyś się przygotował na to, co cię czeka. Rozumiesz?

— Rozumiem.

Lambert odwrócił się. Oddałby wszystko, co miał, żeby móc wyrznąć pięścią w tę znenawidzoną twarz.

Treherne wiedział o uczuciach podwładnego. Odprowadzając wzrokiem delikatną postać, zadał sobie pytanie, kiedy też Lambert poczuje się mężczyzną. Widział go pływającego w lagunie na Makatei i zachwycił się jego umiejętnościami, Lambert pływał nadzwyczaj szybko i sprawnie. Gdy jego białe ciało przecięło błyskawicznie w dół zieloną toń, Treherne'owi przyszła do głowy szczęśliwa myśl. Poszukał Lamberta, wypili razem i w dziesięć minut awanturnik z „San Juana” przejrzał młodzieńca na wylot. Oto — powiedział sobie — słabeusz, człowiek, który przez całe życie będzie narzędziem w rękach innych i zawsze da się wystrychnąć na dudka. Więc będzie moim dudkiem. Ale, na Boga! co za pływak!

Wiatr się zmienił i Treherne ryknął komendę. Kanakowie rzucili się do żagli, Lambert z nimi. Rozkazy Treherne'a zawsze były wykonywane piorunem. Zwlekać było niebezpiecznie. Treherne wykręcił ster na lewo i pokład „San Juana” załała piana. Woda bryznęła mu w twarz. Lubił zapach morskiej wody,

lubił bryzgi piany, w ogóle wszystko, co miało związek z morzem. Kochał morze. Znał wszelkie jego kaprysy i rozumiał je. Sztormy i nawałnice nie budziły w nim złości. Przetrzymywał je, walcząc z nimi z ukrytą satysfakcją. Dla niego morze nie było tylko pustynią wodną. Raczej miał je za żywą istotę, świadomą i czującą. Za każdym razem, gdy wstępował na pokład, ogarniało go to samo szczególne podniecenie, to samo przeczucie przygody, jak wtedy, gdy zdobywał upragnioną kobietę.

Przesunął ręką po gęstej, mokrej czuprynie i zaczął gwizdać. Wprawnym okiem przesunął po żaglach i ocenił, że mimo

mocnej bryzy „San Juan” wytrzyma pod pełnymi żaglami. Co robi Lambert? Szczeniak — wiecznie nadąsany. Obija się koło kabiny.

— Lambert!

— Czego?

— Chodź tutaj!

Młodzieniec podchodził tak wolno, jak mu na to starczyło odwagi. W niebieskich oczach migotały z lekka zuchwałe błyski.

— O co chodzi?

— Co robisz?

— Nic.

— Czekaj, dam ci zajęcie. Tam leży lina, którą trzeba naprawić.

Lambert poczłapał ciężko do zwoju liny. Chciał ją zabrać, ale Treherne rozkazał krótko:

— Siadaj tutaj!

— Ale ja...

— Siadaj!

Lambert usiadł i wziął się do roboty niezgrabnie i z ociąganiem. Treherne obserwował spod oka jego pochyloną głowę.

— Kiedy dobijemy do Takunai? — zapytał młodzieniec nie mogąc dłużej znieść milczenia.

— Za dwa dni. A bo co? Boisz się?

— Nie. Tylko...

— Tylko co? Gadaj.

— Też będziesz nurkował, Treherne?:

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Moja sprawa.

Lambert nie odpowiedział, ale po jego młodzieńczej twarzy przemknął cień uśmiechu.

— Z czego się śmiejesz?

— Ja? Z niczego.

— Łgarzu, widziałem. Co cię połechtalo, gadaj! Lambert wstał. Był rozzłoszczony.

— Idź do diabła! — wymamrotał. — Nie wolno mi nawet mieć własnych myśli. Żałuję, że cię spotkałem. Obym był nigdy nie oglądał tego piekielnego statku!

— Zamknij gębę!

— Nie. Mam takie samo prawo wygadać się jak ty, Treherne. To ci powiem, że jeszcze nie wiadomo, czy będę nurkował na Takunai. To bardzo niebezpieczne. Tobie się nie śni nurkować.

Wiesz, czym to pachnie.

— Dalej!

— Nie zmusisz mnie. To ci jeszcze powiem, że po powrocie złożę na ciebie doniesienie.

— Ciekawe!

— Przekonasz się! Carroll i Blaize też będą ciekawi, bo chcieliby się dowiedzieć, kto puścił z dymem „Meduzę”.

— Głupi smarkaczu, w ten sposób mnie nie podejdziesz. Byłeś na miejscu. Widziałeś wszystko. Jesteś, jak się to mówi, współwinny. Wpakowaliby nas na Amanu do jednej celi.

Lambert milczał. Treherne wrzasnął na Murukawę, żeby stanął przy sterze.

Chłopak nadbiegł uśmiechnięty. Kanakowie podziwiali swego pana za jego siłę, odwagę i postrach, jaki miał wśród ludzi. W gruncie rzeczy Treherne był sprawiedliwy. Karał rzadko i nigdy bez powodu. Ale zdarzyło się, że po przeprawie z panem jeden z ukaranych rzucił się do morza, a drugi leżał dwa dni bez zmysłów.

Treherne zszedł pod pokład. W kajucie czekało jedzenie. Rzucił się na nie z apetytem. Lambert mógł przyjść lub nie. Jego wola. Chce się głodzić — jego sprawa. Sądzi, że on, Treherne, bałby się nurkować? No cóż — myślał szyper — niewiele się omylił.

Kucharz napełnił kubek kawą, która stygła, bo Treherne dumał. Dlaczego tak niechętnie wchodzi do wody? Dawniej tego nie doświadczał. Przed dziesięciu laty nurkował jak inni. I nagle, pewnego dnia, gdy pływał w lagunie koło Amanu, tknęło go dziwne uczucie lęku. Posłuszny ślepemu instynktowi, pomknął prosto do brzegu. Hennessey, widząc ten szalony pośpiech, zapytał go, czy zobaczył rekina.

Ale rekina nie było. Treherne siadł na brzegu, dygocąc na całym ciele. Pojął, co się stało. Słyszał, jak Kanakowie opowiadali o tego rodzaju wypadkach i śmiał się. „Morze mówi człowiekowi, gdy go chce pochłonąć i człowiek wie”. Tak mówili Kanakowie.

Treherne wiedział.

Dlatego zabrał z sobą Lamberta w podróż na Takunai. Dlatego przestał pływać i nurkować.

— Ona kawa być mnóstwo zimna? — usłyszał przy sobie trwożne zapytanie kucharza.

Ocknął się. Nie czas było marzyć, skoro niebezpieczne przedsięwzięcie wreszcie rozpoczęte. Allen nie żył, droga była wolna. Do powrotu Haggerty'ego na „Kuliku” mógł się nie obawiać pościgu. Zabezpieczył się przecież. Przewidywał, że Haggerty z tamtymi dwoma wypuszczą się za nim. On zaś zdąży wydobyć skarb.

Co dziewczyna może zrobić? Może zabierze się z nimi. Ale chyba nie. Haggerty się o to postara.

Krystyna... Niewiele o niej myślał. Na jego gust była zbyt mało kobieca. Męski strój, spiczasta czapka bez wdzięku, kryjąca włosy, drażniły go niewypowiedzianie. Nie wtórował zachwytem innych. Nie uznawał tego typu.

Ale teraz myślał o innej Krystynie, o tej którą widział w białym domu. Przypomniał sobie moment, gdy otworzywszy żelazną bramę, kazała mu wejść. Był zaskoczony, oszołomiony. Zamiast chłopca ujrzał tym razem kobietę. Przez cały burzliwy, niespokojny wieczór był pod wrażeniem jej urody i bliskości, takiej nowej, takiej nieodpartej.

Uderzyła go w twarz. Zapłaci mu za to.

Odepchnąwszy stołek zaczął krążyć po wąskiej kajucie. Zastanawiał się, co by zrobił, gdyby ją dostał w swoje ręce. Czy zemściłby się?

Oczywiście. Przecież nie może stanąć przed dumną piękną niemy i zbity z tropu jak zakochany młodzieniaszek. Zakochany...

CZĘŚĆ PIĄTA

Rozdział pierwszy

Poawa miał pięć cegiełek tytoniu, kilka prawdziwych monet, kunsztowne organki i w płaskiej flaszcze pół kwarty whisky. Wszyscy mogli oglądać te skarby; bliscy przyjaciele dostawali nawet pozwolenie powąchania wódki i wypróbowania ze czią organków. Wybrane grono asystowało Poawie w celach doradczych, żeby ostatecznie ustalić, jak ulokować cały kapitał.

„Kulik” miał podnieść kotwicę w południe. O dziesiątej Blaize, przechadzając się po wybrzeżu, spostrzegł Poawę w gronie pochlebców. Skierował się od niechcienia ku wrzaskliwej gromadce, która, o dziwo, rozpierzchła się za jego zbliżeniem jak stadko ptaków.

— Poawa! — krzyknął.

W odpowiedzi Kanak przyśpieszył nagle kroku. Już nie odchodził, lecz uciekł. Blaize ryknął jeszcze raz i puścił się za nim. Po zaciętej pogoni dopadł go, chwycił za ramię i odwrócił twarzą do słońca.

— Dlaczego uciekasz, ty głupcze! Przecież słyszałeś, idioto, że cię wołam! — wrzasnął rozeźlony.

Poawa wił się w rękach pana jak wąż, aż się spocił ze strachu. Coś wyleciało spomiędzy fałd przyodziewku. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Poawa zawył boleśnie.

— O, ona uissiki należeć Poawa — zajęczał. — Wszystko wylać, wszystko dużo wylać.

Blaize pociągnął nosem. Tak. Zapach całkiem wyraźny.

— Skąd masz tę whisky?

W rozmowie z przyjaciółmi Poawa wyjaśnił w upragniona „uissiki” dostała mu się w cudownym darze dzięki pośrednictwu dobroczynnego boga morza. Jednak coś mu mówiło, że Blaize przyjąłby mocno sceptycznie to wyjaśnienie. Starając się zyskać na czasie, rzekł:

— Ona Karuri mówić, ona uissiki mnóstwo bardzo dobra, pomagać boleć brzuch.

— To Carroll dał ci whisky?

— Ona Karuri — potwierdził krótkowzroczny kłamca zabierając się do odejścia.

— Idziemy do Carrolla — rzekł nagle Blaize.

— O, Bilase ...

Ale trwożny protest trafił na mur milczenia. Blaize zaciągnął Kanaka do knajpy Schencka, gdzie Carroll sprawdzał zasoby, przeznaczone dla „Kulika”. Jasnowłosy żeglarz był potargany, zgrzany i zakurzony. Na widok Blaize'a z jeńcem zatknął ołówek za ucho, zaznaczył jakąś pozycję w spisie towarów i podszedł do drzwi.

— Stało się coś?

— Poawa — rzekł surowo Blaize. — Powiedziałaś, że Carroll dał ci whisky. Nieszczęsny Poawa wzywał jękliwie swoich bogów.

— Carroll, dawałeś mu whisky?

— Ja? Nie. Upił się?

— Ktoś dał mu wódki w małej butelce. Hej! Schenck! Schenck, wiesz skąd to pochodzi?

Pokazał szyjkę od zbitej flaszki z mocno wbitym korkiem. Schenck potrząsnął głową.

— Nie. Tutaj tej marki nie trzymamy. Tego się tu nie dostanie. I zresztą mam za dużo oleju w głowie, żeby sprzedawać wódkę Kanakom. Upijać tubylców, żeby iść do więzienia na Amanu! Nie ma głupich!

Zataił z namaszczeniem tłuste ręce. Krótkie, krępe ciało aż przeżyło się w świętym oburzeniu.

— Poawa ma oprócz tego organki — dorzucił — kilka dziesiątek i trochę tytoniu.

Urwał. Miał zwyczaj powtarzać, że nie lubi się wtrącać w nie swoje sprawy.

— Poawa — rzekł Blaize — pokaż tytoń.

— Moja nie mieć tytoń.

— A dolary?

— Nie, Bilase.

Blaize, udając zamyślenie, drapał się po brodzie. Na ten widok Carroll odłożył papier. Błyskawiczny ruch i Blaize wykręcił oszołomionemu Kanakowi rękę. Carroll zaś obmacał wprawnymi palcami fałdy jaskrawego odzienia Poawy. Wylatywały kolejno pieniądze, organki i pogniecione cegiełki tytoniu przy wtórze ogłuszających wrzasków i gwałtownych zaprzeczeń właściciela.

— Nie mieć — darł się Poawa przy każdym nowym dowodzie rzeczowym. — Moja nie mieć!

Schenck przyjrzał się wydobytej na jaw kolekcji.

— Gdzie on tyle tego nazbierał?

— Zaraz mi powie.

Blaize zdjął pas i dla próby trzepnął w węgar.

— Poawa!

— O, Bilase!

— Ukradłeś whisky?

— Nie.

— Carroll nie dawał ci whisky. To znaczy, że ukradłeś. Jesteś złodziejem.

— Nie, Bilase, moja nie być złodziej.

— Kto dał ci whisky?

Poawa zawahał się. Pas świsnął w powietrzu. Kanak przyznał się wśród kwików, że istotnie dostał whisky w prezencie.

— Od kogo?

Nie chciał powiedzieć. Pas zaczerwienił się od krwi, a on nie chciał powiedzieć. Groźny urok Treherne'a ciążył nad Kanakami tak dalece, że Blaize zwątpił już, czy uda mu się wydusić prawdę z Poawy.

— Wolnego — wtrącił się Schenck. — Sam nie wiesz, jaką masz siłę, Blaize. Zabijesz go.

Blaize podniósł rozognioną twarz. Z oczu strzelały błyskawice gniewu.

— To na pewno Treherne. Ale wyduszę z niego prawdę. I znów ryknął do wijącego się Poawy:

— To Treherne dał ci whisky, co? Powiedz prawdę!

Pas znowu spadł na obolałe plecy Poawy. Zaszłochał z bólu. Miał dosyć. Czuł, że więcej nie zniesie. Nie sam ból go złamał. Więcej podziałał wściekły upór w oczach pana. Poawa upadł z jękiem na kolana, podnosząc ręce nad głową na znak poddania.

— No? — zapytał Blaize, któremu pierś falowała ze zmęczenia.

— Ona Tereherini — szepnął Poawa i Blaize obrócił się do widzów.

— Słyszycie? Kanalia! Wiedziałem. Chodź tu, Poawa!

— Puść go — rzekł z niesmakiem Carroll. — Dosyć mu wlałeś.

— Powie mi więcej, dużo więcej — zapowiedział Blaize.

I tak się stało. Poawa wykrztusił wszystko, już teraz bez przymusu.

Krystyna i Haggerty nadchodzili właśnie wybrzeżem. Na widok zbiegowiska przed biało pobielanym składem Schencka, przyśpieszyli kroku. Nim przybiegli, Poawa skończył opowiadać i leżał na ziemi, płacząc z żalu nad sobą. Haggerty przystąpił do niego.

— Co on zrobił? — zapytał. — Ledwie zipie. Kto go tak urządził? Cóż on zmalował, Blaize?

Blaize bał się odezwać. Wściekłość w nim się gotowała, pałał żądzą mordy. Palmy, spokojna laguna, ludzie zebrani naokoło Poawy, wszystko zlało mu się w oczach w szarą mgłę. Myślał z furią o Kanaku, którego zdrada doprowadziła do spalenia „Meduzy”.

Odrzucił Haggerty'ego i Carrolla, rzucił się na Poawę i sięgnął mu do gardła. Postanowił uśmiercić zdrajcę. Nie słyszał krzyków, nie czuł rąk, które usiłowały oderwać go od ofiary. Trzeba było połączonych wysiłków Carrolla, Schencka i Haggerty'ego. Obrócił się z furją, aż odskoczyli w tył. Dwaj Kanakowie Haggerty'ego z wielką zaiste przytomnością umysłu skorzystali z chwili, żeby usunąć z widoku przyczynę awantury. Chwycili Poawę za pięty i wciągnęli do składnicy.

— Słyszeliście go! — wrzeszczał Blaize. Dajcie mi dobić psubrata!

— Blaize!

Podeszła Krystyna. Dopiero teraz spostrzegł, że jest zgrzany, spocony i potargany. W białym kostiumie była taka wyniosła, taka chłodna, surowa, że wściekłość Blaize'a ustąpiła miejsca skrępowaniu. Szaroniebieskie źrenice zmierzyły go zimno jak nigdy.

— Blaize! Przestań — usłyszał.

— Ja... — zaczął i więcej nie mógł powiedzieć. Jak zwykle w jej obecności zaniemówił. Ogarnięty wielką nieśmiałością, stał jak słup.

— Masz zostawić Poawę w spokoju. Jej spokój wzburzył Blaize'a.

— Nie słucham twoich rozkazów.

— Jesteś moim drugim matem — zaznaczyła z całym spokojem. — Zaciągnąłeś się na ten rejs. Jeżeli się będziesz buntował, obetnę ci płacę.

Ale bezczelna! Więc jej się zdaje, że ta nedorzeczna umowa coś znaczy? Drugi mat! No, tak, zaciągnął się na „Kulika” jako drugi mat.” Krystyna chciała wszystko brać dosłownie, a jemu nie przeszło przez głowę, że będzie taka władcza. No, tak! Jest właścicielką „Kulika”, może sobie rościć prawa do tytułu kapitana, jeżeli jej się podoba.

Obetnie płacę, niedoczekanie! Jak ona śmie tak do niego przemawiać!

Nagle uderzony komizmem sytuacji, odrzucił głowę w tył i ryknął śmiechem.

— Miło mi, że bierzesz to na wesoło — rzekła lodowato Krystyna. — Jak skończysz, możesz pomóc Haggerty'emu przy zapasach.

Odwróciła się i zeszła wolno nad wodę. Zadyszani ludzie ładowali paki do szalupy „Kulika”. Krystyna zaczęła się przypatrywać nagim, brązowym postaciom, które brnęły po kolana w wodzie, od stosu puszek i skrzynek na brzegu do szalupy i z powrotem, to pochylając się, to prostując. Zawiewał lekki wiatr. Lotne ziarenka piasku wciskały się pod odzież i drażniły skórę. Chmary moskitów unosiły się nad głowami spoconych Kanaków.

Haggerty wszedł do łodzi, która chybnęła się pod jego ciężarem i podczas gdy sadowił się na skrzynce z konserwami boczku i fasoli, przechyliła się zdradziecko. Na brzegu Carroll zakreślał pozycje na zmiętoszonym spisie.

Czapkę miał nasuniętą na oczy, zawinięte rękawy ukazywały muskularne ramiona.

Naładowaną szalupę odepchnięto od brzegu. Trzej Kanakowie wskoczyli do środka i zaczęli wiosłować w kierunku statku. Pięciu zostało na brzegu i ci legli w miłym cieniu palmy. Byli to ludzie z Degas, sprowadzeni przez Haggerty'ego. Wyżsi od Kanaków z Par ary, odznaczali się nadto szerokimi barami i potężnymi klatkami piersiowymi. Włosy, skręcone na czubku w ozdobny węzeł, przytrzymywały drewniane szpile. Krystyna, uważnie im się przyglądając, spostrzegła, że mieli dziwnie rozdęte nozdrza. Mieszkańcy Degas słynęli na wyspach jako odważni poławiacze pereł. Szczep to bardzo śmiały, wolny od wielu przesądów. Skutkiem ciągłego przebywania pod wodą często głuchną lub ślepną na starość, albo jedno z drugim. Po trzydziestym roku życia są już niezdolni do pracy.

Krystyna wróciła do sklepu. Zastała Schencka nad sumowaniem rachunku. W roztargnieniu wsadził ołówek w usta i dolna warga kwitła fioletową plamą. Załatwili interes. Poświadczył rachunek pracowitym podpisem: „Z podziękowaniem. T. Schenck”.

Krystyna schowała papier do kieszeni.

— A nie zgub — ostrzegł. — Twój tatko nigdy niczego nie gubił. Raz w lecie posłałem mu przez omyłkę dwa razy jeden rachunek, to przyszedł i sklął mnie w żywy kamień. Tyś jeszcze wtedy od ziemi nie odrosła. Pamiętam.

Przystąpił bliżej.

— Czemu się upa?łaś płynąć, Krystyno? Niech Haggerty jedzie z tamtymi dwoma. Ty lepiej zostań. Nie rób takich oczu. Mnie idzie o twoje dobro. Haggerty zna cię od dziecka i wciąż ma cię za dziecko. Ale tamci dwaj — co mają w głowach, powiedz?

— Co to kogo obchodzi?

— Czekał, będziesz ty śpiewała inaczej. Carroll nie święty i Blaize także, choć taka trusia. Różne historie o nim opowiadają ...

— Chcesz mnie ostrzec, czy co?

— Ano, właśnie. Kobiecie bez męża niebezpiecznie na statku.

— Dam sobie radę.

— O? — mruknął Schenck i ciągnął z namysłem. — Kobiety zawsze myślą, że dadzą sobie radę i wpadają. Co byś zrobiła, gdyby który uwziął się na twoją cnotę?

— Gdyby mnie tknął — odpaliła — strzeliłabym i już. I choć taki wielki, nie ulękłabym się.

Urwała.

— Wielki? To Blaize'a masz na myśli?

— Nie. Tak powiedziałam, dla przykładu.

— Nie płyń, dziewczyno — nalegał. — Za ładna jesteś, żeby się obijać bez opieki między mężczyznami.

— Jadę.

— To wpierw weź męża. Zaśmiała się.

— Męża? Ja męża? Kogo?

— Ach, nie chcesz słuchać. A ja mądrze radzę, moja panno. U Hamiltona, na północnej stronie jest padre.

Krystyna przekrzywiła czapkę na bakier.

— Chcesz mnie wyswatać z Haggertym?

— Nie. Tobie potrzebny taki, co by ci łoł skórę.

— Schenck!

— Takie jak ty łatwo padają ofiarą. Jesteś za bardzo pewna siebie. Potrzebujesz odpowiedniego człowieka, takiego co by nie pobłażał fochom, co by trzymał cię krótko.

Krystyna śmiała się, ale była mocno zaczerwieniona.

— Kogo też masz na myśli?

— Sama zmiarkujesz. Młoda krew, gorąca krew, powiadają. Czy myślisz, że nie będzie się gotowała na twój widok?

— Daj spokój! — rzekła szorstko. — Ja tu z tobą gadu-gadu, a czas mi na pokład.

W drzwiach zawahała się.

— Kiedy ten misjonarz tu będzie?

— Pewnie w przyszłym tygodniu. Odwróciła głowę.

— Jak przyjedzie, to... to zaprowadź go na plantację, Schenck.

Zrozumiał. Allen tam spoczywał. Złożyli go w zwykłej trumnie z desek i u wezłowia mogiły postawili drewniany krzyż. Haggerty odczytał burkliwie modlitwę za umarłych z postrzępionej książki do nabożeństwa, którą Krystyna wygrzebała w rupieciach. Zrobili dla Allena, co mogli. Ale modły kapłana uświęciłyby grób na skraju plantacji. Allen miałby lżejsze odpoczywanie.

Schenck skinął głową.

— Zaprowadzę go. Nie martw się.

Patrzył, jak biegła na brzeg, bo szalupa już nadpływała.

Rozdział drugi

„Kulik” wypłynął szybko z przystani, kierując się na południowy wschód od Houtenów. Carroll pierwszy usiadł przy sterze. Blaize i Kanakowie ciągnęli liny, żagle trzepotały i wydymały się od wiatru. Haggerty orzekł, że bryza potrwa najwyżej do zachodu słońca.

Krystyna kiwnęła głową. Teraz, gdy już wszyscy byli na pokładzie, strachem przejęła ją myśl, że tyle dni będzie musiała przebywać z tymi mężczyznami. Jak oni będą ją traktowali — z szacunkiem — przyjaźnie — dobrodusznie? Nie mogła przewidzieć. Co się stanie, jeżeli będzie chciała forsować swoje zdanie? Naturalnie Haggerty zawsze stanie po jej stronie. Ale jak dalece zachce ją popierać? I czy to długo potrwa?

Przechadzając się po pokładzie, minęła Blaize'a, który nie dał poznać, że ją zauważył. Zastanowiła się ni z tego, ni z owego, co też to były za historie, o których napomykał Schenck. Wszyscy mężczyźni mają przygody miłosne — myślała. Ojciec też miał. Nawet nie zadawał sobie trudu, żeby się przed nią kryć. Krysty: na nie gorszyła się. Wychowana wśród mężczyzn, uważała, że jest to oczywiste, naturalne. Wiedziała, że kobieta rzadko pełni w życiu mężczyzny naczelną rolę, ważniejsze są pieniądze, władza, sukces.

Krystyna zdjęła czapkę i wystawiła włosy na wiatr. Jak miło czuć pokład pod stopami, jak miło wiedzieć, że ma się przed sobą przygodę, walkę, niebezpieczeństwo... Treherne ma ją za nic. Gdyby wiedział, że wyruszyła za nim w pogoń, ryczałby ze śmiechu. Krystyna zmarszczyła brwi. Pokaże mu, do wszystkich diabłów! Potrząsnęła głową i zaczęła splatać niesforne włosy.

Blaize obserwował ją zza steru ukradkowo, kątem oka. Wiatr obcisnął na niej białą kurtkę, ukazując zarysy ud, bioder i piersi. Podniosła ręce do głowy, a jego nagle ścisnęło w gardle. Czy ta dziewczyna wie, jaka jest piękna?

Wiedział, że sobie tego nie uświadamiała. Wiedział, że kobiecość jeszcze w niej spała. Jakie więc mógł mieć widoki wobec tej chłodnej, dziewiczej nieświadomości? Ona w swoim mniemaniu nie jest kobietą, lecz kapitanem Krystyną, właścicielką „Kulika”. Co by zrobiła, gdyby spostrzegła, że jest przedmiotem jego miłości? Wzięłaby to na wesoło, żarty by sobie z niego stroiła. Gdybym był tak głupi, żeby jej to wyznać — rozmyślał — nasłuchałbym się drwin co niemiara. Zmusił się do patrzenia przed siebie i gdy podeszła bliżej, nie odwrócił głowy.

Haggerty siedział w kajucie nad podniszczoną mapką Houtenów, z fajką w kącie ust. Nie wyjmując jej, rzekł:

— Hej, Krystyna, tu jest kurs.

Pochyliła się z ręką wspartą na jego ramieniu.

— Trudny kurs — zauważyła. — Gdzie Takunai? Tutaj? Ale nie ma zaznaczonych raf.

— Tutaj nie sondowali dokładnie dna i nie robili planów. Dlatego mapka, którą miał twój ojciec, była taka cenna. Stary Andy Peters łowił tam perły i on zrobił plan. On także dowiedział się o wraku. Wielu się głowiło, gdzie mógł zatonać „Konstantyn”.

— Ten statek?

— Właśnie. Andy był tam przed trzema laty na połowie pereł i widział, jak się to stało. Sztorm szalał i jego „Anna Mary” stała beczynną w zatoce. Opowiadał, że „Konstantyn” — jeżeli to był naprawdę ten sam statek — uległ po walce z falami i poszedł na dno. Andy nie mógł się do niego zbliżyć.

— Skąd wiedział, że to był „Konstantyn”?

— Nie wiedział. Ale wiadomo było, że „Konstantyn” płynął tamtędy, a nie wrócił na Amanu. Od dnia jak spotkał „Henryka Manninga” między Sydney a Houtenami, słuch o nim zaginął.

Haggerty zakreślił na mapce krzywizną paznokciem.

— Musiał wziąć kurs tędy — na północ od Houtenów. Widzisz? Żeby się znaleźć koło Takunai, musiałyby zboczyć z kursu blisko trzysta mil na południe. Dlatego ludzie wyśmiewali starego Andy'ego. Nie było wielkiego sztormu, a Pat Dawidson miał sławę wyśmienitego szypra. Ludzie nie wierzyli, żeby to on poszedł na dno koło Takunai.

— A ty, co myślisz?

Haggerty położył ostrożnie fajkę na stole.

— Ja myślę, że Andy miał słuszość. Razem z twoim ojcem uważaliśmy, że stary naprawdę widział „Konstantyna”. Ten statek miał fokżagiel, co do którego trudno się było pomylić, a Andy miał doskonały wzrok.

— Ale żeby zboczyć z kursu trzysta mil! W to mi się nie chce wierzyć — jeżeli nie było sztormu.

— Czy przyjrzałaś się kiedyś Patowi Dawidsonowi?

— Widziałam go.

— Tak? No, to widziałaś nicponia. Haggerty zajrzał bystro w twarz ulubienicy.

— Żeglowałem z nim niegdyś na „Perle”, starym statku, i nie ukryły się przede mną jego ciemne sprawy. Twarz miał uczciwą, ale hultaj był nad hultaje. Z hołotą na Amanu był za pan brat. Musiał się śmiać w kułak, kiedy go wysłali z takim poleceniem do Sydney!

Wytrząsnął popiół z fajki i wstał.

— Nie zwiąło go z kursu. Według mnie wyprowadził, chytrus, w pole tamtych na Amanu. Chciał to, co wiózł, zagrabic dla siebie. Nie wracał na Amanu. Ułożył sobie, że skręci na południe i popłynie na Pakahiki. Stamtąd mógł osiągnąć Tahiti.

Krystyna wyprostowała się.

— Myślisz, że ukradł przesyłkę i sztorm zaskoczył go koło Takunai?

— Tak. Twój ojciec myślał tak samo. Treherne również.

— Treherne!

— Jeszcze go dogonimy — rzekł Haggerty. — Czujesz kołysanie? Pewnie Blaize jeszcze się nie połapał w fantazjach „Kulika”.

Wyszedł na pokład i nad głową Krystyny zadudniły ciężkie kroki. Zwinęła w zamyśleniu mapkę i schowała do Skrzyni. Tymczasem zszedł Carroll, ocierając niebieską chustką kark i czoło.

Krystyna rzekła:

— Haggerty jest pewny, że to „Konstantyn” spoczywa na dnie koło Takunai. Właśnie mi o tym mówił.

Carroll zachmurzył się.

— I co z tego? Nam idzie o Treherne'a. Widziałaś, jak Blaize zbił Poawę? Łobuz pozwolił Treherne'owi podłożyć ogień na naszym statku. Blaize wydusił z niego prawdę. Jak tylko wylądowaliśmy, Treherne przybił do „Meduzy” i przekupił Poawę, żeby go wpuścił na pokład. Musiał wtedy podłożyć ogień, bo zabrał Kanaka z sobą na brzeg. Pod pokładem musiało się długo tlić, nim płomienie buchnęły na luki. Treherne, zrobiwszy swoje, wrócił na ląd.

— Mówiłeś, że podobno Poawa przepłynął wpław.

— Na widok pożogi zrozumiał, co zrobił i prawdopodobnie rzucił się do laguny, że oto niby płynie od statku. Póki Treherne był na wyspie, nie odważył się powiedzieć prawdy. Kanakowie boją się go jak ognia.

— Nie wszyscy — zaprzeczyła.

— Może, ale to rzadkość. Zaczął się rozglądać

— Jak tu przytulnie! O! skąd masz ten obrazek?

— To Haggerty'ego — rzekła ostrzegawczo. — Jego ulubiony obrazek. Nie zdradz się, że wiesz.

Carroll ze śmiechem przystąpił do kolorowej reprodukcji, starannie przybitej gwoździkami do ściany. Udarty róg Haggerty podkleił paskiem papieru. Obrazek przedstawiał hożą Kleopatę, podejmującą anielsko pięknego Antoniusza.

Carroll, zbadawszy z uroczystą miną to dzieło sztuki, zachichotał. Krystyna uśmiechnęła się.

— Jego ulubiony obrazek — powtórzyła.

Stali tak blisko siebie, że dotykali się ramionami. To niespodziewane zetknięcie wywarło na młodym człowieku silne wrażenie. Zesztywniał i obrócił się wolno w jej stronę. Dłonie mu zwilgotniały, poczuł lekki dreszcz. Krystyna uderzona tym, że nagle umilkł, obejrzała się.

— Krystyno!

Oczy ich spotkały się. Carroll nachylił się i pocałował ją w usta.

CZĘŚĆ SZÓSTA

Rozdział pierwszy

Przez trzy dni „Kulik” trzymał się kursu południowo-wschodniego. Czwartego dnia wiatr zaczął wiać od przodu. Haggerty kłął na czym świat stoi. Jeżeli mieli gonić Treherne'a to każda godzina była cenna. „Kulik” okrzyknął „Jean Marie” i stary Sam Barton potrząsnął głową, gdy Haggerty ryknął z zapytaniem o „San Juana”. Niewiele statków wybierało niebezpieczny kurs przy Houtenach. Trudno więc było liczyć na zasięgnięcie języka o Trehernie.

Blaize nie mógł sobie znaleźć miejsca. Rzadko się odzywał. Jadł, spał, pracował jak wszyscy, lecz był tak milczący i ponury, że zostawiano go w spokoju.

— Jakbyśmy wieźli bombę — zwierzał się Haggerty Carrol-łowi. — Tak, ja rozumiem, że chłop nie może przeboleć straty „Meduzy”. Wiem, że się nie uspokoi, póki nie dostanie w łapy Treherne'a. Tylko że jest jakiś dziwny. I my, i Krystyna tak samo chcemy zemsty na łotrze, ale przestajemy z sobą po ludzku. Blaize patrzy na nas, jakbyśmy byli kolegami Treherne'a.

— Lubi się boczyć, ale to mu przejdzie — mówił uspokajająco Carroll. Jednak sam był niespokojny. W Blaizie tliło się coś niepokojącego. W tej chwili pracował przy żaglach z daleko większą siłą, niż było trzeba. Dlaczego? Czy się zabezpieczał przed bezsennością? Czy chciał zdusić natrętne myśli?

Całe przedpołudnie załoga walczyła z wiatrem. Rozhuśtane morze tłukło się zajadle o burty. „Kulik” lawirował z trudem pod wiatr, wpierając hardo dziób w nadbiegające fale. Blaize stał przy sterze, z rękami zaciśniętymi mocno na kole i prowadził statek. Wśród wycia wichru słyszał wysoki, donośny głos Krystyny, rozkazującej Kanakom zrefować żagle. Stała z szeroko rozstawionymi nogami, z dłońmi złożonymi w trąbkę przy ustach. Słyszeli i na znak posłuszeństwa odkrzykiwali: „O! Kerisitini!” Wiatr zarumienił jej twarz i dodał blasku oczom. Przytrzymawszy się słupka relingu, krzyknęła do Blaize'a:

— W porządku?

— W porządku! — odkrzyknął. — Trochę przyciężki na wietrze, ale i tak wcale nieźle idzie!

W tej chwili „Kulik” przechylił się gwałtownie, Blaize chybnął się na nogach, Krystynę zaś rzuciło przez pokład, że zatrzymała ją dopiero jego wyciągnięta ręka. Przez moment łapała oddech, uczipiona jego ramienia.

— Mało brakowało... — sapnęła. — Gdyby nie ty, już bym tam teraz pływała.

— Zejdź na dół — odpowiedział. — Za wielka fala, żebyś chodziła po pokładzie.

Odstąpiła o krok, mierząc go wyniosłym spojrzeniem.

— Wiesz, do kogo mówisz? Patrz swojego nosa.

Odeszła szybkim, pewnym krokiem, choć zalany pokład odchyłał się sporo od poziomu. Blaize nie miał czasu o niej myśleć, gdyż musiał całą uwagę skupić na sterowaniu. Nie był przyzwyczajony do małej zwrotności „Kulika”. „Meduza”, lekka i lotna, śmigająca po falach jak jaskółka. „Kulik” miał inną naturę — przepychał się ciężko, powoli, z siłą. Blaize otarł czoło i kontynuował manewry.

Krystyna była urażona. Blaize jakby nie rozumiał, jak ciężko ją dotknął, rozkazując zejść na dół. Dlatego, że taki wysoki i barczysty, to się drabowi zdaje, że mu wszystko wolno. Myśli, że może nią komenderować do woli. Ja mu pokażę! — myślała, wściekła, że jest kobietą, boby go chętnie stłukła.

Pełna gniewu, zeszła na dół. Za każdym razem, gdy schodziła do kajuty, w której zostało tyle wspomnień po Allenie, doznawała skurczu serca na myśl, że ojciec nigdy już tu nie wejdzie. Tęsknota za ojcem była dojmująca. Wiedziała, że nigdy nie zapomni straszego obrazu ciała, leżącego na stole w bawialni, w zimnym świetle poranka.

Usiadła smutna przy stole, z brodą wspartą na rękach. Na statku nie szło wszystko tak gładko, jak przewidywała. Rola kapitana sprawiała jej spore trudności. Haggerty panoszył się jak słoń, wydając rozkazy na własną rękę. Musi się dopiero przyzwyczaić do zmiany. Z Kanakami natomiast nie ma kłopotów. I pogoda dotąd jako tako dopisywała. Więc o co właściwie chodzi? Dlaczego nie jest zadowolona, kiedy naprawdę nie ma się tak znowu na co skarżyć? Statek kołysał się porządnie. Jakże brakuje doświadczonych rąk ojcowskich! Haggerty obejmie ster dopiero od południa.

Krystyna zdjęła czapkę i przygładziła włosy. Ojciec nie pozwalał ich obciąć. Zastanawiała się, ile ma z nimi kłopotu. Szpilki nie przydają się na nic. Ciężki warkocz zawadza nieznośnie. Nie, ojciec nie miałby jej tak bardzo za złe, gdyby obcięła włosy.

Poszła do swojej koi po nożyczki. Wracając usłyszała ciężkie kroki. Wszedł Blaize i stanął przy schodkach. Przeczesał palcami mokrą czuprynę, która nastroszyła się wysoko.

— Haggerty mnie zluzował — wyjaśnił głośno, siadając niezgrabnie na najbliższej skrzynce. — Wiatr skręca na południe.

Krystyna skinęła głową i podeszła do wąskiego lusterka, przymocowanego do ściany. Ścisnęła nożyczki w ręce i ze zdecydowaną miną zaczęła ciąć czarne pasma przy samej szyi.

— Co robisz, do licha? — zapytał głupio Blaize.

— Oślepiłeś przez noc? — fuknęła. — Przeszkadzają mi, muszę je obciąć.

— Szkoda.

— Tobie nic do tego.

Umilkł. Nożyczki Krystyny sięgnęły tyłu głowy. Blaize przypatrywał się z powagą tym wysiłkom, ale w końcu zasłonił usta ręką, żeby ukryć uśmiech. Zobaczyła to w lustrze i odezwała się ostro:

— Z czego się śmiejesz?

— Nie śmieję się. Słuchaj, z tyłu sama nie ostrzyżesz równo. Pomogę ci.

— Nie, dziękuję — odparła oziębło i znów cięła wymykające się kosmyki.

— Niech to diabli! — zaklęła, zniechęcona bezskutecznością swoich trudów.

— Wyglądam jak straszydło.

Patrzyła żałośnie na postrzępione włosy.

Z pokładu usłyszała wołanie. Nałożyła czapkę i pośpieszyła na górę. Blaize został sam wśród rozrzuconych czarnych pasemek. Wziął jedno i przesuwiał w palcach. Czy komu innemu pozwoliłaby pomóc sobie przy tych postrzyżynach? Czy Carrolla albo Haggerty'ego ofuknęłaby tak jak jego? Jeszcze się głowił nad tym pytaniem, gdy do kajuty wpadł Carroll.

— Gdzie lina?... Na Boga! Co się tu działo? Przystanął koło stołu i popatrzył po podłodze.

— Krystyna obcięła włosy?

— Tak.

— Hańba! — zawyrokował Carroll. — Dalej, wstawaj! Gdzie ta lina, którą naprawiałem? Pewnie na niej siedzisz. Co jej strzeliło do głowy teraz obcinać włosy?

— Pan Bóg wie.

— Jak każda kobieta — zrzędził Carroll porywając linę. — Wybrała sobie odpowiednią porę. Dobrze trzymała głowę, gdy ją strzygłeś?

— Nie dała mi do siebie przystąpić. Carroll odskoczył.

— Do diaska, a to czemu? Wiesz, Blaize, coś ci powiem. Ty nie umiesz z nią postępować.

W Blaizie zaczęło się gotować.

— A ty umiesz?

— E! z nią nie tak trudno...

Zabrał się do odejścia. Blaize dopadł do niego w dwóch skokach i złapał za rękę.

— Coś powiedział?

— Puść, głupcze!

— Co to niby ma znaczyć — nietrudno? Przekonałeś się, że z nią łatwo?

— A jeżeli tak, to co? — ryknął Carroll, usiłując się wyrwać.

— Gadaj.

W głosie Blaize'a było coś takiego, że Carroll zaprzestał kpin.

— Nic. Tylko ona nie jest taka zimna, jak ci się zdaje.

— To znaczy dla ciebie gorąca. Kochasz się w niej?

— Gdzież tam, nie! Ale od czegoż kobiety? Czy nigdy żadnej nie pocałowałeś? Oj, stary grzeszniku, mógłbym o tobie niejedno opowiedzieć.

— Całowałeś ją?

— Pewnie, że całowałem — zniecierpliwził się Carroll. — Ale to głupstwo. Puszczaj.

Wyszarpnął się i skoczył na schodki.

Blaize pomyślał: Więc pozwala mu się całować. Czy ma do niego słabość, czy tylko tak sobie.

Czuł, że jemu by to się nie udało. Wiedział, że nawet go nie lubiła, że z przymusem znosiła jego obecność na „Kuliku”. Prawda, że był silny i nienawidził Treherne'a, ale to były jego jedyne atuty. Przechadzał się po ciasnej przestrzeni między stołem i drzwiami, z rękami zagłębionymi w kieszeniach, ze wzrokiem wbitym w podłogę, miotany zazdrością.

Do obiadu zasiadł nie czekając na tamtych. Nieprędko przyjdą. Nie będą się śpieszyć. Gdzie teraz są? Naturalnie, oboje na pokładzie. Co między nimi było? Czy Carroll skłamał, dając do zrozumienia, że to nic takiego — wesołe figle i już! Może chciał w ten sposób odwrócić podejrzenie. Blaize rzucił się zajadle na soloną wołowinę i gorące placki. Mori, kucharz, bąknął ostrzeżenie, żeby ostrożnie jeść tę drugą potrawę, lecz się spóźnił. Blaize sięgnął spiesznie po wodę.

— Gorąco mnóstwo za bardzo, Bilase?

— Piecze jak żywy ogień — odparł gniewnie Blaize. — Trzeba było wcześniej powiedzieć a nie czekać, głupi łbie!

Mori wzruszył ramionami.

— Może moja musiec powiedzieć Kerisitini przyjść kai-kai? — zapytał. — Zaraz kai-kai mnóstwo zimno.

Blaize chrząknął i Mori pobiegł wołać Krystynę wysokim, przeraźliwym głosem. Blaize usłyszał w ślad za tupotem jego nóg lekkie kroki dziewczyny. Gdy się zjawiała przy stole, udał, że jej nie widzi. Oboje jedli w milczeniu, a Mori usługiwał. Krystyna spojrzała spod przymkniętych powiek na swego drugiego mata.

— Blaize!

— Słucham, kapitanie!

— Powinniśmy osiągnąć skrajne Houteny jutro około pół dnia.

— Coś koło tego.

Rozmowa nie kleiła się. Mori pobiegł po więcej kawy. Blaize skończył jeść i siedział prosto, z rękami założonymi na piersiach, patrząc w czerwono kratkowany obrus.

— Nie musisz czekać — rzekła ostro Krystyna. Podniósł oczy.

— Carrollowi byś tak nie powiedziała. Wstała obrażona,

— Jak śmiesz tak do mnie mówić?

— Cóż w tym takiego? Czy nie lubisz Carrolla? Co w tym obraźliwego?

Biała ręka pokazała rozkazująco na drzwi.

— Proszę wyjść!

— Dlaczego pozwoliłaś mu się pocałować?

— Precz!

— Dobra! Idę. Tylko... on z tobą tak dla zabawy, Krystyno. Stała przed nim z oczami rozognionymi gniewem. Patrzył zmieszany.

— Jak śmiesz mówić takie rzeczy? Nie jestem przed nikim odpowiedzialna za swoje postępowanie.

— Dobrze, ale nie pozwól, żeby cię Carroll wystawiał na pośmiewisko.

— Już ty się o mnie nie martw. Nikt mnie nie wystrychnie na dudka. Możesz iść.

— Czemu mnie tak nie znosisz? — zapytał odruchowo.

— Nie, to nie tak — odparła chłodno. — Jesteś mi najzupełniej obojętny. Nie zadawałabym sobie trudu, by lubić lub nie lubić człowieka, któremu płacę.

— Carrollowi też płacisz — przypomniał. — Czy i on ci jest obojętny?

Nie odpowiedziała.

— Nie posuwaj się za daleko — dodał ostrzegawczo. — To niepoważny gość. Nigdy nie byłaś zakochana i szkoda by było, żebyś miała zacząć od niego.

Zostawił ją oniemiałą z gniewu.

Rozdział drugi

Treherne płynął na Takunai kursem pod wiatr. Houteny są niebezpiecznymi wyspami, gdyż wody naokoło jeżą się od raf. Niebezpieczeństwo ukrytych skał powiększa się skutkiem przeciwnych prądów. Statki handlowe omijają ów archipeląg z daleka. Większość wysp jest formacji koralowej. Z pokładu przepływającego statku widok ich czaruje pięknem. Wyniosłe palmy odbijają się w lagunach. O zaporę raf rozbijają się fale. Obraz tchnie spokojem.

Ale złudne to pozory.

Treherne opłynął grupę wysp wielkim łukiem od południa. Takunai leży na skraju. Stercząca z morza ponura pionową głowicą, górzysta Takunai jest pochodzenia wulkanicznego. Przed samym zmrokiem ukazała się oczom Treherne'a od lewej burty, w majestacie dzikiej grozy. Szła wysoka fala i przez pokład „San Juana” przelewały się potoki wody.

— Diabli nadali ten wiatr! — rzekł Treherne do Lamberta. — Dmie jak cholera. Każdy by pomyślał, że mamy trupa na pokładzie.

— Trupa?

— Tak, głupku. Nie słyszałeś, że umarły może rozpętać wicher? Starzy marynarze mówią, że morze domaga się ciała nieboszczyka. Uważaj to za bajkę, jeśli chcesz. Dwa razy żeglowałem z trupem i zawsze była piekielna wichura. A Matthew Matthews — znałeś go? Wiózł ciało brata z wyspy Św. Józefa na Tahiti i co powiesz, statek zatonął. Morze obu połknęło.

— Stare baśnie. — Lambert wzruszył ramionami.

— Jak tam uważasz — ciągnął Treherne. — Na „San Juanie” nie ma trupa, przynajmniej na razie.

Patrzyli na wyspę, która wyłaniała się z morza rosnącym ogromem. W tych warunkach nie mogło być mowy o zbliżeniu się do wybrzeża. „San Juan” mógł lada moment otrzeć się o skalne progi, ukryte zdradziecko tuż pod powierzchnią morza, a wśród skruszałych raf nie sposób było tak zarzucić kotwicę, żeby chwyciła. Treherne zdecydował, że muszą lawirować w pobliżu, póki się nie rozwidni. Przy świetle dziennym zamierzał szukać przystani w jakiejś zatoce.

Bryza wiała tego przez całą noc. Na pokładzie nikt nie zmrużył oka. Lambert obijał się sennie po statku, na próżno usiłując stłumić ziewanie. Oczy mu się kleiły. Treherne, gdy stanęli razem koło kabiny pokładowej, popatrzył na niego z irytacją.

— Do stu piorunów, nie rób takiej miny! Chcesz lulu, mazgaju?

— Ten podły wiatr — mruczał ze złością młodzieniec. — Ledwie żyję ze zmęczenia. I przemokłem do suchej nitki. Ubranie lepi się do skóry.

W odpowiedzi Treherne pochwycił go za kołnierz, pchnął przez pokład w kierunku luku zejściowego i bez ceregieli zepchnął ze schodów.

— Możesz siedzieć na dole! — ryknął do gramolącej się wśród przekleństw postaci. — Na Boga! Tyle z ciebie pociechy co z kobiety!

Zamknął klapę i poszedł zluzować przy sterze Puahego. Ten Lambert! Kto by to powiedział, że taki mazgaj, taki szczeniak potrafi nurkować niczym włócznik*? Tylko kłopot z tym durniem. Gorszy od kobiety — rozmyślał Treherne — bo kobieta ma przynajmniej czym równoważyć kaprysy. Choć rozgniewa, zawsze pozostaje świadomość jej kobiecości i uroku. Kobietę można w razie buntu poskromić albo ustami, albo po prostu siłą ramion i jest spokój.

* **Włócznik — najszybsza ryba morska; osiąga prędkość 100 km/godz.**

Ale nie każdą — myślał Treherne patrząc w ciemność. Choćby taką córkę Allena — gwałtowną, zacieklą, a zdolną do namiętnego oddania. Treherne zagryzł usta. Uderzyła go w twarz, ale się z nią rozliczy, może już niedługo będzie miał sposobność. Czy ściga go z Haggertym na „Kuliku”? Bardzo prawdopodobne. No, będzie gotów przyjąć wezwanie...

Noc upływała powoli. Gwiazdy stopniowo przybladły, niebo zaszło ciepłą szarością. Na wschodzie wybijała się leniwie żółtawa smuga. Treherne wzdrygnął się. Jak na złość zaraz pierwszego dnia na Takunai żółte niebo. To znaczy wiatr. Wiatr! Zawołał Lamberta. Po jakiejś chwili z luku wynurzyła się rozczochrana głowa.

— Spójrz na niebo — rzekł Treherne. — Szykuje się sztorm.

— Spójrz, kapitanie, na Takunai. Przyjemne miejsce, nie ma co gadać.

Zwrócili oczy na wyspę. Łąd wychodził z morza prostopadłą ścianą. Wyspa była gęsto zalesiona. Zbita puszcza zalegała stoki od skraju klifów po zręby środkowej wyniosłości. Liczne zatoczki tworzyły na wybrzeżu miejsca nadające się do spokojnego zakotwiczenia. Lambert przyniósł mapkę, w którą się obaj zagłębili. Treherne pokazał palcem.

— Widzisz tutaj? Poszukamy tej zatoki. Patrz, skały tworzą ostre zagłębienie. Tu będziemy mogli gwizdać na każdy sztorm.

Lambert kiwnął głową.

— To pewnie będzie ta zatoka od wschodu. Już widno, możemy płynąć — rzekł Treherne.

Wydał rozkazy Kanakom i „San Juan” ruszył ostrożnie, cal po calu ku lądowi. Treherne sterując nadstawiał uszu, czy nie usłyszy powolnego szurnięcia. Byłby to znak, że statek trze dnem o rafę. Obok niego stał Lambert z mapką w ręku. „San Juan” posuwał się w kierunku okrągłej zatoki z rzeczką. W dwie godziny

zrobił zaledwie milę i zamglone słońce stało wysoko na niebie, gdy łańcuch kotwiczny plusnął w wodę z miłym dla uszu załogi brzękiem.

Otarłszy pot z czoła Treherne usiadł na zwoju lin.

— Psiakość! Co za życie! Daj mi mapkę.

Wziął ją z ręki Lamberta i znów uważnie studiował. Jeżeli Andy Peters nie omylił się, to wrak leży wśród raf na północny wschód od wyspy. Czy po tych dwóch latach został nietknięty? Trudno przypuścić! Jednak gdyby się rozpadł, wyłowiono by z fal trochę szczątków. Treherne sądził, że statek opadł między dwie podwodne skały i ugrzązł jak w imadle, skutkiem czego był zabezpieczony przed naporem prądów. Gdyby tak było, zadanie przedstawiałoby się prosto.

Spojrzał na wzburzone morze i zmarszczył czoło. Kiedy ustanie to złowieszcze wietrzysko? Póki fale nie osłabną, nie sposób robić żadnych prób. A tu każdy dzień cenny, każda godzina. Kto zgadnie, czy „Kulik” zjawi się wcześniej, czy z opóźnieniem. Wątpliwe, żeby „San Juan” uniknął pościgu. Treherne pomyślał, że gdyby nie jego przezorność, miałby wkrótce na karku zamiast jednego, dwa statki.

Skrzekliwy głos Lamberta wdarł się w tok jego myśli.

— Myślisz, że Haggerty nas goni?

— Bardzo możliwe. Ale mamy nad nim przewagę. Jesteśmy na miejscu i możemy się przygotować.

— Do walki?

— Są inne sposoby niż walka. — Spojrzał na młodzieńca. — Póki morze nie przycichnie, nie możemy nic zrobić. Przy takich falach nurkowie nic nie działają. Cieszysz się?

Lambert poczerwieniał.

— Wcale nie. Chcesz powiedzieć, że jestem w strachu?

— Nie skłamałbym — odparł szyderczo Treherne.

Przez cały ten dzień siedzieli beczynnie. Wiatr dał wciąż z nie słabnącą siłą. Po południu wyprawili się na ląd szukać wody. Treherne wysłał Kanaka na krawędź klifu na czaty, na wypadek zbliżania się jakiegoś statku. W środku dziwnie wygiętej zatoki malutkie pobrzeże schodziło pochyło nad wodę. Siedząc tutaj z kolanami podciągniętymi pod samą brodę, wpatrywał się w maszt. Widział, że „San Juan” nie mógł być zauważony przez przepływający statek. Ukryci bezpiecznie i dogodnie za załomem klifu, mogli się nie obawiać wykrycia.

Pod wieczór wiatr osłabł. Treherne pienił się na przymusową beczynność. Źle spał tej nocy. Ciągłe się budził, nasłuchując wiatru i ryku bałwanów. O świcie wiała już tylko leciutka bryza. Morze wygładzało się. Jeszcze kilka

godzin, a będzie można spuścić szalupę i zrobić przegląd wybrzeża. Treherne wstał ze słońcem i wykapał się w przejrzystej wodzie. Popłynął do brzegu, wdrapał się na ląd. Stanął i przesłoniwszy dłonią oczy, spojrzał w górę.

— Puahe!

Kanak odkrzyknął głosem, stłumionym przez odległość.

— O, Tereherini!

— Widzisz statek?

— Nie, Tereherini, moja nie widzieć statek.

Więc na razie wszystko w porządku. Treherne popłynął z powrotem do „San Juana”, wciągnął sfc na pokład po linie i wdział szybko ubranie. Śniadanie było gotowe, posilił się z pośpiechem; szalupa już czekała. Kanakowie, którym się udzieliło podniecenie kapitana, jazgotali między sobą bez przerwy, wydawali nerwowe okrzyki.

Jeden Lambert siedział milczący i zamyślony. Na próżno Treherne wykpiwał go, wyśmiewał i obrzucał wzgardliwymi docinkami. Nie odpowiadał. Nie mógł się oprzeć przeczuciu klęski. W dodatku do strachu przed Treherne'em i nienawiści do niego, dołączyła się pełna odrazy obawa przed pracą, którą mu Treherne chciał narzucić. Dotąd Lambert nie bał się nurkować w morzu. Teraz się wzdragał. Przeszukiwać zatopiony statek! Tak, i może zaczepić nogą o jakiś zardzewiały łańcuch i tak zostać! Tego się lękał. Sama myśl przyprawiała go o chorobliwą bladość.

— Chodź — rzekł — Treherne.

Wyszli na pokład. Szalupa kołysała się pod burta. Treherne był już w szalupie. Oczy błyszczały mu zapalem i ciekawością. Wreszcie przekona się, czy szczęście naprawdę mu sprzyja. Nareszcie bogowie spełnią jego pragnienie. Lambert ulokował się na rufie. Kanakowie chwycili za wiosła. Treherne wstał. Już otwierał usta do komendy.

— Tereherini! — wołał Puahe ze swego punktu obserwacyjnego. Widzieli jego gwałtowne ruchy.

— Ona statek! Ona statek!

— Daj mi lornetę — rzekł krótko Treherne do Lamberta. — Płyniemy na ląd.

Brazowe ramiona wparły się w wiosła, szalupa pomknęła do brzegu. Ledwie kil zgrzytnął o piach, Treherne wyskoczył. Z mocno bijącym sercem przebiegł między rzadkimi palmami, wdarł się po zboczu na skałę i padł plackiem. Podążając wzrokiem w kierunku wskazanym przez Kanaka, przytknął lornetę do oczu.

Długo leżał, wpatrzony w „Kulika”, sunącego w ten błękitny poranek ku celowi swej drogi. Rozróżnił postacie na pokładzie i gniew wykrzywił mu usta.

Statek był jeszcze zbyt daleko, żeby poznać osoby. Niebawem utkwiał oczy w pewnym punkcie i czekał, aż „Kulik” się przybliży. W końcu położył lornetę na trawie. W jego sercu z gniewem mieszało się szczególne wzruszenie tak silne, że aż trwożne. Wypatrzył to, czego szukał.

Krystyna przybywała na Takunai.

CZĘŚĆ SIÓDMA

Rozdział pierwszy

W dzień, gdy z pokładu „Kulika” ujrano Takunai, między Blaize'em i Krystyną wybuchła wściekła kłótnia, a wywołała ją niewinna uwaga Haggerty'ego.

Połykali śniadanie we troje. Carroll był przy sterze. Chłodny wietrzyk poranny igrał po morzu. Wszystkich ogarniało nerwowe podniecenie. Nawet Kanakowie rozumieli, że mogą nie ujrzeć drugiego wschodu słońca. Wytężali oczy, żeby rozróżnić szczyty Takunai i szeptali między sobą, rozważając widoki powodzenia obu stron.

Biali przy stole niewiele się odzywali. Krystyna próbowała zagadywać Haggerty'ego, ale grubas zbywał ją zdawkowymi odpowiedziami. Wiedząc, jaki niepokój nim miota, nie wzięła mu tego za złe. Jego zadaniem było doprowadzić „Kulika” do bezpiecznej redy. Statek musiał się posuwać cal za calem wśród naszpikowanego rafami morza. Haggerty miał szkicowy plan, na którym nie sposób było polegać. Jedyna miarodajna mapka, sporządzona przez starego Andy'ego Petersa, znajdowała się w rękach Treherne'a, zapewniając „San Juanowi” bezpieczną żeglugę.

— Boże mój! — odezwał się Haggerty. — Czy nam się uda?

Treherne już będzie na miejscu. Prawdopodobnie wyjdzie nam na spotkanie. Nie zdziwiłbym się, gdyby spróbował nas wziąć abordażem. Świnia!

— Nie możecie wiedzieć na pewno, że nas wyprzedził — sprzeciwiła się Krystyna. — On lubi robić kawały. A nuż zatoczył łuk i zaskoczy nas przy robocie. Tak, on to może zrobić; poczeka, żebyśmy wydobyli skarb, wtedy się zjawi na gotowe.

— Carroll mówi to samo — rzekł Haggerty. — Nie mówił ci nic wczoraj wieczorem? Żeglował z Treherne'em, to musi się znać na jego sposobach.

— Więc Carroll mówił to samo? — zagadnęła Krystyna tonem wyniosłej obojętności.

— Przecież słyszałaś. Strzygł ci włosy i mówił.

Haggerty wychylił kubek, postawił z hałasem na stole, otarł przedramieniem mokre usta, sięgnął po kapelusz, podniósł się ciężko z siedzenia i już go nie było.

Krystyna naląła sobie więcej kawy. W czystym, białym ubraniu wyglądała sztywnie i nadzwyczaj świeżo. Obcięte włosy lśniły czarną gładkością, w oczach grały ogniki bojowej gotowości i ochoty. Na wprost niej siedział Blaize rozwalony, z rękami w kieszeniach, z długimi nogami wyciągniętymi przed

siebie. Krystyna zamieszała kawę, skosztowała i wyciągnęła rękę po cukier. Stał w emaliowanej miseczce koło łokcia Blaize'a. Żeby sięgnąć, uniosła się nieco i przechyliła przez stół.

— Masz! — fuknął z pasją Blaize, stawiając zamasyście miseczkę tuż przy jej kubku.

— Dziękuję!

— Nie mogłaś mnie poprosić?

— Nie chciałam cię trudzić.

— Trudzić! Haggerty musiał ci bez przerwy podsuwać to to, to owo. A mnie nie poprosisz o cukier, żebym się nie trudził. Pięknie dziękuję za delikatność.

Wtulił głowę w ramiona i zaczął wyglądać przez otwarty iluminator.

Krystynę aż zatkało. Odstawiwszy kubek, podjęła wyzwanie.

— A dlaczego miałabym cię prosić o przysługi? Od dnia kiedy wstąpiłeś na pokład, chodzisz zły jak pies. Zagadnąć cię, to tylko odmrukujeś. Nie chcesz rozmawiać, nie starasz się być grzeczny. Po jakiego licha miałabym sobie zwracać tobą głowę?

— Nie potrzeba — powiedział gwałtownie. — Wyruszyłem, żeby wyrównać rachunki. Tak, albo ja zatłukę Treherne'a, albo on mnie. Czy myślisz, że urządzamy wycieczkę morską dla przyjemności? Tobie się zdaje, że ja i Carroll po to tu jesteśmy, żeby ci nadskakiwać! Nie masz się co czerwienić...

— O, nie — rzekła Krystyna w pasach.

— ... wiesz, że to prawda. Widziałem, jak patrzycie na siebie z Carrollem. A co Haggerty o was mówił? Nie zgodziłaś się, żebym ci pomógł równo przystrzyć włosy, ale Carrollowi pozwoliłaś.

— Co tobie do tego?

— Nic! Nie pochlebiaj sobie, że mnie obchodzą twoje konszachty z Carrollem. Zostaw mnie w spokoju i już.

Ponury gniew Blaize'a napędził Krystynie trochę strachu. Co się stało temu małowównemu olbrzymowi, którego nauczyła się traktować jak królowa nędznego niewolnika? Jaki groźny! Na środku czoła tuż koło czarnej, zwichrzonej czupryny tętnił puls. Na szyi pęczniały niebezpiecznie żyły. W Krystynie obudził się instynkt, który drzemie w każdej kobiecie. Wsparła łokcie o stół, a brodę wsparła na złożonych rękach i rzekła słodko:

— Bardzo to milutko z twojej strony, że chociaż trochę o mnie myślisz. Jednak się mną interesujesz. Dlaczego?

— Krystyno!

— No?

— Ty z Carrollem — ty z Carrollem...

— Mów — rzekła spokojnie.

Nie mógł. Nie chciało mu to przejść przez gardło. A jeżeli ona naprawdę ma dla tamtego...

— Myślisz, że się w nimkocham? Czy mnie nie ostrzegales? Ten drwiący ton wyraźnie go zmieszał.

— Ja cię ostrzegalem?

— Tak. Zapomniales? Wtedy jak mnie pierwszy raz pocałował?

Pierwszy raz. Więc się wciąż całują?

— Martwisz się, żeby mi w głowie nie zawrócił? — ciągnęła z ognikami w oczach. — Będzie się śmiał, jak mu powiem, że go masz za uwodziciela niewinnych dziewcząt.

— Nie pleć — fuknął gniewnie.

— A ty bądź przynajmniej uprzejmy, Blaize — rzekła chłodno.

Wstał i nie oglądając się, wybiegł z kajuty.

Krystyna stanęła koło otwartego iluminatora. Patrzyła na rozkołysaną wodę, na próżno starając się opanować gniew. Jak on śmie ją pouczać. Co go obchodzi jej stosunki z Car roilem?

Jakkolwiek nic nie czuła do Carrola, pozwoliła mu się pocałować, przyjmowała jego umizgi i nie irytowała się, gdy jej odpowiadał niegrzecznie lub zuchwale. Blaize osioł, bo nie ma powodu do zazdrości. Zazdrości... Jeżeli Blaize jest zazdrosny, to znak, że ją kocha. Zamyślona, wpatrzona w szarzące niebo, nie usłyszała lekkich kroków Carrola.

Podszedł cicho niczym kot i położył jej rękę na ramieniu. Drgnęła płochliwie. Carroll, spojrzawszy jej w oczy, od razu poznał, że coś jest nie w porządku.

— Co się stało, Krystyno?

— Nic.

— Blaize udaje na pokładzie gradową chmurę, a ty tutaj sama i w dodatku zła. Pokłóciłaś się z nim?

Uśmiechał się, ale Krystyna nie mogła wpaść w jego ton.

— Jemu się zdaje, że może mną rządzić. Nic mu się nie podoba.

— A czego się po nim spodziewałaś? — mówił spokojnie Carroll. — Obejmowałaś statek z otwartymi oczami. Kobiecie ciężko żyć na pokładzie.

— Jak to ciężko?

— Posłuchaj tylko. Możesz się ubierać po męsku, pomagać załodze i pełnić wachtę tak jak my wszyscy, kapitanie Krystyno, ale taka twoja zwierzchnia władza jak i Huatyaty. Gdybym ja ci odmówił posłuszeństwa, albo Haggerty, albo Blaize — cóż byś zrobiła? Tak, wiem, że chodzisz z rewolwerem, ale nie odważyłabyś się strzelić. A gdybyś się nawet odważyła, przypuścmy, że to ja się

zbuntowałem i położyłabyś mnie trupem, to jak długo potrafiłabyś utrzymać w karności dwóch białych i kilkunastu Kanaków? Sama wiesz, że niedługo. Jesteś kapitanem tego statku jedynie z łaski nas trzech białych. Czy wiesz, kto jest rzeczywistym zwierzchnikiem?

— Pewnie Haggerty.

— Nie, najsilniejszy z nas — Blaize. Co byś poradziła, gdyby on się obrócił przeciwko tobie?

— Myślisz, że się go boję?

— Gdybyś się bała, to nie ty jedna — rzekł zupełnie poważnie. — Nie widziałas go w pasji. O! wtedy zamienia się w diabła. Ja widziałem...

Umilkł i mówił dalej:

— Nie przejmuj się. Nie wiem, po co ci to opowiadam. Tylko wyszedł od ciebie jakiś rozgniewany. Czy czasami nie dałaś mu do zrozumienia, że między nami coś jest?

Na to niespodziewane pytanie zaczerwieniła się i odwróciła oczy.

— Zgadłem — rzekł Carroll patrząc na nią. — Dam ci radę. Nie drażnij go, bo pożałujesz. My wiemy, że to tylko prekomarzenie, ale on nie wie. Nie wie, że jesteśmy sobie nawzajem obojętni. Ty, niemiło mi to mówić, próbujesz go drażnić. Chcesz obudzić w nim zazdrość. Nie rób tego, Krystyno.

— Zazdrość?

— Tak.

Zawahał się chwilę, po czym rzucił szybko:

— Wiesz, co mu jest?

— No, co?

— Myślałem, że kobiety zawsze się na tym poznają. Wy przecież macie podobno jakiś instynkt, który wam mówi, kto się w was kocha.

Krystyna zrobiła wielkie oczy.

— Kocha?

— To nie wiedziałas, że on jest w tobie zakochany?

— Nie.

— On ci się nie przyzna. Myślałem, że jeżeli będę ci nadskakiwał, to się wygada z wściekłości. Ale widzę, że fałszywie kalkulowałem.

Zapadło długie milczenie.

— Przyszedłem na śniadanie — rzekł w końcu Carroll. — Hej, boy, przynieś kai-kai.

Na wołanie odpowiedział wrzaskliwy odzew z kambuza.

— Carroll — odezwała się nagle Krystyna — nie wygadaj się przed nim, żeś mi powiedział.

— Dobra — burknął. — Teraz żałuję. Ale musiałem cię ostrzec, żebyś go nie doprowadzała do ostateczności. Jak tu siedzi w kajucie, obserwuje każde twoje poruszenie, choć może się wydawać, że wcale nie patrzy. Chłonie każde twoje słowo. Gdybym się przed nim wygadał, kto wie, co by ze mną było. Słuchaj, czemu nie pójdziesz na pokład i nie ułagodzisz go? Nie kręć głową. Jesteś urocza, ale czas, żeby cię ktoś wziął krótko — dokończył rzeczowo.

Krystyna roześmiała się mimo woli, a on zawtórował. Ale choć żartował, jakoś mu było nieswojo. Żaden z nich nie przewidział, jak ciężka będzie dla Blaize'a ciągła obecność Krystyny.

— Idź do niego — nalegał — i powiedz mu coś miłego. Krystyna, uderzona zmianą jego głosu, spojrzała bystro.

— Chciałbym wiedzieć, czy chłopak może mieć nadzieję.

Krew jej buchnęła do twarzy. Podniosła wyzywająco brodę, zacięła buntowniczo usta.

— Miły byłby z niego mąż! — rzekła. — Nadzieję, właśnie! Dobrze bym wybrała. Gdybym wyszła za niego, musiałabym sobie zaraz sprawić apteczkę podręczną. Jemu potrzebna kobieta, której mógłby jeździć po głowie, która by mu pełzała u nóg. Czy może mieć nadzieję?! Niech go diabli! Kup mu worek sparringowy. Więcej mu nic nie potrzeba.

— Tobie za to potrzebny mąż — odparł chłodno Carroll — z taką ręką, że bałabyś się pisnąć.

I przechyliwszy się przez stół, zajrzał w jej oburzone oczy.

Rozdział drugi

„Kulik” podchodził do Takunai wolno jak ślimak. Przy sterze stał spocony Haggerty, sypiąc przekleństwami. Oczami badał niespokojną powierzchnię morza. Trzy razy kil zgrzytnął złowieszczo. Za trzecim razem Haggerty wysłał majtkę za burzę. Kanak wykrztusił pomyślną nowinę. Haggerty otarł kark.

— Czemu tu nie ma laguny, do stu tysięcy raf? — zwrócił się do Blaize'a. — Z laguną łatwa sprawa. Prawie zawsze można bezpiecznie zakotwiczyć. Widzisz tę cholerną zatoczkę? Tam chcę się wepchnąć. Ale Pan Bóg wie, czy to się uda? Już pełniemy cztery godziny.

Carroll siedział wysoko na maszcie, wypatrując czujnie nieprzyjaciela. Ale w cichym powietrzu nie chwiał się ani pióropusz dymu, ani wymowny maszt nie sterczał nigdzie u pustego wybrzeża. Jeżeli Treherne przybił do wyspy, to musiał być z drugiej strony. Jakież oni mają widoki powodzenia? Treherne trzyma w rękę wszystkie karty. Mógł przybyć wcześniej. Jak się zachowa? Czy siedząc wygodnie w ukryciu, będzie drwił z mozolnych poszukiwań „Kulika”? On jeden wie, gdzie ugrzązł zatopiony statek.

Carroll spuścił się na pokład i stanął przy Haggertym. Statek docierał pracowicie do zatoczki, upatrzonej przez Haggerty'ego. Około południa znaleźli się na miejscu. W głębi zatoczki kryła się wąska, zwirowata łacha. Od wschodu strażowały wyniośle nagie gładkie skały. Od zachodu ład podnosił się łagodną pochyłością do wysokości jakichś pięćdziesięciu stóp. Rosły tu palmy i gęszcz krzewów. Strumień spływał z wyżyny ku morzu.

Blaize rzucił rozkaz i łańcuch kotwiczny zjechał w wodę. Kanakowie uwijali się koło szalupy. Jedna lina zaplątała się i nie chciała puścić. Szarpali się z nią i szamotali. Pięć kędzierzawych głów zbiło się razem. „Ona Bilase!” rzekł jeden głos i wszystkie podjęły wołanie, aż echo odpowiadało od skał.

Blaize wyszedł z kabiny. Rozstąpili się przed nim. Jął pomagać. Odchyłał się, pochylał, szarpał i wreszcie szalupa zakołysała się spokojnie przy burcie.

— Widzisz? — mruknął Carroll do Krystyny. — Pamiętaj, co ci mówiłem. Oni jego mają za zwierzchnika. W razie trudności jego wołają, wcale się nad tym nie zastanawiając.

Kanakowie zgięli się nad wiosłami. Carroll patrzył, jak Krystyna zeskoczyła lekko do łodzi prosto w rozpostarte ramiona Blaize'a. Czy mu się tylko wydało, że się zarumieniła?

Szalupa odwiozła Krystynę z Blaize'em na ład i wróciła po Carrolla i Haggerty'ego. Krystyna stąpnęła radośnie na twardy grunt. Po długich dniach na morzu miło było poczuć znów pod stopami niewzruszoną ziemię. Blaize

spoglądał na nią posepnie. Myślał, że nigdy nie będzie bardziej ponętna jak w tej chwili, pełna wyczekiwania przygód, podniecona, zarumieniona i zupełnie nieświadoma swojej piękności. Na wspomnienie porannej sprzeczki zacisnęła pięści. Jeżeli Krystyna zadurzy się w Carrollu...

— Wracaj — rzekł nagle. — Dokąd idziesz? Uderzona jego tonem, odwróciła się.

— Idę rozejrzeć się po okolicy.

— Zaczekaj chwilę — rzekł niespokojnie. — Nie myskuj sama po krzakach.

— Mam poczekać na Carrolla? Dobrze. Jestem posłuszna. I usiadła na piasku.

Blaize poczuł gorący przyptyw gniewu. Chce go rozdrażnić. Usiadł ponuro kilka kroków od niej i wykopując z piasku kamyczki, ciskał je ze złością do wody. Spojrzała na niego ukradkiem i odwróciła się, żeby ukryć triumfalny uśmieszek. Niech się dowie, na co mu się zda władczy ton. Strzepnęła z ubrania piasek i zeszła nad wodę. Szalupa wracała. Carroll wyskoczył i mając wodę po kolana, brodził szybko do brzegu. Zawołała do niego i wyciągnęła rękę. Razem wdrapali się na łachę, wśród śmiechu i ożywionej paplaniny. Haggerty szedł za nimi mamrocząc.

— Dobiliśmy do tej zakazanej wyspy, ale co dalej? Gdzie Treherne? Założę się, że się gdzieś czai. Hej, Blaize, nie pójdiesz z nami rozejrzeć się w okolicy?

— Nie pójdzie — odparła Krystyna, bo Blaize milczał. — Znów go dziś ukąsiło, Haggerty. Niech się dąsa. Chodź, Carroll!

Uczepiła się ramienia Carrolla i pociągnęła go za sobą pod górę. Grunt był wyboisty i trudny do przebycia. Krystyna ślizgała się i przewracała. W końcu Carroll musiał ją prowadzić. Bez tchu dobili do krawędzi i padli na skąpą trawę, żeby odsapnąć. Przed sobą mieli morze błękitne jak niebiosy, za sobą las palm, odcinających się ostro od czystego nieba. Głęboko w dole siedział Haggerty wachlując się kapeluszem. Blaize, rozciągnięty jak długi, zasłaniał twarz ramionami.

Carroll uniósł się na łokciu.

— Spokojnie, nie ma co. Chyba Treherne nas nie wyprzedził, bobyśmy coś zauważyli.

— Mógł opłynąć wyspę od południa — stwierdziła Krystyna, patrząc na nieruchomą postać na wybrzeżu. — Tutaj jest północny wschód. Ale przecież nie zadawałby sobie tyle trudu.

Carroll zgarnął z oczu jasne włosy.

— Nie wiadomo. To chytry człowiek, Krystyno. Żeglowałem z nim, znam jego metody. Można przypuścić, że się na nas zaczął. Na dwoje babka wróżyła.

— Dlaczego z nim skończyłeś? — spytała z ciekawością.

— Przysłałem do niego jako młokos. Nie wiedziałem, co on za jeden, a później, gdy się zorientowałem, niełatwo było go opuścić. Nie rozumiałabyś wszystkiego.

— Właśnie że bym zrozumiała. Spojrzał na nią i odwrócił głowę.

— Palnąłem głupstwo — rzekł powoli. — Treherne wiedział o tym i nagadał mi kłamstw; powiedział, że mają mnie aresztować, ale że on będzie mnie bronił. Nim zdążyłem się połapać, zabrał mnie na morze. To jego taktyka... Widzisz, z Kanakami łatwiej sobie daje radę, niż gdyby miał białą załogę, ale lubi mieć kogoś, do kogo może otworzyć usta. Na początku byłem dumny.

— Nie powiedziałaś mi, dlaczego się z nim rozstałeś.

— To brzydka historia — powiedział Carroll. — Żeglowałem z nim blisko dwa lata. Co ten człowiek wyprawiał! Wreszcie odkryłem, że mnie oszukał. Wcale nie było nakazu aresztowania. Sprawa się rozwiązała. Dowiedziawszy się, jak rzeczy stoją, przestałem się go bać.

— I opuściłeś go?

— Tak. Ale miałem trudności. Treherne zamierzał właśnie żeglować na wyspę Johnsona. Wiedziałem, w jakim celu. Żeby załatwić porachunki z Hamiltonem. Wszystko miało się odbyć prosto i naturalnie. Ciało znaleziono by dopiero po odejściu „San Juana”. Tak przynajmniej zapowiadał. Zrozumiałem, dlaczego chce mnie zabrać ze sobą. Gdyby się coś nie udało, miałby kozła ofiarnego pod ręką. Byłem młody, głupi, z lekko nadwężoną opinią. Kanakowie przysięgliby tak, jak by im nakazał.

Odetchnął głęboko.

— Spozrzegłem się w samą porę. Mieliśmy odbić od Amanu o zachodzie słońca. Jak tylko podnieśli kotwicę, ześlizgnąłem się w morze^ Okropność. Nie lubię o tym myśleć.

Poruszył się niespokojnie.

— Niech go piekło pochłonie! Spodziewam się, że będzie się smażył. Twój ojciec, Krystyno...

Zawahał się.

— Mój ojciec nie był święty — powiedziała twardo Krystyna. — Miał z Treherne'em konszachty, ale ojciec umarł, a Treherne żyje. Czy zostaniemy na lądzie? — spytała. — Przyjemnie byłoby rozbić obóz. Dopiero jutro zaczniemy sondować morze. Ach, co za dzień! Światło, kolory — można się upić!

Wyciągnęła ręce nad głowę i zaśmiała się. Carroll przewrócił się na plecy. Mocny błękit nieba poraził go nagłym objawieniem piękna, którym tak hojnie szafuje południe. Chwilę leżał zupełnie nieruchomo. Papużka śmignęła obok zielono-czerwono-bursztynową smugą. Patrzył, póki mu nie zniknęła między

drzewami. Z dołu dochodziło leniwe pluskanie wody. Zapragnął zostać tak w tej ciszy na zawsze. Nagle ogarnął go niejasny strach i niewyraźne, złe przecucie. Carroll usiadł.

— Zejdźmy na dół — rzekł.

Krystyna, zmrożona jego tonem, podniosła się posłusznie. Spojrzała ku wybrzeżu.

Blaize ocknął się i rozmawiał z Haggertym. Głosy ich rozbrzmiewały w cichym powietrzu donośnie i dźwięcznie.

Zaczęła schodzić. Carroll szedł za nią pokrzykując, żeby na niego zaczekała. Miejscami musieli biec, aż się potykali. Zeszli na dół zgrzani i zadyszani. Haggerty skierował się ku nadchodzącym. Krystyna wleciała mu z rozpędu w ramiona i przytrzymała się. Zarechotał.

— Huata-ata poszedł na ryby — oznajmił. — Dwaj z Degas poszli z nim. Pewnie będziemy mieli smaczną kolację.

Dzień upływał powoli. Pod wieczór Kanakowie rozpalili na wybrzeżu dwa ogniska, jedno dla siebie, drugie dla białych panów. Słońce zaszło. Krótki zmierzch podzwrotnikowy błysnął gwiazdami. Bryza ciągnąca o zachodzie od lądu do morza, rozdmuchała leniwe płomienie. Wszystkich ogarnęło poczucie bezpieczeństwa. Po południu zbadali duży fragment wybrzeża i nie znaleźli ludzkich śladów. Nikomu nie chciało się wierzyć, żeby Treherne uprzedził „Kulika”.

Carroll, który znał go najlepiej, wyraził opinię, że wyczeka na sposobną dla siebie chwilę i uderzy na nich z morza. Można było przypuścić, że zaczął się na otwartym morzu, póki nie upewnią się fałszywie, że im nic nie grozi. Ale niech robi, co chce. Na razie los im sprzyja.

Zasiedli dookoła ogniska; Huata-ata owijał świeżo zabite oszczepem ryby w pachnące liście i piekł je nad ogniskiem. Ruchome odbłaski ozłacały ciemne włosy Krystyny, migały po jej twarzy. Carroll, rozciągnięty leniwie obok niej, przyglądał się, jak na nagich rękach włosy robią mu się czerwone w świetle promieni. Haggerty, sapiąc i postępując, na próżno usiłował znaleźć wygodne miejsce. Blaize siedział zgarbiony ponuro, z brodą wspartą na kolanach, z cieniem zwichrzonej czupryny na oczach.

Wtem Krystyna pochyliła się w przód, z nagle pobladłą twarzą. Wszyscy zaniemówili. Carroll skoczył na równe nogi z rewolwerem w ręku.

Ktoś biegł ku nim od strony lasu.

CZĘŚĆ ÓSMA

Rozdział pierwszy

— Stać!

Tupot nóg ucichł w tej samej chwili. Blaize zerwał się z ziemi, obaj z Carrollem ruszyli w ciemność. Krystyna wstała, ale Haggerty posadził ją szarpnięciem obok siebie.

— Nie możesz usiedzieć?

Przykucnęła posłusznie, nasłuchując w nerwowym napięciu dalszych dźwięków. Na pierwszy alarm ręka Haggerty'ego przylgnęła do rewolweru. Trzymał kolbę i czekał, co będzie. Oboje śledzili oczami białą plamę, w którą zlały się postacie Blaize'a i Carrolla. Dał się słyszeć donośny głos Blaize'a:

— Kto tam?

Milczenie. Po chwili słaby głos wykrztusił:

— Przyjaciel.

— Czego chcesz?

— Pomocy.

Z cienia drzew wyłoniła się postać. Przy niepewnym świetle wschodzącego księżyca Blaize i Carroll rozróżnili drobną sylwetkę, która posuwała się ku nim dziwnie chwiejnymi krokami.

— Ręce do góry — rozkazał Blaize. Nieznajomy podniósł ręce nad głowę. Carroll bez słowa zaszedł go od tyłu i wparł mu w krzyż lufę rewolweru.

— Marsz!

Jeniec posłuchał. Szedł na przygiętych kolanach, potykając się. Mały pochód zbliżał się wolno do ogniska. Gdy znalazł się w kręgu światła, nieznajomy zachwiał się i upadł na piasek głową w przód. Leżał płasko, nie próbując się podnieść. Krystyna poskoczyła ku niemu, lecz Blaize powstrzymał ją gestem.

— Z daleka. Może to podstęp.

Szybkimi, pewnymi ruchami obmacał nieruchome ciało szukając broni. Nie znalazł nic. Spróbował trącić jeńca butem.

— Wstawaj. Nie możesz?

Wszyscy patrzyli bacznie, jak zmusił nieznajomego, żeby usiadł. Blask ognia padł na młodą, znękaną twarz, niemal kobieco piękną. Zwichrzone włosy nadawały jej chłopięcy wygląd. Krystyna dała mu na oko jakieś dwadzieścia lat. Młodzieniec chwiał się i gdyby go Blaize nie podtrzymał ramieniem, byłby upadł w tył.

— Wódki — rzekł Haggerty wyjmując flaszkę. — Masz, chłopcze, łyknij dobrej wódki.

Jeniec połknął z trudem trochę wódki. Wstrząsnął nim dreszcz; rozejrzał się przytomniej, na twarzy odbiło się przerażenie. Drżącymi rękami niby wystraszone dziecko uczepił się kurczowo kurtki Blaize'a.

— Gdzie on? Czy nadchodzi?

Na to pytanie wszystkim dech zaparło. Pochylili się wyczekująco. Haggerty zapytał:

— Kogo się boisz, chłopcze?

— Nie dajcie mu mnie — prosił nieznajomy przysuwając się jeszcze bliżej do Blaize'a. — Jeżeli mnie złapie, będzie po mnie.

— Kto taki?

— Chowałem się. Kryłem się w lesie. — Szarpnął za podartą koszulę.

— Kto ty jesteś? Jak się nazywasz?

— Lambert.

— Przed kim uciekałeś? Tego się chcemy dowiedzieć. Nie bój się. Obronimy cię.

Lambert drżał.

— Treherne?

— Treherne!

Popatrzyli na siebie spłoszeni, ale czujni...

A więc Treherne jest w pobliżu. Pierwszy przybił do Taku-nai. Haggerty i Carroll zaczęli gorączkową naradę. Chłopiec oparł się o Blaize'a, pozornie tak wyczerpany, że obojętny na wszystko. Kanakowie, na dźwięk nazwiska Treherne'a, przybiegli od swego ognia i stłoczyli się za plecami Blaize'a, jazgocząc jeden przez drugiego. Krystyna zawołała Kariki i kazała mu biec umoczyć szmatę w źródle. Pośpiesznie wykonał polecenie. Krystyna delikatnie otarła Lambertowi twarz z potu i brudu.

By to uczynić, musiała się przysunąć do Blaize'a. Nagim ramieniem dotknęła jego ramienia, które podtrzymywało Lamberta. Była tak blisko, że Blaize, gdyby odwrócił głowę, mógłby ją pocałować.

Łapiąc oddech mruknął:

— Daj mu spokój. Idź sobie!

Robiła swoje, jakby nie usłyszała. Skończywszy odstąpiła o krok i nie zważając na Blaize'a, strzepnęła w powietrzu szmatę. Poczerwieniał, lecz nim zdążył coś powiedzieć, Carroll zapytał skwapliwie:

— Czy chłopak już przyszedł do siebie? Może gadać? Hej, synku, chcemy się dowiedzieć paru rzeczy. Gdzie jest Treherne?

Lambert odpowiadał słabym głosem. Blandość ustępowała. Poprosił o jedzenie i Kanakowie przynieśli mu z pośpiechem pieczoną rybę i placki. Jedząc zdawał się odzyskiwać siły, które trwoga przed Treherne'em wypłoszyła z jego słabego ciała.

— Gdzie jest Treherne? — powtórzył zniecierpliwiony Carroll. — Czy jest na wyspie?

— Tak. Od strony południowej.

— Jak się tu dostałeś? Biegłeś wybrzeżem?

— Po części. Jest droga przez las.

— Daleko?

Lambert zastanowił się.

— Będzie z ćwierć mili. „San Juan” stoi na kotwicy w zatoce, wrzynającej się głęboko w ląd.

Krystyna poruszyła nogą tłące się polano.

— Dlaczego uciekłeś? — zagadnęła. — Czyś się z nim pokłócił?

Oczy chłopca błysnęły gniewem. Usiadł prosto i Blaize opuścił ramię.

— Pokłóciliśmy się... Jeżeli mu pomagałem, to miałem prawo do udziału w łupie, może nie? Świnia! Chciał mnie oszukać.

— W jakim łupie?

— No, co wydobył z zatopionego statku. Haggerty i Blaize wymienili przerażone spojrzenia.

— Więc już wydobył! Niech go diabli!

— To się, cholera, pośpieszył! — wybuchnął Haggerty. — Jak długo tu jesteście, Lambert?

— Dwa dni.

— Toście się piorunem uwinęli — mruknął Blaize. — Kiedyj on wyłowił skarb?

— Wczoraj.

Krystyna spojrzała ciekawie.

— Co to takiego?

— Zgadujcie — rzekł niechętnie Lambert. — Ja bym wolał wcale tego nie widzieć. Wy, jeżeli chcecie zobaczyć, musicie się pośpieszyć. :

— Pośpieszyć? To Treherne jeszcze nie odpłynął?

— Jeszcze nie. Jutro chce podnieść kotwicę. Carroll już był na nogach. Blaize stanął obok niego.

— Gdzie on jest?

— Trudno na niego zapolować — mówił ociężale Lambert. — Ma przy sobie wielu Kanaków. Ani przystąpić.

Blaize jął się przechadzać tam i z powrotem. Nie chciało mu się wierzyć, że Treherne tak się pośpieszył i że mu się tak udało. Tknięty nagłym podejrzeniem, schylił się i zajrzał jeńcowi w oczy.

— Jak mamy uwierzyć, że to prawda? A jeżeli chcesz nas wyprowadzić w pole? No?

Chłopak rzucił się w tył, jakby dostał postrzał. Twarz mu się wykrzywiła.

— Nienawidzę Treherne'a! — wyrzucił z siłą — Nienawidzę! Słyszycie? Wszystko bym zrobił, żeby go zniszczyć. To zwierz w ludzkiej skórze. Wy nie macie pojęcia, co to za pies! Myślałem, że mnie zabije, gdyśmy się dziś pokłócili. Uciekłem, ale on jeszcze myśli, że wrócę. Ale nie wrócę. Ukrywałem się kilka godzin. Byłem bliski obłądu. Z jakiegoś pagórka zobaczyłem wasze ogniska.

Wyczerpany, osunął się na plecy. Blaize wzruszył ramionami i zwrócił się do Carrolla:

— Co ty na to?

— Mnie się wydaje, że chłopak mówi prawdę. Ale tracimy czas. Weźmy Kanaków i...

— Myślicie, że to się uda? — odezwał się Haggerty. — On ma się na baczności.

— Po cóż miałby się pilnować? — rzekł Blaize. — Lambert, jak myślisz, czy on wie, że my tu jesteśmy?

— Przecież chłopak sam nie wiedział, póki nie zobaczył ognisk — przerwał Carroll. — Radzę iść. Dobra okazja. Treherne jest na wyspie i ma skarb. Jeżeli nie spróbujemy go zaskoczyć, to nam zwieje i tyle go będziemy widzieli.

— Ryzyko — sprzeciwił się Blaize. Carroll zachnął się gniewnie.

— To co z tego? Okazja jakich mało. Treherne nie wie, że tu jesteśmy. Nie spodziewa się nas — a już od strony lądu z pewnością. Przypuszczalnie wytrzeszcza ślepie na morze, czy nie zobaczy świateł „Kulika”.

— Jutro podnosi kotwicę — wtrącił Lambert. — Jeżeli chcecie na niego zapolować, to się śpieszcie. Mogę wam wskazać drogę przez górę. Możecie go jak nic zaskoczyć. Rozbił obóz i nocuje na brzegu.

— Na co czekacie? — rzekł niecierpliwie Carroll i Haggerty dźwignął się ciężko na nogi.

— Los nam sprzyja — wygłosił. — Co się wzdragasz, Blaize? Myślisz, że chłopak kłamie? Ja mu jakoś wierzę.

— Naturalnie. Wszystko w porządku — zdecydowała Krystyna. Spojrzała na Blaize'a, jakby go chciała spalić wzrokiem. — Boisz się? — zapytała chłodno.

— Nie musisz iść. Możesz zostać z Lambertem. Haggerty, Carroll i ja poradzimy sobie bez ciebie.

Oczy ich spotkały się. Był wściekły. Krew mu uderzyła do twarzy. Zwilżył wargi, lecz nim zdążył bluznąć gorzkimi słowami, Carroll wszedł między nich. i położył ostrzegawczo rękę na ramieniu Krystyny.

— Spokojnie. Sama nie wiesz, co mówisz. Gdybyś była mężczyzną, powaliłby cię jednym uderzeniem pięści. I ty daj spokój, Blaize. Haggerty, masz kawałek ołówka? No, dalej, Lambert, weź się w garść i prowadź nas.

— Pójdę z wami — rzekł młodzieniec. Wstał chwiejnie i na próżno usiłował stanąć prosto. Widzieli, że nie będzie miał siły iść z nimi jako przewodnik. Nie znali zaś dostatecznie warunków terenowych wyspy, żeby go nieść, bo to by było ryzyko. Powodzenie ataku zależało od zachowania ciszy. Potknięcie się po ciemku, łomot upadającego ciała i wszystko by przepadło.

Lambert naszkicował plan wyspy. Księżyc stał wysoko, było dostatecznie jasno, żeby po drodze posługiwać się planem.

— O ile sobie dobrze przypominam, to będzie tak — zaczął wreszcie. — Patrzcie. Tu jest zatoczka od północy. Będziecie szli przez lasy, aż traficie na strumień. Przeprowadźcie się w tym miejscu — robię znak — potem skręcicie na prawo i będziecie szli, póki nie zobaczycie wielkiej, spiczastej białej skały, wysokiej na jakieś dwadzieścia stóp. Niemożliwe, żebyście ją przeoczyli. Miniecie ją i będziecie maszerowali dalej prosto w tym samym kierunku mniej więcej milę. Wtedy dojdzie was szum morza. Jak tylko teren zacznie się podnosić, skręcicie ostro na lewo. Tamtędy idźcie wolno, bo to krawędź klifu. Prosto i na lewo — to go znajdziecie.

Oddał papier, Blaize zagłębił się w szkicu.

— Ilu ludzi ma Treherne?

— Jedenastu.

— Weźmiemy z sobą dziesięciu. Dwóch zostawimy.

— Dlaczego? — zapytała Krystyna. Podniósł na nią oczy.

— Samej cię nie zostawię. A gdyby się coś stało?

— Nie zostawisz mnie, bo idę z wami. — Nastroszyła się wyzywająco. — Myślisz, że zgodziłabym się zostać?

— Zostaniesz.

— Ani myślę! — krzyknęła i zaklęła.

— Nie pójdziesz.

— Dlaczego?

Zajrzał w jej buntownicze oczy.

— Bo jesteś kobietą, a w niebezpieczeństwie kobiety tylko zawadzają.

Cofnęła się jak uderzona. Blaize, nie zwracając na nią uwagi, jął wołać Kanaków. Lambert rzekł:

— Wystarczy, jak zostawicie jednego Kanaka. Ja tu będę.

— Co z ciebie za pociecha? — palnął brutalnie Blaize. — Huata-ata, Mori, wy zostaniecie z Krystyną.

— Nie iść walczyć? — spytał z żalem Mori.

— Niech idzie z nami — rozsądził Carroll. — Przy Krystynie zostanie Huata-ata. Im więcej ludzi zabierzemy ze sobą, tym lepiej.

Już się niecierpliwił. Haggerty podzielał jego zapał. Kanakowie kręcili się niespokojnie. Nocny wypad pod przewodem trzech białych panów uradował ich pierwotne serca. O co mieli walczyć i z kim, niewiele ich obchodziło. Dzicy z Degas szczyrzyli wesoło zęby.

Huata-ata usiadł z rezygnacją i zaczął dorzucać dREW do ognia. Lambert leżał jak długi z rękami pod głową, jakby zamierzał spać. Krystyna milczała. Ale gdy oddział ruszył i ona ruszyła. Blaize zawrócił.

— Zostaniesz?

— Dajże spokój! — wtrącił pojednawczo Carroll. — Naturalnie, że zostanie. Krystyna, rozumiesz, że tak będzie najlepiej?

— Ty bądź cicho — fuknął Blaize. — Krystyna, słyszysz?

— Słyszę.

— Jeżeli będziesz za nami szła... Spróbuj tylko, to cię związę. To nie żarty. Związę cię, żebyś nie mogła ruszyć ani ręką, ani nogą. Co byś na to powiedziała, kapitanie Krystyno?

Wykręcił się na pięcie i poszedł za innymi. Krystyna patrzyła, póki nie znikli w mroku lasu, po czym siadła przy ognisku i rozplakała się z wściekłości.

Rozdział drugi

Po chwili odezwał się Lambert:

— Cieszę się, że zostałam. Krystyna ze złością otarła oczy.

— Dlaczego? — zapytała przez ściśnięte gardło.

— Gdybyś wiedziała, co to za szczęście móc pomówić z nim byle nie z Treherne'em.

— Tak bardzo go nienawidzisz?

— Jak jadowitego gada. Znasz go? Z widzenia? Skinęła głową.

— Okrutnik. Takiego jeszcze nie spotkałem. Nie gniewasz się, że ci mówię po imieniu?

Był taki pokorny, taki nieśmiały, że w sercu Krystyny wezbrała litość.

— Nie! Możesz mnie nazywać, jak ci się podoba. Mam tu kurtkę Carrola. Zwinę i podłożę ci pod głowę.

Zakrzętała się troskliwie. Huata-acie kazała upiec jeszcze jedną rybę. Lambert leżał z twarzą zwróconą w jej stronę i wodził za nią oczami.

Po chwili rzekł:

— Usiądź, porozmawiaj ze mną. Krystyna usiadła, ale jeszcze nie było dobrze.

— Nie tak, nie widzę twarzy.

Rozśmieszona tymi kaprysami, przesiadła się. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Teraz możemy porozmawiać. Może druga taka sposobność już się nie trafi.

— Głupstwa mówisz. Nagadamy się jeszcze do woli. Wstrząsnął głową.

— Nie wiesz... — zaczął i umilkł.

Krystyna, zapominając o nim, pogoniła myślami za tamtymi, przedzierającymi się przez lasy. Czy im się uda? Ilu z nich wróci? Serce jej się ścisnęło. A jeżeli w księdze losu jest napisane, że nigdy już nie usłyszy ani rubasznego śmiechu Haggerty'ego, ani żarcików Carrola, że nigdy już nie zobaczy Blaize'a. Blaize'a! Co ją obchodzi Blaize?

— Ten wielki... — mówił Lambert. — Umie się bić, co? Słyszałem. Treherne o nim opowiadał. Jego chce dostać w ręce. Jeżeli się kogoś lęka, to tego Blaize'a. Ale dosięgnie go.

Spoglądał na nią chytrze.

— Nie lubisz go, co? Nie dziwię się. Taki grubianin.

— O nim wارا ci mówić — usłyszała Krystyna swój głos i ze zdziwienia, że to ona tak powiedziała, umilkła. Idiotko — pomyślała — dlaczego się irytujesz?

Czy tylko tobie wolno wygadywać na Blaize'a? Przecież ten chłopak bierze twoją stronę.

Lambert znów wstrząsnął się jak w febrze, Huata-ata dorzucił patyków na ogień.

— Zimno ci? — spytała Krystyna.

— Nie. Ale tak jakoś dziwnie. Słabo mi, jestem śmiertelnie znużony.

— Czy biłeś się z Treherne'em?

— Tak. Wyrznął mnie w piersi z taką siłą, że aż mnie zamroczyło.

— To by trzeba obejrzeć — rzekła szorstko. — Rozepnij koszulę i...

Lambert odmówił stanowczo.

— Nie chcę. Skóra cała.

Był tak zmieszany, że Krystyna roześmiała się. Oczy młodzieńca pochwyciły wdzięczne wygięcie jej odchylonej szyi.

— Jakaś ty śliczna — powiedział z chłopięcą szczerością i przerażony własnym zuchwalstwem, zaczerwienił się.

— Daj spokój — rozkazała, ale on nie zważając na to, powtórzył:

— Jakaś ty śliczna. Zawsze bałem się trochę kobiet, ale ciebie się nie boję. Powiedz mi — czy upatrzyłaś sobie któregoś z nich?

— O kim ty mówisz?

— O Carrollu i o Blaizie.

— Nikogo sobie nie upatrzyłam. Żyję dla siebie. Okropne, co? Ale prawdziwe. Teraz, gdy mi ojciec umarł...

— Ja nie przyłożyłem do tego ręki! — zakrzyczał Lambert. — Chociaż żeglowałem z Treherne'em, nie wiedziałem, co knuł.

— Więc on to zrobił?

— Nie mówił. Ale ja wiem. Krystyna kiwnęła głową.

— Tak. Wszyscy wiemy. Straciłam ojca. Och, to najstraszniejsze nieszczęście, jakie mnie spotkało w życiu. Nie kłamię, mówiąc, że teraz nie dbam o nikogo prócz siebie.

Wyprostowała się i odwróciła głowę. Na wspomnienie Allena oczy zaszczyły jej łzami. Usłyszała szmer. Poczula na ręce rozpaloną dłoń.

— Żal mi cię, bardzo żal — zagadał skwapliwie Lambert. — Nie myśl o tym, co się stało. Może porozmawiamy tak, jakbyśmy się znali od dawna, dobrze? Opowiedz mi o sobie, o dawnych latach, o swoich marzeniach, pragnieniach...

Błagalne oczy chłopaka rozbroiły Krystynę. Zaczęła z nim rozmawiać niemal tak, jak się rozmawia z dzieckiem. Opowiadała mu o figlach, jakie będąc dzieckiem płatała na statku ojca, o karach z rąk Allena i rozsierzonego Haggerty'ego. Lambert słuchał z wielkim zaciekawieniem i raz po raz rzucał

jakieś słowo na przynętę, żeby nie umilkła. Pochłonięta wskrzeszaniem dziecinnych awantur, Krystyna zapomniała o niebezpieczeństwie.

— Kawał diabła był ze mnie — wyznała. — Nie wiem, jak oni mogli ze mną wytrzymać.

Nachyliła się, żeby mu poprawić kompres na czole.

— Nie powinnam tak paplać — powiedziała ze skrucą. — Musi cię boleć głowa.

— Mów dalej — prosił. — Chcę mieć miłe wspomnienie tej nocy, tej rozmowy z tobą.

Krystyna spojrzała nie rozumiejąc.

— Ależ będziemy mieli jeszcze wiele okazji do rozmów. Zostaniesz z nami.

— A gdyby — cedził słowa — a gdyby się tamtym nie udało? A gdyby Treherne zwyciężył?

— Nie waż się robić takich przypuszczeń. Urwała. Lambert świdrował ją oczami.

— Co byś zrobiła, gdyby Treherne zjawił się w tej chwili przed nami?

— Mam rewolwer. Nie zdążyłby dojść do ogniska. Wyjęła broń z pochwy przy pasie i obejrzała lufę.

— Pokaż — rzekł Lambert. Wziął od niej rewolwer i obracał w rękę myśląc, że dla kobiety za ciężki. Ale wiedział, że kształtnym rękoma Krystyny nie brakowało sił. Poczul ich dobroczynną moc, gdy mu pomagała usiąść. Miał ochotę powiedzieć jej...

— Kerisitini! — zawołał szeptem Huata-ata, leżący na brzuchu koło ognia. Nie poruszył się, ale Krystyna pochwyciła w jego głosie ostrzegawczy ton.

— Kerisitini, ktoś długo być chować w drzewa. Nie odwracając głowy zapytała:

— Co widzisz.

— Moja nie widzieć. Moja słyszeć.

— To nie koza?

— Nie ona koza. Ona koza mnóstwo czuć. Moja teraz nie czuć.

Krystyna wiedziała, jak niesamowitą bystrością zmysłów odznaczają się Kanakowie. Pod wrażeniem słów Huata-aty przeoczyła zmianę w twarzy Lamberta.

— Może to Mori wraca?

— Kerisitini, to nie Kanaka. Ona biała człowiek.

Strach opanował Krystynę. Człowiek, ukryty wśród drzew? Kto to jest? Czy załoga „Kulika” została pokonana? Czy jedyny, który się uratował, zakrada się

do niej z hiobową wieścią i nie śmie się pokazać? Huata-ata czołgał się ostrożnie ku ścianie drzew. Chciał się wydostać poza krąg światła, żeby lepiej widzieć.

— Co teraz słyszysz? — szepnęła Krystyna, gdy ją mijał.

— Ona chodzić. Może moja dojsć blisko i zobaczyć. Oddalił się niby pies, który podchodzi zwierzynę. W Krystynie serce załomotało.

— Oddaj rewolwer.

Lambert oddał rewolwer bez słowa. Poczawszy w rękę znaną kolbę, Krystyna nabrała odwagi. Nie na długo jednak. Dziwna cisza zaczęła ją przejmować niepokojem. Huata-ata leżał poza kręgiem światła z ogniska. Chciała go przywołać, powiedzieć mu, że się omylił, ale nie mogła wydobyć głosu. Wiedziała, że nie było omyłki.

Ukłęka koło Lamberta. Oddychał szybko, gorączkowo. Spojrzała. Był strasznie blady. Jedną rękę trzymał w kieszeni, jakby tam miał coś cennego i bał się zgubić, postradać. Krystynie przyszło przez myśl: Boi się Treherne'a...

— Nie martw się — rzekła spokojnie do Lamberta. — Jeżeli to Treherne, to położę go trupem, nim zdąży podnieść rękę.

Zupełnie nieruchoma, skulona obok niego trzymała rewolwer w pogotowiu. Lambert przewrócił się na brzuch, kryjąc twarz w ramionach. Słyszała, jak mrucał do siebie urywanym głosem.

— Opamiętaj się! — fuknęła. — Nie możesz wstać? Nie odpowiedział. Wzruszyła ramionami.

Nie było czasu przejmować się smarkaczem. Ale zmartwiła się, że okazał się takim tchórzem. Chociaż po tym, co musiał wycierpieć od Treherne'a...

Huata-ata zawył i skoczył w ciemność. Wywiązała się walka. Huknął rewolwer, ostro, szczekliwie. Huata-ata wrzasnął z bólu. Krystyna zerwała się, chcąc pędzić do bitwy, ale na widok postaci, która wynurzyła się z pomroki drzew na światło księżycowe, stanęła jak wryta. Podniosła rewolwer i pociągnęła za spust.

Spust trzasnął i nic. Co się stało?

Przecież gdy podawała rewolwer Lambertowi, był nabity.

Gdy podawała rewolwer Lambertowi...

Broń wysunęła jej się z ręki i szcęknęła o kamienie. Ktoś pewnym, zuchwałym krokiem szedł w jej stronę.

Krystyna stała nieruchomo, niezdolna przemówić słowa. Podeszedł tak blisko, że blask ogniska zamigotał czerwono w złotych kolczykach, tych samych, w których go widziała pod lampą przy ojcowskim stole. Przemówił głosem ochrypłym z triumfu:

— Ręce do góry, Krystyno!

CZĘŚĆ DZIEWIĄTA

Rozdział pierwszy

Treherne spoglądał obojętnym wzrokiem na dziewczynę, kryjąc zadowolenie i satysfakcję. Co za zdobycz! — myślał. — Boże! co za zdobycz! Stała przed nim dumna i bezbronna! Ale ujarzmi ją, nie ma strachu! Skończy się na tym, że rzuci ją na kolana. Jaka śliczna z rękami nad tą ciemną głową! Przesunął doświadczone okiem po krągłych zarysach jej figury.

— Możesz opuścić — rzekł niespodziewanie.

Opuściła ręce. Była oszołomiona. Nie mogła sobie wyobrazić, skąd wziął się tu tak nagle. Więc już po walce? Może Blaize już nie żyje.

— Gdzie oni są? — zapytała. — Co się stało?

Nie odpowiedział. Rozglądał się za czymś. Wtem schylił się, podniósł linkę porzuconą przez Carrolla i pogwizdując cicho, przywiązał jedną rękę Krystyny do swojego przegubu.

— Na wszelki wypadek — mruknął. — Mogłoby ci się zebrać na ucieczkę. Musiałbym cię postrzelić w ramię, a nie chcę. Chodź do ognia. Usiądź.

Krystyna posłuchała niechętnie. Usiadła plecami do niego, ale nic na to nie powiedział.

— Byłabyś mnie kropnęła, co? — zapytał. — Miła dziewczynka! Dlaczego nie strzeliłaś?

— Magazynek był pusty.

— Rozumiem. Czyli to, że żyję, mam do zawdzięczenia Lambertowi.

Spojrzał na nieszczęśliwą, czerwoną ze wstydu twarz młodzieńca.

— Co, Lambert?

Nie było odpowiedzi. Słowa Treherne'a poraziły Krystynę.

— Podstęp? — rzekła twardo. — Uknuliście to we dwóch?

— Zgadłaś, moja panno. Lambert pięknie się wywiązał z polecenia. Wszystko słyszałem. Wiedziałeś, że słucham, co, synku?

Krystyna nie mogła mówić. Lambert, którym się zaopiekowali jak przyjacielem, był szpiegiem i wysłańcem Treherne'a. Lambert utorował mu drogę.

— Musiałem to zrobić — wyrzucił. — Gardzę sobą. Byłbym cię ostrzegł, Krystyno, gdybym mógł. Ale on był za blisko.

Treherne kiwnął głową.

— Właśnie — potwierdził. — Byłem tak blisko, że słyszałem każde słowo. W tym cichym powietrzu szeptać służyć na pięćdziesiąt kroków. Lambert wiedział, że do niego celuję. Wiedziałaś, prawda?

— Wiedziałem — ponuro odmruknął Lambert.

— Świetnie się udało — mówił Treherne. — Nawet rozładował panience rewolwer. Dobrze odmierzyłeś czas, mój chłopcze. Kusiło cię palnąć do mnie na oślep. Może nieprawda? Twoje szczęście, żeś się rozmyślił.

Huata-ata wydawał ciche, zduszone jęki. Krystynie serce się krajało. Rzekła prędko:

— Kanak ciężko ranny. Proszę mnie do niego puścić. To nasz majtek.

— Nie martw się — odparł niedbale Treherne. — Postrzeliłem go w nogę, żeby nie pogalopował za tamtymi. Ale, ale, nie możemy tracić czasu. Zaraz — już teraz zrobili trzy czwarte drogi. Czas nam ruszać.

— Jak to?

— A co myślałaś, że będziemy na nich czekać z kolacją? Nie, moja dziewczeczko, musiałem usunąć bractwo z drogi, żebyśmy tymczasem zdążyli odpłynąć na Amanu.

— Na Amanu?

— Właśnie. Tam najłatwiej złapać statek na Tahiti. Z Tahiti machniemy się do Frisco. Nie zapominaj, że chcę sprzedać moją zdobycz na najlepszym rynku.

— To po co to wszystko? — zapytała. — Mogliście odpłynąć w tajemnicy przed nami zaraz dzisiejszej nocy, po ciemku. Nawet nie wiedzieliśmy, że jesteście na wyspie.

— No, tak, mogliśmy. Tylko widzisz... Treherne tarł się po brodzie.

Głos mu się zmienił. Krystyna obejrzała się szybko. Patrzył na nią przenikliwie.

— .. .widzisz, chciałem cię zabrać z sobą ... Lambert!

— Co?

— Ruszaj się. Czas nagli.

— Az tym dzikim co będzie?

— Idź po niego.

Lambert wstał otrząsając się jak pies. Wiedział, że Krystyna patrzy na niego, ale unikał jej wzroku. Powłókł się do Huata-aty. Kanak, jęcząc, podtrzymywał rękami zranioną nogę. Lambert pochwycił go brutalnie za ramiona i przyciągnął do ognia.

— O, Kerisitini — zawodził ranny — ona kula kąsać mnóstwo bardzo.

Treherne wziął kurtkę, którą Lambert miał pod głową, strząsnął, rozłożył na ziemi i ciachnął wzdłuż nożem. Materiał cienki, lecz mocny, nadawał się

świetnie na więzy do skrępowania rąk i nóg Huata-acie. Naciąwszy dość pasów Treherne wykręcił mu ręce w tył i mocno związał. W ten sam sposób, mimo że Kanak rzucał się i krzyczał, unieruchomił mu nogi. Krwawiącą ranę obandażował jako tako, w usta, błagające żałośnie litości, wepchnął knebel, po czym odciągnął bezwładne ciało o pięćdziesiąt kroków od ogniska. Krystyna musiała się zerwać i iść za nim, bo trzymał ją na sznurze. Co chwila się potykała. Treherne złożył jeńca pod krzakami.

— Tu mu będzie dobrze — rzekł prostując się. — Nie zacznij mi się tylko oburzać, że się znęcam nad bliźnim. Pewnie hultaj ma na sumieniu rzeczy daleko gorsze niż ja.

— E! Chyba nie zamordował człowieka na zimno?

— Gorzej — odparł spokojnie Treherne. — Chyba wiesz, moja panienko, co się dzieje na ich ucztach. Taki sam zwierz jak inni. Haggerty go tu znajdzie, a nie Haggerty, to kto inny. Przynajmniej odwalimy kawał drogi na Amanu.

Wrócił do ognia. Lambert stał, zapatrzony w płomienie, z wyrazem takiej rozpacz na twarzy, że Krystynę mimo gniewu tknęła litość. Obok barczystego, krępego Treherne'a wyglądał opłakanie krucho. Ten odepchnął go na bok niedbale jak psa.

— Słuchajcie — rzekł Treherne wyciągając ręce do żaru. — „San Juan” czeka o milę stąd. Tam się udamy. Ale musimy się śpieszyć, bo nas Haggerty gotów zaskoczyć. Pan Bóg wie, jak długo będą głupcy gonić wiatr w polu. Mogą się spostrzec lada minuta. Lambert, podaj mi tamtą szmatę. Czysta? Dobra. Połóż tutaj. Teraz, moja królowo, daj mi drugą rękę.

— Po co?

— Związę obie — odpowiedział słodko. — Z tyłu. Iść będzie zupełnie wygodnie. Nie masz się czego bać.

Uważał, bo wiedział, że będzie próbowała oporu. Krystyna oddychała szybko, szarpiąc się w przód. Nie zwracał na to uwagi. Związał jej z ręce paskiem materiału, który mu rzucił Lambert.

— Puść mnie! — zawołała zduszonym głosem. Szamotała się jak szalona, podczas gdy on stał obok i czekał. Musiała się przecież w końcu spostrzec, że bunt nie zda się na nic.

— Jeszcze sobie coś zrobisz — powiedział. — Tym razem radzę ci się pogodzić z losem, Krystyno. Mam cię w ręku. Ten węzeł nie puści.

Krystyna dała spokój. Stała zadyszana i czerwona, z oczami rozognionymi gniewem. Ale wiedziała, że jest rzeczywiście bezsilna.

— Słuchaj no, możesz wyprawiać, co ci się podoba, ale w końcu będzie tak, jak ja zechcę. Teraz mnie nie lubisz, ślicznotko. Nigdy nie miałaś do mnie

skłonności. Raz nawet uderzyłaś mnie w twarz. No, ale przyjdą takie czasy, że jak łaski będziesz wyglądała ode mnie dobrego słowa... Ja nie mówię na wiatr... Na razie jednak jesteś bezpieczna. Zamierzam zwiać na Amanu, stamtąd na Tahiti, a z Tahiti do Frisco. Ale coś ci powiem ku przestrodze... Wiesz, czego chcę. Jeżeli będziesz rozsądna, oszczędzisz sobie wielu przykrości. Ostatecznie jeżeli nie ja, to byłby inny. Wy, kobiety, zanadto się cenicie.

Krystyna udawała, że nie słyszy. Treherne wziął strzęp szmaty i jął machinalnie skręcać w kłębek.

— Na knebel — oznajmił srogo. — Miałaś kiedyś w buzi taki interes? Nie, naturalnie. Będzie cię uwierało w usta, ale nie mogę ryzykować. Narobiłabyś wrzasku i wydałabyś nas.

Krystyna spojrzała z odrazą na strzęp z kurtki Carrolla.

— A jeżeli dam słowo honoru, że nie będę krzyczeć?

— Kobiece słowo honoru! — zaśmiał się kpiąco Treherne. — Czy masz mnie za takiego dudka jak Lambert?

I błyskawicznym ruchem wepchnął jej knebel w usta. Szorstki materiał drapał w język. W pierwszej chwili miała uczucie, że się dusi, lecz to zaraz przeszło. Pozostało uczucie upokorzenia i bezsilności.

Treherne ujął mocno Krystynę za prawe ramię i pchnął w ciemność. Lambert, nim ruszył za nimi, dołożył gałęzi do ogniska. Treherne niecierpliwił się.

— Chodź, chodź! — zaczął wołać. Lambert wstał, otrzepał kurz z kolan i podążył za swoim kapitanem.

Maszerowali przez las skręcając wciąż w lewo. Grunt podnosił się stromo i Krystyna przekonała się, jak trudno jest utrzymać równowagę bez pomocy swobodnie zwisających rąk. Po jakimś czasie Treherne kazał Lambertowi wziąć ją pod drugą rękę. Tak szła między nimi. Grunt był wyboisty. Krystyna chciała wołać, prosić, żeby przystanęli, żeby jej pozwolili odetchnąć i nie mogła, a oni maszerowali wciąż z jednakowym pośpiechem. Trwało to blisko godzinę. Chwilami skręcali na wybrzeże, chwilami parli na oślep przez gąszcze. Krystynie serce waliło młotem, przepocone ubranie przylgnęło nieprzyjemnie do skóry, w ustach zasychało boleśnie. Mężczyźni nie puszczaali jej ramion. Palce ich wpijały się do bólu w jej delikatne ciało.

Raptem zobaczyła ziemię tuż przy twarzy. Potknęła się o lianę i upadła. Leżąc tak bezradnie, usłyszała, jak Treherne zaklął pod nosem. Szybko porwał ją z ziemi, uniósł w powietrze, zarzucił sobie na ramię, przytrzymał poniżej bioder i puścili się obaj biegiem.

Jeżeli marsz był przykry, to pozycja dźwiganej ofiary stokroć gorsza. Krystyna obawiała się, że przybędzie na miejsce z nadwerężonymi stawami.

Głowa jej zwisała w dół, w gardle czuła duszącą opuchlinę. Słyszała, jak Lambert mruczał i sapał, usiłując dotrzymać kroku swemu kapitanowi.

Weszli na mokradła i brnęli przez nie po kolana w błocie. Rosły tu czerwone lilie, napełniające powietrze niebezpieczną duszną wonią. Krew tętniła Krystynie w skroniach. Muszę być cała w sińcach — myślała. A tymczasem Treherne, mimo protestów Lamberta, nie zwalniał. Nie odzywał się też, tylko w trudniejszych miejscach postękiwał. Wydostali się z bagniska i dalej parli przez gęste poszycie. Wężowate pnącza oplątywały im nogi. Kolczaste krzaki chwyciły za odzież. Blisko dwadzieścia minut walczyli z płataniną łodyg i pni. Wreszcie wyszli na wolną przestrzeń. Wiatr zawiewał od wschodu.

Treherne stanął i postawił dziewczynę. Osunęła się na ziemię, na wpół zemdlna. Lambert z ulgą rzucił się obok jak długi. Klif był tuż-tuż. Treherne spojrział z uśmiechem ku spokojnemu morzu.

— O, na Boga! — zgrzytnął zjadliwie Lambert. — Jest się z czego śmiać!

— Ano, jest — zgodził się Treherne. — Wiesz, w czym rzecz? Nie wiesz, to ci powiem. Oni mogą dotrzeć na Amanu przed nami.

Odrzucił głowę w tył i zaniósł się szyderczym śmiechem. Krystyna widziała w blasku księżyca jego potężną, muskularną odchyłoną w tył szyję i okrutne wpółotwarte usta...

Rozdział drugi

Pierwszy dotarł do ogniska Blaize. Za nim ciągnął Carroll i Kanakowie w pełnym biegu, a na końcu zasapany tłuszcioch, Haggerty. Gnali z góry na dół, nagleni strachem. Pod rozpędzonymi nogami trzaskały suche patyki. Blaize pędził, jakby go ścigali, szepcząc imię Krystyny. Każdy dobiegał i stawał zadyszany i oszołomiony. Gdzie Krystyna? Gdzie Lambert? Gdzie ci dwoje, którzy byli świadkami ich odmarszu? Pierwszy odzyskał mowę Carroll.

— Podstęp! — zawołał. — Gdzie oni są? Ten Lambert — zadławię jak psa! A gdzie Huata-ata?

— Na nic — bąknął Haggerty. — To sprawka Treherne'a. Czuję przez skórę. Ganialiśmy po tej wyspie jak stado osłów. Przeklęty szczeniak — w prawo, w lewo, w prawo. Piekło i szatani! Niech ja go dostanę w swoje ręce!

Wytarł o spodnie mokre dłonie i splunął z wściekłością. Dostrzegłszy strzępek materiału schylił się z wysiłkiem, żeby go podnieść.

— Hej! popatrzcie! Czy to nie z twojej kurtki, Carroll? Carroll wziął szmatkę.

— A jakże. Drugi kawałek widzę koło ognia. Strzępy rękawa. Widzicie? Nadcięte nożem, a dalej udarte.

Z kolei Blaize wziął strzępek i uważnie go obejrzał.

— Czy jest tego więcej? Prawdopodobnie spaliło się. Popatrzcie naokoło. Może coś wykryjemy.

— Tak jak i wykryliśmy „San Juana” — zauważył Haggerty.

Blaize, wściekły, że gonili wiatr w polu, zaczął kłać. Jak długo ich nie było? Dostatecznie długo, żeby tymczasem Krystyna zniknęła — rozmyślał gorzko. Tak długo, że wyszli na idiotów. Nim się spostrzegli, że się oddalają od morza, zdeptali pół wyspy.

Lambert musiał na to liczyć. Musiał się śmiać w kułak, że szukają klifów, oddalonych o całe mile. Ale może Lambert był uczciwy. Może Treherne wytropił go i podszedł podstępnie.

Blaize przewrócił się w mroku o coś czarnego, wielkiego. Wstając, trafił przypadkiem ręką na ludzką nogę. Narobił krzyku. Nadbiegł Carroll.

— Co takiego?

— Ktoś tu leży związany. Huata-ata?

Podźwignął rannego i z pomocą Carrolla przeniósł do ogniska. Tu położyli go na ziemi i poprzecinali więzy. Haggerty wyjął mu z ust knebel.

— O, psiakość! Nie żyje?

— E, żyje. — Carroll przytknął ucho do ciemnej piersi Kanaka. — Ale rana paskudna. Musiał stracić wiele krwi. Ciekawe, kto go tak spętał?

— I kto postrzelił? — dodał Blaize rozcierając bezwładne członki Kanaka. — Dlaczegośmy, do diabła, nie zostawili ze sześciu Kanaków zamiast jednego?

Kanakowie zbili się naokoło w trwożną grupę. Dużo czasu upłynęło, zanim Huata-ata otworzył oczy. Rozejrzawszy się nieprzytomnie, spróbował usiąść.

Haggerty nalał do kubka gorącej wody z wódką i przytknął mu do opuchniętych ust. Ranny pociągał napój mlaszcząc smakowicie. Ból w nodze przywrócił mu całkowitą przytomność. Wyrzucił ręce nad głowę i zadyszał:

— Ona Kerisitini! Ona Kerisitini! O! Bilase, ona iść Tereherini.

— Treherne!

— Od razu wiedziałem — rzekł Haggerty. — A wiesz, co się stało z Lambertem?

— Wiedzieć — odparł słabo Huata-ata.

— Więc, co?

— Iść Tereherini. Ona Lamiba lubić Tereherini.

— Lubi go? Chciał iść? — zdumiał się Carroll. Haggerty zaklął siarczyście.

— Wyprowadził nas w pole! Żeby go oślepiło! Został tutaj z Krystyną i przygotował pole dla Treherne'a. Blaize! I co teraz, do stu piorunów?

— Musimy ich szukać — podsunął Carroll. — Nie mogli ująć daleko.

— Pytam Blaize'a — fuknął Haggerty. Mów, co według ciebie należy zrobić? Szukać ich po ciemku...

Urwał bezradnie.

— Czy myślisz, że oni naprawdę wydobyli skarb? — zapytał. — Czy może Lambert i w tym zełgał?

— Bilase — zabrzmiał markotny głos.

— Co?

— Ona Tereherini iść na Amanu.

— Tak słyszałeś?

— Wszystka słuchać, Bilase.

— No, to przepadło — zdecydował z krańcową rozpaczą Carroll. — Gdyby zostali na wyspie, może udałoby się jeszcze ich zaskoczyć. Ale jeżeli pożeglowali na Amanu... Założę się, że pożeglowali. Nie marudziliby tu bez potrzeby.

Kopnął z pasją nie wygasłe szczątki ogniska. Żar rozprysł się na wszystkie strony, wybuch płomyków oświetlił czerwono jego jasne włosy i podnieconą twarz.

— Amanu! Szczęście, że Huata-ata nadstawiał uszu. Blaize zajął się raną Huata-aty. Zręcznymi palcami szukał kuli. Kanak zaciskał bohatersko zęby. Wiedział, że musi znieść ten ból. Inni, siedząc w kucki, pomrukiwali ze

współczuciem, że tyle krwi płynie. Blaize ujął kulę palcami i pokazał im. Podniósł się wrzask zadowolenia. Rzucił im krwiożerczą, ołowianą gadzinę, a oni lżyli ją i przezywali plugawymi słowami.

— Jeżeli pożeglowali na Amanu, to i my musimy podnieść kotwicę — mówił Haggerty. — Na Boga! co on zrobił z Krystyną?

Blaize pochylił się nad raną, którą opatrywał. Krople potu świeciły mu na czole i na karku.

— To jasna rzecz! — zgrzytnął. — Nie mamy się co łudzić. Wstał i tamci zobaczyli, jak strasznie zbladł.

— Nie bierz tak tego do serca — rzekł porywczy Carroll. — Jeszcze go złapiemy. A ona — jeżeli ktoś potrafi się bronić, to Krystyna. Słuchaj, rozdzielimy się na dwie grupy i zaczniemy szukać. Należy przypuszczać, że jeszcze nie wyszli w morze.

Chwiał się ze zmęczenia, ale prostując się przywołał trzech Kanaków i wszyscy ruszyli naprzód. Nie uszli dwudziestu kroków, gdy Blaize kazał im zawrócić.

— Z powrotem. Tona nic. Kanakowie ledwie się trzymają na nogach. Za parę godzin wszędzie słońce. Jeżeli Treherne jeszcze jest na wyspie, to na pewno blisko się tu nie kręci. Zaczekajcie do rana.

Haggerty zdecydował inaczej.

— Nie, nie możemy czekać. Od razu na pokład. Nie ma minuty do stracenia. Jeżeli uda się ich dogonić, zanim opuszczą Amanu... Powinno się udać. Tak, wiem, że „Kulik” nie jest chartem, ale potrafi deptać po piętach.

— Masz słuszność, Haggerty — odezwał się Carroll. — Dobrze gadasz. Nie ma co marudzić. Jeżeli Huata-ata się nie przesłyszał...

— Na pewno się nie przesłyszał. Powinniśmy gonić, póki warto. Hej, Blaize?’ Blaize odwrócił się.

— Jeżeli chcecie, żeglujcie. Ja zostaję. Popatrzyli na niego oszołomieni.

— Zostajesz? — opamiętał się wreszcie Haggerty. — Dlaczego? Po co? Mów!

— Mnie się zdaje, że Treherne kłamał, żeby nam popsuć szyki.

— Jak to?

— Po jakiego licha wspominał o Amanu, wiedząc, że Huata-ata słucha?

— Może się nad tym nie zastanowił. Więc ty uważasz, że powiedział to umyślnie, żeby nas oszukać.

— To jasne — potwierdził Blaize. — Na mój rozum, jemu właśnie o to chodziło, żeby Huata-ata usłyszał i w ten sposób skierował nas na błędny szlak.

Carroll rozważał przypuszczenie towarzysza.

— Trochę to nieprawdopodobne — rzekł wreszcie. — Treherne nie jest na ogół aż tak chytry. Niby wszystko jest możliwe, ale ja bym głosował za Haggertym, żeby śpieszyć na Amanu.

A ja chcę zostać na Takunai — obstawał przy swoim Blaize. — Możecie mi dać trochę prowiantu i koszulę.

— I paru ludzi.

— Nie potrzeba.

— Nie możesz tu zostać sam.

— Nie gadaj, nie gadaj — ofuknął go Blaize. — Moja rzecz, jeżeli chcę ryzykować. Zostanę sam. Po co mi Kanakowie? Jeżeli Treherne już odpłynął, to nie będą potrzebni, a jeżeli został, to ze strachu przed nim gotowi by przejść do niego. Wiadomo, jak się go boją.

Kłócili się nie na żarty. Blaize siedział koło ognia z zaciętym wyrazem twarzy, który Carroll tak dobrze znał. Starał się wybić mu z głowy jego pomysł, choć wiedział, że nic z tego nie będzie. Kanakowie pospali się na piasku, jak psy z nosami pochowanymi w plecach sąsiadów. Haggerty, walcząc z sennością, kiwał się niezgrabnie. Carroll i Blaize spierali się po cichu do upadłego. Obaj byli wściekli i żaden nie dawał się przekonać. Carroll był zdania, że Treherne pośpieszy natychmiast na Amanu i będzie się starał przemycić swój łup na Tahiti, a stamtąd do Stanów. Wobec tego należało go ścigać co tchu, bo była to ostatnia sposobność. Ale Blaize potrząsał głową. W jego przekonaniu Treherne chciał ich po prostu wystrychnąć chytrze na dudków. Był przekonany, że łotr jest jeszcze na Takunai.

— Po co by się zdradzał przed Huata-atą z zamiarem podróży na Amanu? — pytał nie dając zniecierpliwionemu Carrollowi dojść do słowa. — Nie, to nie była zwyczajna niedbałość. A jeżeli Lambert nakłamał o skarbie? Jeżeli go jeszcze nie wydobyli? Czy w takim razie Treherne nie starałby się wypędzić nas z wyspy?

Carroll zaniechał dalszej argumentacji. Wstał i jął budzić Kanaków kopniakami. Haggerty ocknął się, ziewnął straszliwie szeroko i dźwignął się na nogi.

— Noo? — rozdziawił usta — I co, Blaize?

— Ano zostaje — uciał krótko Carroll. — O, na Boga! Haggerty, nie zaczynaj od początku! Ochryplęm od tego gadania, a ten nic. Jak kamień.

Zeszli nad wodę senną, potykającą się gromadką. Gwiazdy już bladły, do świtu było niedaleko. Chłód szczypał i Carroll obciągnął rękawy. Szalupa leżała na piasku. Gdy ją spychali na wodę, kil zgrzytał o żwir.

Blaize, sam przy dogasającym ognisku, słyszał plusk wioseł. Carroll miał mu przywieźć ze statku żywność i derkę. Siedząc tyłem do wybrzeża, Blaize wpatrywał się w czerwony żar, który już przechodził w popiół. Przypomniawsobie, z jakim śmiechem Krystyna pomagała mu rzucać drewno na ogień. Czy będzie się jeszcze kiedyś śmiała?

Carroll wyszedł z łodzi. Rzucił przyjacielowi kilka puszek żywności i szarą derkę...

— Blaize!

— Co tam?

— Pożeglujemy na Amanu i zasięgniemy języka. Może nawet dościgniemy „San Juana” przed portem. Jeżeli się okaże, żeśmy dobrze wykombinowali, będziemy prowadzili polowanie do skutku. Ale jeżeli ich nie wytropimy na Amanu, wrócimy piorunem.

Nie było odpowiedzi. Carroll zawahał się i zapytał:

— Jesteś zadowolony? Ciężko mi cię zostawić. A może zatrzymamy się jeszcze jeden dzień i przepatrzymy wyspę.

— Nie. Lepiej ruszajcie od razu. Jeżeli się nie mylisz, zmarnowalibyście całą dobę.

— Życzę ci szczęścia — rzucił Carroll na pożegnanie.

— Oj, będę go potrzebował. Bywaj, bracie!

Podali sobie ręce, które zwały się w mocnym uścisku i Carroll podążył nad morze. Mrok ustępował szybko przed brzaskiem. Niebawem zgrzytnął łańcuch kotwiczny, zatrzeszczały liny, zabrzmiał rozkazujący głos Haggerty'ego. „Kulik” wychodził powoli w morze.

Blaize patrzył za nim, póki mu nie zniknął z oczu. Wtedy obrócił twarz ku Takunai.

CZĘŚĆ DZIESIĄTA

Rozdział pierwszy

— Hej! — zawołał Treherne do Lamberta. — Odpłynął?

— Odpłynął.

Młodzieniec siadł na brzegu i zabawiał się drobnymi kamyczkami. Był czerwony i spocony. Przez rozpiętą koszulę słońce prażyło białą gładką skórę.

— Diabelska droga pod tę górę — rzekł. — Chce mi się pić. a Treherne nie poruszył się.

— Dobry statek — rozważał — ale z „San Juanem” nie może się równać. Wiesz, obawiałem się jednak, że nie połkną przynęty. Swoją drogą dobrze odegrałeś komedię. Zwłaszcza ten kawałek o mnie. Gotów jestem pomyśleć, że tu nie udawałeś.

Lambert wił się pod wzrokiem dręczyciela.

— Więc „Kulik” żegluj na Amanu, a „San Juan” stoi przy Takunai — ciągnął Treherne. — Podstęp się udał. My tymczasem wydobędziemy skarb, byle szczęście sprzyjało. Żeby się tak dziś udało wymacać „Konstantyna”.

Spojrzał na Krystynę. Siedziała o kilkanaście kroków od niego i, obejmując kolana rękami, patrzyła na morze. Niejasno świadoma, że jej krzywdziciele rozmawiają, nie chwytала jednak treści ich narady. W tej chwili jedna tylko myśl zaprzętała jej uwagę. Treherne dostał ją w łapy i jego nie ukrywane zadowolenie przyprawiało ją o tortury, jakich jeszcze w życiu nie zaznała. Ostre, kłujące spojrzenia Treherne'a wzmagaly jej niepokój. Wiedziała, że stoczy z nim walkę, ale jak długo będzie trwała niepewność?

— Słyszysz? — mówił do niej Treherne. — „Kulik” wyprawił się na Amanu w pościgu za nami.

— Słyszę — odpowiedziała tępo.

— Zabiorę cię teraz na pokład. Będzie ci wygodnie, jak na własnym statku. Ale — ostrzegam — jeżeli spróbujesz ucieczki, rozprawię się z tobą tak, że przeklniesz dzień, w którym ujrzałaś światło dzienne. Zrozumiano? Mam dość Kanaków, żeby było komu mieć na ciebie oko i w razie czego wytropić na wyspie.

Wstał i podszedł bliżej. Gdy spojrzał z góry na lśniącą czarną główkę, zdjęła go nagła pokusa ująć „małą” pod brodę i pocałować w usta. Ale zaraz przyszła refleksja: Zaczekaj. Wpierw uporaj się z robotą. Teraz cię nienawidzi. Walczyłaby jak pantera. Daj jej trochę czasu, może nabierze rozumu. Zbyt cenny kasek, żeby tak szast-prast... Otóż to! W Krystynie było coś, czego pożądał

jeszcze gwałtowniej niż jej wspaniałego ciała. Jakaś nieuchwytna właściwość, której nie umiał nazwać, odróżniała ją od większości kobiet, jakie kiedykolwiek go interesowały. Aż mu się chciało śmiać z siebie samego. Jednak fakt pozostawał faktem, że on, Treherne z „San Juana”, on, który nigdy niczego sobie nie odmawiał, czuł teraz skrepowanie. Zaczął mówić, zająknął się i umilkł. Krystyna podniosła oczy.

— Czy mam krzyczeć za każdym razem, jak do mnie podchodzisz, Treherne?
— zapytała niedbale. — Jeżeli chcesz, to i owszem.

Odszedł rozgniewany. Czy to możliwe, że ona z niego kpi? Zawołał do Kanaków, żeby przygotowali szalupę. Słyszając to Krystyna wstała i zeszła nad wodę. Ciekawa była, jak długo uda jej się zachowywać na pozór spokojnie i z dystansem. Zrozumiała, że jest to jedyna bezpieczna taktyka, wobec której Treherne czuł się bezradny. Błagania, wybuchy histeryczne nie sprawiłyby mu kłopotu, otwarte wyzwanie przyjąłby z satysfakcją, bo często miewał z tym do czynienia. Ale żeby ktoś się z niego śmiał...

Krystyna zaczekała, aż podszedł do szalupy. Wyciągnęła potulnie obie ręce.

— Czego chcesz? — zapytał.

— Nie zwiążesz mi rąk, Treherne? — zdziwiła się, otwierając szeroko oczy.
— Czy nie byłoby bezpieczniej?

— Wsiadaj — uciał.

Usiadła na wprost niego. Wpatrywała się weń przy tym tak badawczo, że zaczęło mu się robić nieprzyjemnie. Kanakowie pochylili się nad wiosłami. Treherne nie wytrzymał:

— Co ty? Co tak patrzysz?

— Czemu kapitan nie zapuści brody? — rzekła tonem swobodnej pogawędki.

— Nie zadajemy sobie częstego trudu z goleniem, co?

— Co cię to obchodzi? — burknął.

— Na razie nic, ale pewnie niedługo mój pogromca zechce mnie wycalować, a nie chcę, żeby mi ta szczecina zdrapała skórę.

Lambert parsknął śmiechem. Treherne rzucił mu groźne spojrzenie. Zapanowało milczenie. Niebawem szalupa stuknęła o burtę „San Juana”. Z pokładu zwieszała się lina. Wdrapali się po kolei. Krystyna zaciskała ręce, żeby nie było widać, że drżą. Stała niespokojna. Tymczasem majtkowie umocowywali szalupę na rufie. Morze było gładkie i można było zabrać na małą łódkę specjalną skrzynkę ze szklanym oknem do obserwacji głębin morskich, celem odkrycia pozycji „Konstantyna”. Podniesiono kotwicę, „San Juan” zadrzał i kierowany rękami Lamberta, jał sunąć po wodzie.

Gdy oddalili się o jakieś dwieście metrów od brzegu, przy kole stanął Treherne. Miał przy sobie mapkę Petersa. Musieli opłynąć wyspę od południa i skręcić na północny zachód. „San Juan” wymijał zgrabnie rafy, to idąc pod wiatr, to bokiem do fali. Treherne poruszał się wolno i co chwila opuszczał ołowiankę. Nie chciał ryzykować. Krystyna poszła w zapomnienie. Wypadki ubiegłej nocy; udana gra zostały rychło zapomniane. Praca pochłaniała go całkowicie. W tej chwili myślał tylko o statku. Sterował mistrzowsko na przekór wiatrowi, prądom i zachłanności morza. „San Juan”, uległy jego woli, posuwał się wśród przeszkód lekkimi ruchami kobiety, która przechodząc przez błoto, nie chce się ubrudzić. Rafy na południe od Takunai były daleko niebezpieczniejsze od północnych. Tylko w tym celu, żeby się ukryć. Treherne opłynął wyspę, zamiast zostać na północnym wybrzeżu, gdzie by go przecież wypatrzone z pokładu „Kulika”.

Krystyna zaczęła rozumieć, dlaczego ludzie morza mówili z takim podziwem o jego kunszcie żeglarskim. Jako żeglarka potrafiła ocenić jego nadzwyczajną władzę nad statkiem. To już nie był kapitan „San Juana”, to był wcielony duch „San Juana”. Podeszła bliżej i patrzyła z podziwem. Od zręczności Treherne'a zależało życie czternastu osób. Jedno niedbałe poruszenie ręki i zielona toń mogła ich pochłonąć bez ratunku...

Upływały godziny. W południe boy zawołał Krystynę i Lamberta na dół. Jedzenie było na stole, ale żadne nie mogło przełknąć jednego kęsa, tak byli wobec siebie skrępowani. W końcu Lambert wstał, odsunął kopnięciem stół i czerwony jak burak, z rękami w kieszeniach, skierował się do drzwi.

— Potem zjem — mruknął.

Wyglądał jak skruszony uczeń. Krystynie zrobiło się go żal.

— Chodź i siadaj — powiedziała. — Nie masz ochoty rozmawiać, to nie.

Lambert odwrócił się, a Krystyna pomyślała mimochodem: Jakiż on piękny. Ale charakter pod psem. Powinien się być urodzić kobietą. Te wielkie oczy — zupełnie kobiece!

— Żebyś wiedziała, jak mi jest okropnie! — wybuchnął.

— Myślałeś, że ci będzie miło? — odparła spokojnie. — Pięknie się odwdzięczyłeś, nie ma co. Wpakowałeś mnie w okropne położenie. Na twoim miejscu starałabym się nie wchodzić Blaize'owi w oczy.

Nabrała z roztargnieniem ananasów.

— Cokolwiek mnie spotka — dodała — jakikolwiek los zgotuje mi Treherne, ty za to odpokutujesz. Niech tylko Blaize dogoni „San Juana”.

Lambert potarł kark wierzchem dłoni. Krystyna zwróciła uwagę na jego kobieco cienkie palce.

— Blaize? Dlaczego on? Wolisz go niż innych? Ale mniejsza z tym, bo on nie doścignie ani Treherne'a, ani mnie, ani „San Juana”. Treherne jest za mądry. Tak, za mądry i za chytry, żeby się dać podejść. Dokładnie obmyśla każde posunięcie.

— Tak, jest chytry — przyznała. Lambert rzekł niespodziewanie:

— Nie będę nurkował.

— Nie będziesz nurkował?

— Nie. Pewnie się domyśliłaś, że skarb jeszcze leży na dnie morza. Jak tylko natrafimy na „Konstantyna”, mam nurkować i szukać skarbu. Dlatego Treherne wziął mnie z sobą. Kanakowie naturalnie nurkują, ale on chciał białego człowieka. We wraku może być/mnóstwo pak i skrzynek, a tylko biały potrafi znaleźć szybko to, co trzeba.

— Wiesz już, czego szukać?

— Wiem.

— Skąd?

Lambert poruszył się niespokojnie.

— Peters ci mówił? — nalegała Krystyna.

— Treherne wie, czego szukać — odpowiedział wymijająco. Podszedł do stołu i popatrzył na nią. — Krystyno...

Ponieważ nie pośpieszyła z pomocą, nachmurzył się jak rozkapryszone dziecko.

— Nie mogłem cię ostrzec — rzekł gniewnie. — Treherne przez cały czas celował do mnie z rewolweru.

Krystyna milczała.

— Słuchaj, jest mi bardzo przykro. Rozumiesz? Nie mogłem inaczej. Nie przebaczysz mi? Uważasz, że postąpiłem po tchórzowsku. Niech będzie. Przekonasz się i ty, co to znaczy nie posłuchać Treherne'a.

— Chcesz, żebyśmy byli przyjaciółmi? — zapytała powoli.

— Przyjaciółmi? — podchwycił z zapalem. — O, tak! Piekło miałem na tym statku. Nie było się do kogo odezwać prócz niego. Wiesz, ja nie zawsze jestem taki tchórz. Może mnie z czasem trochę polubisz.

Spojrzenie miał pokorne, ale w głosie dźwięczała nuta zadowolenia z siebie, że zdobył się na szczerść, na bohaterskie wyznanie. Krystyna zeszywniała.

— Czy to nowy podstęp? Czy i teraz Treherne bierze cię na cel?

Lambert zachnął się i odstąpił od stołu.

— Jak możesz tak mówić?

Cisza zapadła w kajucie. Przez otwarty iluminator dolatywał plusk fal, tłukących się o burtę „San Juana”. Nad trzeszczenie i słaby chrobot okrętu wybijało się cienie, śpiewne wołanie majtka na bocianim gnieździe.

— Idź już lepiej — rzekła Krystyna. Poczul się dotknięty.

— Gniewasz się — fuknął. — Nie chcesz mnie zrozumieć. Nikt mnie nie chciał nigdy zrozumieć. Przez całe życie... Czy wiesz, jakie jest moje pochodzenie? Moja matka była tancerką na linie w wędrownym cyrku. Podczas pobytu w Sydney jakiś nieznajomy przyszedł za nią wieczorem do domu... Była młoda, bardzo ładna i niezbyt silna. Nie wiedziała, co to był za jeden. Wpadł za nią na schody, objął w pól, drugą ręką zamknął usta i w ten sposób zaprowadził na górę.

Lambert zwilżył zeschłe wargi.

— Temu wypadkowi zawdzięczam, że przyszedłem na świat. Matka odumarała mnie przed laty. I teraz obijam się po morzu jako chłopiec okrętowy, robotnik, co się zdarzy. Nigdy nie miałem sposobności wydzwignąć się.

— Co ci przyjdzie z lamentów? — rzekła Krystyna. — Mnie się zdaje, że nie masz gorszych warunków niż inni. Jesteś młody. Jesteś zdrowy.

Lecz wyraz jego twarzy trwożnej i żalosej przejął ją litością.

— No, usiądź i zjedz coś — powiedziała łaskawie. — Nie ma o czym mówić. Dajmy spokój niepotrzebnym sprzeczkom.

— Więc mi przebaczysz? — zapytał pokornie.

— Nie — sprostowała omyłkę. — Nie masz prawa o to prosić. Nigdy już nie będę mogła ci zaufać. A bez zaufania — mówiła jeszcze — nie może być mowy o prawdziwej przyjaźni. Raz mnie zdradziłeś, co cię powstrzyma od drugiej zdrady? O, nie patrz na mnie takimi oczami. Czyż nie możemy ogłosić zawieszenia broni?

— Ja nie tego chciałem.

Obszedł stół i ukląkł obok niej. Grdyka ruszała mu się konwulsyjnie, oczy miał we łzach: piękne, niemęskie usta drżały. Ujął ją za rękę i trzymał, mocno ściskając.

— Bądź dla mnie dobra, Krystyno. Tak mi wstyd, że chciałbym się zabić

Krystyna zastanawiała się, co powiedzieć. W pierwszej chwili litość w niej wezbrała i czułość czysto macierzyńska nad jego młodością, nad jego opuszczeniem. Ale że sama miała silny charakter, litość przeszła rychło w pogardę. Słabeusz. Łasi się na kolanach. Błaga o łaskę. I to ma być mężczyzna! Czy myśli, że ją w ten sposób wzruszy? Czy mu się zdaje, że na taką jak ona działają gięte kolana i złożone modlitewnie ręce?

— Cudniejszej od ciebie nie widziałem — mówił Lambert.

— Dostyc tych głupstw, wstawaj! — rzekła ostro. — Jesteś śmieszny. Nigdy nie mogłabym cię polubić.

Wstał urażony, prostując się z godnością.

— Nie uważasz mnie za mężczyznę. Krystynie zabrakło cierpliwości.

— Naturalnie. Najlepiej będzie, jak wprost ci to powiem. Czy myślisz, że jakaś kobieta spojrzałaby na takiego obrzydliwego mazgaja jak ty? Kobiety nie znoszą mazgajów. Ja w każdym razie nie znoszę.

Lambert wpadł w furję.

— O, wiem, kogo ci trzeba. Takiego, który by cię trzymał krótko. Wielkiego, krzepkiego draba, który by sobie nic nie robił z twojego gadania, byle cię miał. Brutala i już!

Stali na wprost siebie, jakby się mieli pojedynkować.

— Jego ci potrzeba! — wrzeszczał Lambert. — Dlatego jesteś nieczuła na moje błagania!

— Kogo?

— Blaize'a!

Powiedziawszy to, odwrócił się i wybiegł. Szybkie kroki zadudniły na schodach. Krystynę ogarnął pusty śmiech. Więc ten osioł przypuszcza, że ona się kocha w Blaizie? Co za głupie posądzenie!

Usiadła, skończyła jeść i z rękami spoczywającymi beczynn timer na stole zastanawiała się, co też Blaize powiedział, co zrobił, co pomyślał i co się z nim działo, gdy wróciwszy nie zastał jej przy ognisku. O! gdyby przyszedł, gdyby był niedaleko...

W jej cichą zadumę wdarł się gromko głos Treherne'a:

— Krystyno, chodź na pokład!

Takunai była zdradziecka. Blaize doświadczył jej nieprzyjaźni z samego początku. Spakował jako tako żywność w derkę i poszedł północnym wybrzeżem, bo jeżeli „San Juan” jeszcze myszkował koło wyspy, to od północy, gdzie spoczywał zatopiony okręt ze skarbem. Blaize dźwignął tobołek i jął się piąć w górę.

Marsz był uciążliwy, pot zaczął mu zalewać oczy i zlepiać koszulę. Po wielu dniach na morzu ład wydaje się pod nogami dziwnie niestały.

Są dźwięki, których szczer łądowy nie słyszy, gdyż jest do nich przyzwyczajony. Blaize chwycił żeglarskim słuchem setki obcych dla siebie szmerów. Tu trzasnęła gałązka, tam odezwała się dzika świnia, ryjaca w korzeniach, ówdzie zaszurał krab lądowy. Za każdym takim odgłosem Blaize wrastał w ziemię, w bacznym pogotowiu.

Wysokie, nieruchome pnie palm wydawały się placówkami stojącymi na straży tajemnych głębin ciemnej wyspy. Wyspa leżała w słońcu niby forteca, niezdojbyta, majestatyczna a wyzywająca. Klify stały wyniosłym murem. Głęboko w dole tłukło się morze, tak niebieskie, że oczy bolały.

Na widnokręgu białe żagle „Kulika”. Gdy znikły, ocean zaległa pustka. „San Juana” nie było ani śladu. Niedaleko od Blaize'a przysiadł gołąb. Na poruszenie człowieka ptak przekrzywił łepki i przyglądał mu się ciekawie błyszczącymi ślepkami. Po chwili rozpostarł skrzydła i odleciał. Z głębi lasu, gdzie grunt podnosił się stromo ku środkowemu masywowi, doleciało przeraźliwe skrzeczenie papużki. Blaize myślał:

— Jak Treherne nas zobaczył, do stu choler? Mógł nas wypatrzyć tylko z północnego wybrzeża, a jednak wczoraj go tam nie było, bo gdyby był, to my musielibyśmy go zobaczyć. Zapewne, dostrzegłszy nas, pożegłował na południe. Nie wiecie mi się. Niech to wszyscy diabli!

Wstał zgarniając z mokrego czoła zwichrzone włosy. Góra, stanowiąca środek Takunai, przykuła jego uwagę. Z jej wierzchołka roztaczał się widok prawdopodobnie na całe wybrzeże. Postanowił się na nią wdrzeć.

Zarzuciwszy tłumok na ramię, zagłębił się w las, który zamknął się za nim zieloną, chłodną ścianą. Niebawem szum morza rozplynął się w oddali. Zapanowała cisza, właściwa gęstwinie leśnej w bezwietrzny dzień. To coś więcej niż brak dźwięków, to zasluchanie. Początkowo Blaize nie zwracał na nic uwagi. Tonął w myślach. Szło mu się łatwo, gdyż tu na większej wysokości poszycie było niższe. Ale po jakimś czasie spostrzegł, że oddycha coraz głośniejsze, że dyszy.

Teren obniżył się gwałtownie w stromą dolinkę, której z poprzedniej wyniosłości nie było widać. Blaize ryjąc obcasami ziemię zjechał w bagno.

Czarne błoto występowało mu spod nóg za każdym stąpieniem. Dolina miała najwyżej pół mili szerokości, ale w życiu swoim nie przebył dłuższej drogi.

Dochodziło południe, gdy znalazł się na przeciwległym stoku. Słońce mocno przypiekało. Blaize'owi robiło się niedobrze. Dla człowieka przyzwyczajonego do słonego powietrza otwartych mórz zgniłe wyziewy rozkładających się roślin były nie do zniesienia. Ręce, nogi i większą część tułowia miał oblepione błotem. Na próżno szukał wody, źródełka czy rozlewiska. Nie mógł znaleźć. Zaciął więc zęby i wdierał się pod górę. Wreszcie zmęczone nogi stąpiły na twarde, suchy grunt. Rozebrał się, żeby ubranie wyschło na południowym żarze.

Otworzywszy ostrożnie puszkę z soloną wołowiną posilił się nieco, przy czym żuł długo, żeby wywołać napływ śliny. Napoju nie miał żadnego. Whisky musiał oszczędzać. Obiecał sobie, że później spróbuje zielonego kokosa. Na razie nie było czasu poszukać. Poczekał, póki odzież nie wyschła, strzepnął suche błoto, ubrał się i chciał iść dalej. Ale gdy wstał, nogi tak mu drżały ze zmęczenia, że musiał najzwyczajniej w świecie klapnąć na ziemię. Odczekał chwilę i znów piał się pod górę.

Niebawem pochyłość stała się bardzo stroma. Ślizgał się, osuwał i ratował, czepiając się pni drzew. Często musiał przystawać i wypoczywać. Tętniąca krew zdawała się rozsadzać żyły. Tłumok na grzbiecie tarł boleśnie skórę. Ale szedł wytrwale pod górę ze wzrokiem utkwionym w cel swej drogi, aż z nadmiernego wysiłku ciemniało mu w oczach i ścisnęło w piersiach. Do tego przyłączył się zawrót głowy. Mimo to nie ustawał. Gdyby się teraz załamał, gdyby usiadł, żeby odpocząć, już by się nie ruszył. Zostałby na miejscu kilka godzin. Wiedząc o tym, piął się dalej mimo szumu w uszach i mroczków przed oczami.

Powietrze robiło się coraz chłodniejsze. Odwróciwszy się ostrożnie, stwierdził, że dolina została daleko w tyle. Pochyłość stała się łagodniejsza. Drzewa rosły pojedynczo. Na tej wysokości krzaków było niewiele. Sam wierzchołek góry przybrał zarys kolisty, niby krawędź spodka, widzianego z dołu. Blaise próbował stanąć prosto, lecz trud okazał się nad jego siły. Opadł więc z powrotem na ręce. Serce biło mu jak młotem, oddech rwał się chrapliwie. Wspiął się na czworakach, przelazł przez krawędź i runął głową w kupę kruchych, szarych kamieni, zaścielających miskowate zagłębienie.

Przez chwilę leżał na pół ogłuszony. Gdy siadł, spostrzegł, że znajduje się w kraterze wygasłego wulkanu. Domniemane kamienie okazały się zeszlą lawą w formie dziwnych grud, które kruszyły się i trzaskały za byle dotknięciem. Podniósł się chwiejnie na nogi, wdrapał na krawędź leja i przytrzymał rękami. Patrzył naokoło. Sporo czasu upłynęło, zanim odzyskał siły.

Dokonał swego zamierzenia i świadomość ta napełniała go szaloną radością i dumą. Zwyciężył Takunai. Bronił się wszelkimi sposobami, ale przedarł się przez wszystkie zapory.

Przesuwał oczami po szarpanej linii wybrzeża. Wschodni odcinek przesłaniała spora wyniosłość. Od południa morze było puste.

Ale od zachodu na północ posuwał się wolno „San Juan”.

CZĘŚĆ JEDENASTA

Rozdział pierwszy

— Opuśćcie kotwice — rozkazał Treherne. Przechylony przez burzę patrzył, jak opuszczano wielkie worki z płótna żaglowego. Napelnione wodą, zapewniły „San Juanowi” równowagę. Bryza była lekka i nie zanosiło się na to, żeby się miała wzmóc. Spuszczono szalupę, dwaj Kanakowie ześlizgnęli się po burcie i ujęli za wiosła. Treherne zszedł za nimi. Nie chciał powierzać Kanakom skrzynki z oszklonym dnem. Lambert z Krystyną stali obok siebie na pokładzie i zapominając o sprzeczce, przyglądali się z ciekawością, co będzie.

Treherne nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Gwizdnął na Lamberta tak, jak się gwizdże na psa i chłopak ruszył za nim posłusznie z twarzą w ogniu. Bez słowa przerzucił się przez burzę, przy czym tak nieostrożnie zeskoczył do szalupy, że się chybnęła i Treherne sklął go od głupców i niedołęgów. Lambert nie odpowiedział. Przykucnął na ławeczce i wbił wzrok w przestrzeń. Kanakowie, wiosłując wolno, okrążali „San Juana”.

Za pomocą mapki Treherne oznaczył w miarę możliwości miejsce, w którym zatonał „Konstantyn”. Co chwila dawał znak Kanakom, żeby przestawali wiosłować, i opuszczając w wodę skrzynkę przepatrywał głębinę. Blisko trzy godziny krążyli dookoła i już słońce zaczynało się pochylać ku zachodowi. Lambert był blady od upału i kołysania szalupy.

— Spójrz no — mówił od czasu do czasu Treherne. Lambert nie chciał słuchać, ale Treherne brał go za rękę, przyciągał do burty i zmuszał do obserwacji

— Widzisz coś? Jakiesz szczątki? Masz młode oczy. Co widzisz?

Ale Lambert widział tylko wodę, okrutną, chciwą wodę. Od tego widoku pot występował mu na czoło i skóra na karku świerzbiła jak od oparzenia pokrzywą.

— No? — niecierpliwił się Treherne.

— Tu nic nie ma.

Poszukiwania trwały dalej. Kanakowie bez szemrania zakładali i ściągali ciężkie wiosła. Szyper, nie bacząc na ich zmęczenie, poganiał ich niemiłosiernie. I nie zrażony tylu zawodami, ciągle brał do ręki skrzynkę ze szklanym dnem. Ale morze ukazywało tylko rafy i dziwaczną roślinność morską. Czasami przemknął szary cień rekina, a raz nawet Treherne wypatrył złowieszczy cień czarnej ośmiornicy, jak przesuwiał się po szlamowatym dnie.

— Myślę, że posunęliśmy się za daleko na północ — zauważył Lambert. — Może na dziś dać spokój?

Treherne wpadł na niego z pasją.

— Dać spokój! Żeby cię pokrećilo! Nie myślę przerywać roboty.

Był zły i podniecony. Godziny bezowocnych poszukiwań dały mu się we znaki. Twarz miał czerwoną, ręce z gorączkowym uporem zaciskały się na drewnianych bokach skrzynki. Worki pod oczami nabrzmiały od ciągłego schylania głowy.

— Spójrz tu — burknął na Lamberta.

Młodzieniec wziął skrzynkę i przechylił się nad burtą szalupy. Patrzył tak długo, że Treherne stracił cierpliwość.

— Widzisz coś.

— Nie. Tu nic nie ma.

Ale Treherne bystrym słuchem pochwycił w jego głosie nutę strachu.

— Widziałeś coś.

— Nie — zapewniał go Lambert. — Nie. Nic. Tylko wodę.

— Tylko wodę! To dlaczego dygoczesz? Z drogi! Precz! Głos mu zachrypl. Odepchnął brutalnie pomocnika i wyrwał mu skrzynkę. Co też chłopak zobaczył? Serce zabiło mu gwałtownie. Czyżby natrafili wreszcie na wrak? W oczach mu się ćmiło, ręce drżały. Pochwycił skrzynkę w silne palce i spojrzał.

Zobaczył dno morskie. Kolorowe rybki o maleńkich tułowiach i olbrzymich łbach uciekały pośpiesznie przed cieniem groźnego kilu szalupy. Węgorz przemknął zwinnie niczym wąż i zniknął. Gdzie się podział? Treherne drząc pochylił się niżej. Tak... tak... między tymi spiczastymi skałami. Wyteżył wzrok. Coś tam tkwi zabezpieczone przed uderzeniami fal.

— Bogu niech będą dzięki! — wyrwało mu się mimo woli. Gotów był chwalić Boga, że dał wreszcie jego oczom ujrzeć połamane żebra i zdruzgotany kadłub „Konstantyna”. Piękny to był statek, wyniosły, chyży statek — teraz już zupełna ruina. Schronisko węgorzy i bajecznie kolorowych ryb.

— Jest! — zawołał przeraźliwie z dziwnym załamaniem głosu. — Jest — powtórzył. — Leży wciśnięty między skały, zgruchotany. Zostały żebra i kawałek kilu. Ryby... węgorz się tam schował. Piasek zakrył znaczną część. Trzeba będzie zgarniać, przewracać... Ostrożnie podniósł swoją skrzynkę.

— Jutro się zabierzemy do roboty. Dziś już za późno. Tak, dziś zanocujemy na pokładzie. Trzeba oznaczyć to miejsce. Rzuć mi tamtą linę.

Uwiązał do liny krótką, żelazną sztabkę, przerzucił przez burtę i spuścił na dno, popuszczając koniec liny. Gdy ciężar dotknął dna, umocował pływak i uciął resztę liny.

— Na Boga! udało się. Mogliśmy przecież szukać nie wiem ile dni. A co, Andy dobrze zmapstrował tę mapkę? Miał chłop oko, nie pomylił ani kierunku,

ani odległości. Ba! stary rekin — sam chciał się tu dostać. Dlaczego nie spróbował od razu, jak tylko statek zatonął? Wiem. Po pierwsze szalał sztorm. A po drugie, Andy był starym żeglarzem, widział więcej niż połowę świata, nie uśmiechało mu się nurkować wśród topielców.

Wracali na „San Juana”, gdzie przebywała Krystyna z resztą Kanaków. Treherne machnął triumfalnie rękami.

— Krystyna będzie rada — powiedział do Lamberta. — Myślisz, że jej jest wszystko jedno. Nic podobnego, synku. Ta dziewczyna powinna się była urodzić mężczyzną. Kocha walkę — obojętne, czy to będzie walka z ludźmi, czy z morzem, czy z piekłem...

Gadał, paplał bez związku. Był, rzec można, pijany. Udało się, udało! — szumiało w mózgu, podczas gdy język plótł od rzeczy. On jeden wiedział, ile go ten sukces kosztował intryg i walk. Cóż z tego, że zostawił za sobą krew, jeżeli postawił na swoim?

Nie spał cały dzień, całą noc i jeszcze cały dzień. Oczy miał w czerwonych obwódkach, białka przekrwione. Gdy szalupa przybiła do „San Juana”, wdrapał się ciężko na pokład i stanął, chwiejąc się na nogach. Krystyna podeszła wolnym krokiem. Zaczął mówić, ale język mu się plątał.

— Jest! — wygłosił z głupio uroczystą miną. — Jest, Krystyno! Wydobędę skarb. Będzie dużo roboty. Jest moc piasku, ale mamy wreszcie „Konstantyna”.

Zatoczył się tak, że musiał się przytrzymać poręczy. Po chwili zszedł z łomotem po stromych schodkach, trzasnęły drzwi, dał się słyszeć słaby okrzyk i zapadła cisza.

— No? — spytała Krystyna. — Udało się?

— Tak, natrafiliśmy na wrak — rzekł Lambert.

— Widzę, że cię to nie cieszy.

— Mam się cieszyć? Z czego? Czy z tego, że jutro każe mi nurkować?

— Nurkować?

— Tak. Patrzyłem przez to jego urządzenie. Widziałem rekina. Przesunął się koło wraka. Krystyno, jutro z Kanakami będziemy narażać życie dla Treherne'a. Ale co dla niego znaczy nasze życie? Byle zdobył skarb. Czy słyszysz? Ja mam narażać życie dla głupiego skarbu. Nie chcę. Co mnie obchodzi skarb?

Urwał. Był rozpalony i drżący. Ostatnie promienie zachodzącego słońca odbijały się w jego przerażonych oczach.

— Czy jest aparat do nurkowania, czy będziesz się opuszczał sposobem Kanaków?

— Tak, po kanacku — odpowiedział. — W ładowni leży komplet do nurkowania, ale czy myślisz, że to włożę? Przecież gdyby pompa powietrzna stanęła...

Nie mógł mówić. Nie mógł zapanować nad strachem. Nawet wobec Krystyny nie mógł się zdobyć na tęgą minę, na pozory odwagi, na samochwalcze zapewnienia. Litościwy wyraz jej oczu dotknął go do żywego.

— Masz mnie za skończonego tchórza — rzekł z rozpaczą. Nie odpowiedziała.

— I ty byś była tchórzem, gdyby się wziął do ciebie tak, jak do mnie — mruknął wyzywająco. — Nie włożę skafandra i już.

Przy tych słowach wydał usta w grymas bezsilnego uporu.

— On cię zmusi — rzekła Krystyna. — A może sam będzie nurkował.

— On? Nigdy.

— Dlaczego nie?

— Boi się. Myśli, że ja nie wiem. Mnie pośle na dno, ale sam się nie opuści.

— Gdzie ten skafander? Nie można by zobaczyć? Lambert kiwnął głową.

— Chodź. Jest w ładowni.

Poszedł przodem. Zmierzch już zapadł i Kanakowie zapalali latarnie. Wziął jedną i przyświecał Krystynie. Zobaczyli przed sobą ładownię, niby ogromną, mroczną jamę. Żółte światło padło w głąb ostrą smugą. Cienie pierzchły pod ściany. Z krawędzi zwisała lina. Lambert, uczepiwszy się jej prawą ręką i bosymi nogami, zjechał na dół z latarnią w lewej ręce. Stał na dnie i spojrzał w górę. Światło trzymał nad głową, tak że padało na jego zwichrzone włosy i bladą twarz.

— Zjeżdżaj!

Krystyna zsunęła się po linie. Przytrzymał ją za łokieć. Zaczęli obchodzić ładownię. Spłoszony szczur z piskiem przebiegł im po stopach. Krystyna podskoczyła tłumiąc okrzyk przerażenia. Powietrze pachniało ananasami, nasmołowanymi linami, koprą i wanilią z dodatkiem słabego zapachu rumu. Lambert przeciskał się zręcznie wśród zwałów rupieci w kącie ładowni. Tu, starannie opakowany, leżał pod płótnem żaglowym komplet do nurkowania.

Lambert postawił kopczą latarnię na ziemi i nerwowymi ruchami zrywał płótno. Krystyna chwilę się przyglądała, wreszcie zaczęła mu pomagać. We dwoje wyciągnęli skafander na wierzch.

Dziwnie wyglądały poszczególne części porozciągane na podłodze. Wielki hełm leżał oddzielnie szklaną szybką do góry. Śruba na wierzchu do umocowania rur połyskiwała matowo i miejscami była zaśniedziała. Obok hełmu majaczyły olbrzymie, niezgrabne buty na miarę olbrzymia. Skafander niedbale

rzucony zapadł się na piersi i wyglądał, jak ciało człowieka powalonego śmiertelnym ciosem. Czuć było gumą i stęchłą tkaniną.

Lambert dotknął szybko hełmu.

— Śniło mi się to — jął szeptać. — Tak, śniło mi się, że byłem w tym i pompa przestała działać. Wiesz, przez minutę, dwie, nie wie się, że stoi i dopiero potem zaczyna się człowiek dusić z braku powietrza. Naturalnie można dać znać, żeby wyciągnęli na górę, ale może już być za późno. Pomyśl tylko, umrzeć w takiej pułapce.

Zadrzał mimo woli.

— Gdyby rura powietrza przerwała się... Nie, nie chcę o tym myśleć, bo oszaleję... Mogłaby się uszkodzić o skałę, albo rekin mógłby ją przegryźć. Albo mogłaby się zaplątać

1 urwać... Woda by buchnęła do środka...

— Gotów jesteś wpaść w. chorobę! — zawołała Krystyna. — Nie przejmuj się. Może obejdzie się bez skafandra. Może razem z Kanakami wydobędziecie skarb, tak jak oni wydobywają perły.

— To bardzo głęboko — rzekł z powątpiewaniem.

Krystyna, siedząc w kucki, obserwowała go uważnie. Pochylił się i wsparłszy ręce o kolana, spoglądał na hełm, jak na żywy stwór, który by należało posiekać na kawałki.

Nagle porwał latarnię i popędził szybko w przeciwny kąt ładowni, gdzie leżały na kupie różne narzędzia. Rozległ się metaliczny brzęk. Siekiera! Porwał ją i zawrócił z triumfem do Krystyny. Kroczył pośpiesznie przez ładownię. Postawił znów latarnię i Krystyna zauważyła malujący się na jego twarzy wyraz determinacji.

— Co zamierzasz zrobić?

Ale wiedziała już, co będzie i patrzyła przerażona. Ostrze siekiery podniosło się nad głową młodzieńca.

Siekiera trzasnęła w szybkę w hełmie. Raz — dwa — trzy razy — hełm pękał, ale dopiero za siódmym uderzeniem rozleciał się w kawałki.

— Nie włożę tego na siebie — łkał Lambert. — Nigdy! Rąbał metalowy kołnierz i boki. Niebawem z hełmu została kupka bezużytecznych szczątków. Krystyna przycisnęła ręce do ust, żeby nie krzyknąć. Była przerażona. Nie przypuszczała, że Lambert zdolny jest do takiego czynu. Czy to on — ten rozwścieczony furiat, porwany żądzą zniszczenia? Skąd mu się wzięła ta odwaga, ten bunt?

Czyżby odnalazł siebie? Czyżby przestał się lękać Treherne'a i przełamał w sobie niewolnicze tchórzostwo?

Krystyna spojrzała na jego rozedrganą twarz i nieprzytomne, szkliste oczy. Zrozumiała, co się w nim rozpętało. Gdy cisnął siekierkę na zgruchotany hełm, nie odezwała się i nie poruszyła. Wiedziała, że teraz przyjdzie reakcja. Lambert przez chwilę stał, chwiejąc się na nogach, wreszcie padł jak długi na ziemię. Wyciągnięte ku strzaskanym szczątkom ręce dygotały jak w febrze. Krystyna wiedziała, co się z nim dzieje. Strach nie dał się stłumić. Strach, który go nie opuszczał od wielu dni — strach przed Treherne'em i morską głębią.

Rozdział drugi

Nazajutrz Treherne wstał przed świtem. Krystyna, zajmująca przygotowaną przez Kanaków prawie pustą kajutę, słyszała, jak energicznie krzątał się po pokładzie, to gwizdząc, to pośpiewując rubaszne piosenki. Leżąc na wąskiej koi, zastanawiała się nad swoim położeniem. Na razie była bezpieczna. Dopóki był zajęty skarbem, nie miała się czego obawiać. Człowiek z jego usposobieniem lubi w spokoju używać darów życia. Epikurejskie skłonności nie pozwalają mu zażywać dużych przyjemności na chybcika. Zresztą — dumiała Krystyna — który mężczyzna przed takim przedsięwzięciem zawracałby sobie głowę kobietą? Może zresztą inny, ale nie Treherne.

Przewróciła się na drugi bok; skąpy szary kocyk zsunął się na podłogę. Spała w ubraniu, prócz żakietu, który zwisał miękko z gwoździa w ścianie. Wyglądała opłakanie. Pierwszy brzask rozjaśnił kajutę. Przez iluminator zawiewał poranny wiaterek, targał jej zwichrzonymi włosami, poruszał niewyraźnymi w półmroku fałdami żakietu.

Krystyna zacisnęła rękę w pięść. Czy da radę, gdy przyjdzie do walki z Treherne'em? Allen nauczył córkę trzeźwego liczenia się z faktami.

Przewróciła się na brzuch i ukryła twarz w ramionach. Myśl, która jej nigdy całkowicie nie opuszczała, znów wybiła się uporczywie na pierwszy plan. Treherne zabił jej ojca. Za każdym razem, gdy przechodził obok niej, za każdym razem, gdy jej dotykał, ogarniała ją dzika pokusa: rzucić się na niego, spróbować wydrzeć z niego prawdę. Tylko świadomość, że to by się na nic nie zdało, powstrzymywała ją od tego szalonego kroku. Wiedziała doskonale, że jeżeli chce coś osiągnąć, to tylko podstępem. Musiała więc działać ostrożnie, przezornie, wygrywać spryt przeciw sile.

— Niech to wszyscy diabli! — rzekła siadając na posłaniu. Wyciągnęła ramiona nad głowę i ziewnęła. W tej chwili rozległo się ostre pukanie.

Drzwi otworzyły się, wszedł Treherne niosąc pół kubelka wody, kawałek mydła, szorstki ręcznik i kawałek grzebienia.

— Wstawaj — rzekł krótko.

Zostawił przyniesione przedmioty na podłodze i wyniósł się. Krystyna popatrzyła na przybory toaletowe.

— Wielkie nieba! — rzekła. — Jednak są w nim jakieś ludzkie uczucia!

I chichocząc, że tak uroczyście zaprezentował się jako pokojówka, wyslizgnęła się z koi. Zimna woda była orzeźwiająca. Krystyna klęcząc na podłodze, zanurzała ręce w kubelku. Nie wiadomo dlaczego zwyczajny zapach ordynarnego mydła wprowadził ją w dobry humor. Słońce wschodziło na

bezchmurnym niebie. Nabrała otuchy, gdyż gnębiące zmory nocne mają zwyczaj pierzchać rano.

Ręcznik był szorstki, grzebień — istne narzędzie tortury. Zmiętoszona odzież psuła bądź co bądź dobre samopoczucie.

Wparłszy się mocno nogą o drzwi, żeby ktoś nie wszedł, rozebrała się i strzepnęła ubranie. Odgłos kroków za drzwiami spłoszył ją, zaczęła ubierać się z pośpiechem.

— Chodź, moja panno — wołał Treherne. — Kawa czeka. Włożyła żakiet, raz jeszcze spróbowała przyczesać włosy i otworzyła drzwi. Była przekonana, że nos ma świecący a cerę szorstką od paskudnego mydła. Długimi, zamaszystymi krokami pomaszerowała wąskim korytarzykiem ku pachnącej kawie. Treherne i Lambert czekali na nią w milczeniu. Obaj powiedzieli poważnie „dzień dobry”. Lambert wydawał się taki normalny, taki rozsądny, że Krystyna zadała sobie pytanie, czy to, czego była świadkiem w ładowni, po prostu jej się nie śniło. Usiadła i czekała, podczas gdy kucharz Horo nalewał parującą kawę.

— Zaraz zaczynamy — rzekł Treherne głosem drgającym z podniecenia. — Nie ma ani chwili do stracenia. „Kulika” tylko patrzeć. Nie chcę marnować czasu na rozprawę z Haggertym.

— Jest nadzieja, że dziś wydobędziecie skarb? Treherne kiwnął głową.

— Może się uda. Ale będą trudności. Prąd jest bardzo silny. Rozumiem, jak się to stało, że „Konstantyn” zatonął. Musiał się nadziać na skały i w mig poszedł na dno. Piekielne są te skalne rafy, gorsze od koralowych. Fatalne miejsce! Te czarne skały! I nie mówcie mi, że wulkan wygasł. Na pewno któregoś pięknego dnia rzygnie ogniem!

Skreślił papierosa i zalepił sztywny, biały papier końcem języka. Nie chciał jeść. Odsunął talerz z niesmakiem.

— „Konstantyn” uwiązał między skałami — mówił dalej. — Oczywiście musiał pójść w drzazgi. Ale myślę, że skarb uda się wydobyć. Szkatuła mogła się zapaść w muł, ale jeżeli jest, to ją znajdziemy.

— Wiecie, czego szukać? — spytała Krystyna sięgając po omlet.

— Jasne. Andy Peters wiedział i twój ojciec też wiedział. Krystynie krew uderzyła do twarzy. Jak on śmie wspominać przy niej ojca! Ale Treherne nie dał poznać, że zauważył jej wzburzenie.

— Ci, którzy posłali „Konstantyna” po skarb do Sydney, nie robili z tego tajemnicy. Na Amanu ludzie wiedzieli o wszystkim i opowiadali.

— Złota skrzynka — rzekła Krystyna, Treherne zaś podchwycił z pośpiechem:

— Szkatułka. Szkatułka Vasariego, roboty Benvenuto Celliniego.

— Kapitan widział? — spytał Lambert, otrząsając się z głębokiego zamyślenia.

— Tak. Widziałem. Przed laty, zanim została skradziona. W Italii widziałem. Cudo. Gdy blask słońca na nią padnie...

Zachłysnął się i umilkł. Nie mógł powiedzieć tym dwojgu, jak działało na niego piękno szkatułki. Oni na pewno uważają, że Treherne chce zdobyć szkatułkę dla jej wartości handlowej. Niech tak uważają. Tak jest bezpieczniej. Lepiej niech nikt nie wie, jak okrutnie jego chciwe serce pożąda tego arcydzieła. Od miesięcy marzył o cudnej szkatułce na poły wstydliwie, na poły zuchwale. W miarę jak intryga rozwijała się pomyślnie, namiętność rosła. Zdawało mu się, że nie uśnie spokojnym snem, póki tego cudu nie dostanie w ręce.

Zawsze szczerzy wobec siebie, Treherne nie wiedział, jak pogodzić ten szczególny kult piękna ze swoją naturą bez czci i wiary. Spoglądał na siebie niejako z zewnątrz, zdumiewając się, jak może się w nim pomieścić taka sprzeczność ...

— Zaraz od rana zacznie się nurkowanie? — zapytała Krystyna.

Spojrzał na nią i poczuł przyśpieszone bicie serca. Taka młoda i piękna, a nieświadoma swego uroku.

— Tak. Natychmiast. Lambert skończyłeś jeść? No, to chodź. Obaj wstali. Lambert ścisnął rękami krawędź stołu.

— Pójdę przypilnować szalupy.

— Diabelnie ci się śpieszy. Skąd wiesz, że mi potrzebna szalupa?

W kajucie było dwóch Kanaków. Na słowa Treherne'a wymienili trwożne spojrzenia i Krystynie przeszło przez myśl, że widzieli, co się stało w ładowni, ale będą się bali powiedzieć swemu panu.

— Jak to? — odrzucił Lambert, siląc się na obojętność, choć twarz mu się zmieniła.

— Tak, jak mówię. Popłyniemy na oznaczone miejsce i założymy skafander.

Tu Treherne zaśmiał się drwiąco.

— Boisz się, synku? Czekaj, uspokoisz się. Lękasz się, że pompa się zatrzyma? Nie ma obawy! Jeżeli chcesz, stanę nad ludźmi z batem.

Lambert odwrócił się dotknięty i wzburzony. Usta mu drżały, ale nie powiedział słowa.

Krystynie zrobiło się słabo na myśl, co teraz będzie. Gdy Treherne, zawiąawszy rękawy, rzekł: „Chodź, wpierw zabierzemy z ładowni skafander, a potem wciągniemy kotwicę”, o mało nie krzyknęła. Wbrew woli nogi same zaniósły ją za nimi do ładowni. Treherne chwycił zwieszającą się linę i zjechał w ciemną głąb. Krystyna i Lambert widzieli, jak barczyste ramiona ich kata znikły

w próżni. Migotały tylko w dole złote kółka przy czarnej głowie, gdy przesuwała się przypadkowo przez smugę słońca.

Lambert z Krystyną stali u zejścia do ładowni. Krystyna zapytała cicho:

— Co powiesz?

Szybkim ruchem ręki nakazał jej milczenie. Nasłuchiwał.

— Lambert! — zawołał Treherne.

— Co, kapitanie?

— Zejdź no tu do mnie i przynieś światło. Ciemno jak wszyscy diabli.

Krystynie wydawało się, że godzina upłynęła, nim Lambert opuścił się na dół z latarnią. Usłyszała chrząknięcie Treherne'a a potem odgłos kroków po deskach. Spojrzała w dół. Światło posuwało się chwiejnie naprzód. Znieruchomiało. Uniosło się wysoko, żeby było widniej. Przez chwilę panowała głucha cisza.

CZĘŚĆ DWUNASTA

Rozdział pierwszy

Krystyna przykucnęła i nachyliła się nad lukiem. Słyszała każde słowo.

— Na Boga! Kto to zrobił?!

— Skąd ja mogę wiedzieć?

— Zgruchotane, rozbite na kawały, szkło w okruchach. Nie do użycia.

— Naturalnie, że nie do użycia.

Treherne pochwycił w głosie młodzieńca nutę triumfu.

— Ty coś rad jesteś — powiedział ostro. — Co to ma znaczyć? Wiesz, kto to zrobił?

— Nie wiem.

— Ty łgarzu!

— Kapitanie, wypraszam sobie obelgi.

— Nazywam cię po imieniu. Gadaj, jak się to stało?

— Ręce z daleka, Treherne! Ręce z daleka ode mnie!

— Odpowiadaj. Wiedziałeś o tym?

— Nie.

— Boisz się, nędzny tchórze. Masz się czego bać. Wczoraj rano skafander był cały — oglądałem. Musiałeś rozwalić siekierą. Cholera, nie wiedziałem, żeś taki silny!

— Powtarzam...

— Nie wysilaj się. Za głupca mnie masz, czy co? Chodź. Latarnia przypląnęła migotliwie do szarej plamy światła poniżej zejścia.

— Wyłaź!

Lambert posłuchał. Wydostali się w milczeniu na pokład. Krystyna zerwała się i otrzepała machinalnie spodnie. Oczy Treherne'a przejęły ją trwogą. Już więcej nie mówił o rozbitym skafandrze, natomiast powoli i dobitnie ją omawiać plan robót na ten dzień. Lambert szedł obok niego oszołomiony. Krystyna postępowała za nimi. Treherne trzymał ręce z tyłu. Widziała, że mu drżały, że zaciskał pięści, chcąc zdusić wściekłość, która nim miotała. Krystyna zrozumiała. Nie chciał zaszkodzić swoim zamierzeniom przedwczesnym wybuchem. Cenna szkatułka nie mogła wyłonić się z morza z powrotem na światło dzienne bez udziału Lamberta, znakomitego nurka. Przeto Treherne musiał w pierw zdobyć skarb i dopiero potem...

Wołał na majtków, rozkazując, żeby wydobyli katamaran, schowany w ładowni. Czterech skoczyło wykonać rozkaz i niebawem kanacka łódź

zakolebała się na wodzie. Był to katamaran, przystosowany do potrzeb poławiaczy pereł. Z każdej strony wystawały belki tworzące szczyt trójkąta, którego podstawą był bok łodzi. Na tych występach poławiacze opierają się rękami, gdy wypływają na powierzchnię dla nabrania tchu.

Katamaran i szalupa kołysały się burta w burtę. Treherne zostawił na pokładzie dwóch Kanaków. Na szalupę wsadził trzech, na katamaran pozostałych sześciu. Sam z Lambertem zszedł do szalupy, na której dnie złożono ostrożnie skrzynkę obserwacyjną, bosaki, zwoje lin, trzciny kosz z jedzeniem i dzban z wodą. Długie wiosła podnosiły się i opadały w spokojnym rytmie, prując fale w kierunku pływaka, który wesoło podskakiwał na wodzie.

Raptem na rozkaz Treherne'a szalupa zawróciła. Krystyna patrzyła zdziwiona. Wracają? Po co? Ale niedługo pozostawała w nieświadomości co do przyczyny tej pozornej zmiany planów. Treherne wszedł na pokład z pośpiechem. Miał roztargniony wyraz twarzy człowieka, który wraca załatwić przeoczoną w nawale pracy drobnostkę.

— Krystyna, do mnie!

— Co takiego? Podeszła wolnym krokiem.

— Zejdź na dół.

— Po co?

— Nie nudź. Nie pozwolę ci się obijać samej na pokładzie, kiedy zostało tylko dwóch Kanaków.

— A wczoraj ...

— Wczoraj było ośmiu. Każdy wiedział, że dostaliby ciężkie bicie, gdyby cię na chwilę spuścili z oczu. Dziś co innego. Nie mogę zostawić więcej jak dwóch. Pan Bóg wie, co by ci mogło strzelić do głowy. Potrafiłabyś nawet ukraść statek.

Uśmiechnął się gorzko. Uśmiech był u niego rzadkością.

— Zamknę cię w kajucie. Klucz wezmę do kieszeni.

— Nie pozwolę się zamknąć — rzekła wyniośle Krystyna.

— Pozwolisz, pozwolisz — odrzucił bez uniesienia. — Możesz zejść na dół sama, albo zniosę cię na rękach. Jak wolisz.

Krystyna wzruszyła ramionami. Rozumiała, że Treherne byłby rad, gdyby go zmusiła oporem do walki, do fizycznego zetknięcia. Nie było więc innej rady, jak posłuchać. Zła i nachmurzona zeszła przed nim na dół. Zatrzasnął za nią drzwi, przekręcił klucz, wyjął ze zgrzytem. Zadudniły oddalające się kroki.

Lambert i Kanakowie czekali na pokładzie z obojętnymi twarzami. Zeskoczył do szalupy z krótkim: „Jazda!” Spieszył się do katamaranu, czekającego przy pływaku. Niecierpliwość jego była tak wielka, iż myślał, że nigdy tam nie dotrze.

Ledwie nad sobą panując, zaczął przekładać bosaki. Dobrze, mocne! Uniósł jeden i wodził palcem po haku.

Kanakowie wsparli się na wiosłach. Szalupa przybiła do katamaranu.

Treherne wziął skrzynkę ze szklanym dnem i zapuścił wzrok w głębię. Czterej Kanakowie już byli w wodzie. Uwieszeni u belek, napełniali płuca powietrzem. Szalupa i katamaran stały wprost nad rozbitym „Konstantynem.” Treherne zwrócił się do czekających nurków.

— Musicie znaleźć tę szkatułkę. Szukajcie w piasku. To bardzo ładna szkatułka.

Skinęli głowami. Potężne klatki piersiowe wzduły się silnie, woda zamknęła się wirem piany nad kędzierzawymi głowami. Parli w dół. Treherne patrzył za nimi z przejęciem przez szklane dno skrzynki. Okazało się zaraz, że Keluti z Waihiti i Manua z Degas są daleko silniejsi i szybsi od dwóch pozostałych. Śmiało opuszczali się w głębinę, usiłując dostać się do dna. Bez skutku. Po upływie dziewięćdziesięciu sekund wrócili wszyscy na powierzchnię. Manua wypłynął ostatni. Odpoczywali dysząc z pochylonymi głowami, tymczasem nurkowała druga zmiana. W każdej było po czterech. Dziewiąty Kanak, Maui, był za stary.

Z drugiej zmiany trzech spisywali się doskonale, jakkolwiek żaden nie mógł dorównać Manui. Ale i oni nie osiągnęli dna. Głębina była większa, niż Treherne przypuszczał. Gdy drudzy wypłynęli z parsaniem, rzekł krótko do pierwszych: „Jazda!”

Tym razem Manua z Kelutim dotarli do dna. Wisząc głowami w dół, grzebali w szlamie, wolnymi rękami uczepieni wraka, żeby nie pójść w górę. Nagle Manua dał znak i strzelili wzwyż jak pociski. Przygarbieni, zadyszani, zawiśli na belkach katamaranu. Treherne dał znak drugiej zmianie.

— Taką szkatułkę wieziono prawdopodobnie w opakowaniu z ołowiu — powiedział do Lamberta. — Może jest tak ciężka, że utkwiała głęboko w mule.

Istotnie musiała spoczywać głęboko. Kanakowie nurkowali niezmordowanie, bezsilnie pchając ręce w szlam wsysający szczątki okrętu. Słońce stało wysoko, ławeczki szalupy parzyły gołą rękę. Ale Treherne nie dawał ludziom wytchnąć. Dwaj nie wytrzymali i leżeli teraz na dnie katamaranu w okropnym stanie. Ramiona drgały im konwulsyjnie, brzuchy falowały ciężko. Pozostali tracili siły. Coraz krócej mogli wytrzymać pod wodą. Zbadali po kawałku cały wrak, ale nie natrafili na żadną skrzynkę czy pakę. Manua skaleczył się w ramię i Treherne kazał mu wejść do łodzi, żeby krew nie zwabiła rekinów. Keluti dyszał ciężko, kark miał napuchnięty, usta nabrzmiałe.

— Niech odpoczną — rzekł Lambert w godzinę po południu. — Gotów ich kapitan zamordować.

— Ty byś mi został — odpowiedział Treherne. — Dobrze! Manua, Keluti, wszyscy — dosyć.

Brazowe ciała, zadyszane, wyczerpane, zaległy katamaran. Przez jakiś czas wszyscy milczeli, wreszcie Keluti powiedział w swoim języku:

— To nie koniec. Tereherini znów każe nam nurkować. Jestem strasznie zmęczony. Peliti, ty umrzesz, jeżeli jeszcze raz dasz nurka. Nie masz tchu.

— Jeżeli nie posłucham, Tereherini mnie zabije — odparł Peliti. — Czy mam umrzeć od morza, czy z ręki mego pana?

Na szalupie Treherne sporządził z wiosł i płótna żaglowego mały schron przed słońcem i siedział w nim z Lambertem, czekając, aż ustanie żar i Kanakowie znów będą mogli nurkować. Treherne zwracał śniadą twarz w stronę „San Juana”. Niebo zachodziło miedzianą barwą, zanosilo się na zmianę pogody. „San Juan” nie był zabezpieczony przed burzą. Gdyby szukanie skarbu miało się przeciągnąć, dobrze byłoby przeprowadzić żaglowiec w bezpieczne miejsce. Nagły szkwał mógłby go zerwać z kotwicy.

— Wieczorem sprowadzimy go do przystani — powiedział do Lamberta. — Od północnego wschodu zbiera się burza. Nim miną dwa dni, będziemy mieli bal.

— Obóz na brzegu — rzekł sennie Lambert. — Oj, Boże! Ugotuję się.

Umoczył chustkę w wodzie, wyżał i założył sobie na szyję. Krople ściekające po piersiach i plecach sprawiały mu wielką ulgę. Treherne błysnął oczami.

— Gorąco?

— Nie bardzo — poprawił się natychmiast młodzieniec. Słońce paliło żywym ogniem. Z wyziewami farby mieszał się zapach gorącego płótna żaglowego. Jasne włosy Lamberta zlepily się od potu w zbite kosmyki. Ukradkiem rozsunał szerzej koszulę na piersiach. Treherne to zobaczył.

— Zdejm koszulę. Teraz kolej na ciebie. Może ty prędzej coś znajdziesz.

Lambert nie poruszył się. Serce biło mu tak głośno, że przycisnął je ręką.

— Słyszysz? — pytał Treherne.

— Nie będę nurkował.

— Będiesz, będziesz, łapserdaku. Sam sobie tego narobiłeś. Gdybyś się nie uwinął tak gracko w ładowni... nie wypieraj się, szkoda fatygi.

Chłopak był strasznie blady. Siedział nieruchomo, obejmując rękami kolana.

— Nie możesz mnie zmusić, kapitanie. Jeżeli się nie zgodzę, nie możesz mnie zmusić.

Treherne zaczął nabijać fajkę z miną prowokacyjnie obojętną. Grube palce ugniatały tytoń.

— Nie mogę cię zrozumieć — rzekł wreszcie. — Trudno o równie śmiałego jak ty nurka. Widziałem, jak nurkowałeś na lagunach, to możesz i tutaj.

— Otwarte morze — mruzczał Lambert — otwarte morze.

— To i cóż z tego? Niegłęboko i dziś rekinów nie ma na lekarstwo. Dlaczego nie chcesz?

Lambert milczał. Wiedział, że Treherne zbiłby każdy wykręt nieugiętą logiką lub, co gorzej, otwartymi kpunami. Cóż mógł powiedzieć o tysiącnych trwogach, oblegających mu duszę na myśl o rzuceniu się w morską otchłań? Nie mógł uporządkować myśli. Rozpacz dodała nieszczęśnikowi odwagi. Wlepiając w swego kata ogromne oczy, rzekł:

— Ty, kapitanie, sam boisz się nurkować. Treherne wydmuchnął kłęb dymu.

— Nie — rzekł mile. — Ja się nie boję, tylko mam powody... Ale nie o to chodzi. Zdejmuj ubranie.

— Nie zdejmę.

Treherne wyjął fajkę z ust i położył na ławce. Nagłym ruchem chwycił buntownika za rękę.

— Opuścisz się na dno. Nie szarp się, głupcze. Będziesz nurkował, bo ja każę. Słyszysz?

— Nie, nie! — miotał się nieszczęśliwy młodzieniec.

— Posłuchasz mnie — mówił Treherne — a wiesz, dlaczego? Dlatego, że boisz się bólu. Bolać rękę, prawda? Czy zapomniałeś, co się stało, gdyśmy się posprzeczali pięć tygodni temu? Naturalnie, że nie zapomniałeś. Boisz się morza, nie wiadomo dlaczego, ale i mnie się boisz, a dlaczego, to wiemy obaj.

Przysunął twarz blisko do twarzy ofiary. Lambert wzdrygnął się. Przestał walczyć. Z dwojga złego wolał morze, niż okrutne ręce Treherne'a. Myślał, że zdoła mu stawić czoła. Wyobrażał sobie, że zdobędzie się na twardą nieugiętość. Biedny głupiec!

Zaczął się rozbierać. Osłabłymi palcami ściągnął koszulę przez głowę. Stał nagi, gładki i biały jak kobieta. Gdy nachylił się do startu, Treherne obrzucił go szybkim spojrzeniem.

Kanakowie patrzyli z zachwytem, szepcząc między sobą o piękności Lamibeti.

Skoczył. Treherne wepchnął szybko skrzynkę do wody i obserwował go skwapliwie. Młodzieniec sunął w głąb prosto na wrak. Dotknął desek, przytrzymał się chwilę i prysnął z powrotem do góry. Piękno tego białego ciała, wznoszącego się w zielonej wodzie, zachwyciło Treherne'a.

Wychynawszy na powierzchnię Lambert przytrzymał się szalupy. Odzyskując głos, rzekł:

— Bosaki. Jeżeli się trochę poodciąga, może...

Rozdział drugi

Krystyna siedziała przygarbiona na koi. Kolana dotykały brody, żakiet zrzuciła. Koszula naciągała się na plecach.

Na statku panowała cisza. Żaden dźwięk do niej nie dochodził, prócz cichego tupotu bosych nóg na pokładzie w rzadkich odstępach czasu. Leniwe godziny dociągały do południa. Na próżno pragnęła wody. W maleńkiej kajucie było gorąco jak w piecu. Po jakimś czasie Krystyna wstała i zaczęła przegląd swojego więzienia. Ale niewiele w nim było do oglądania. Z gołych drewnianych ścian sterczały gdzieś haki. Nad koją biegła wąska półka z wysoką listwą. Krystyna weszła na koję i zajrzała, co tam może być. Zobaczyła niedopałek świecy, pudełko zapalek, pół butelki olejku do włosów, zarzuconą spinkę i mocno zużyty podręcznik żeglarski. Zeskoczyła zawiedziona i podeszła do iluminatora.

Co się też dzieje z „Kulikiem?” Z pewnością płynie na Amanu. Jaki ten Treherne przebiegły. Liczył na to, że Huata-ata usłyszy jego kłamstwo. Niewątpliwie Blaize i pozostali wyśmiewają się z lekkomyślności Treherne'a. Jak się tam pocą i trudzą w drodze na Amanu. A potem co? Co zrobią spostrzegłszy, że zgubili trop? Czy wrócą? Prawdopodobnie wrócą. A tymczasem „San Juan” opuści Takunai i będzie już daleko.

Na razie jestem bezpieczna — dumiała. — Ale jak długo to potrwa? Treherne jest pochłonięty szukaniem skarbu. Na razie nic więcej dla niego nie istnieje. Oddał się całą duszą swemu przedsięwzięciu. Walcząc z morzem, chwilowo dał jej spokój, żeby się nią zająć po zwycięstwie lub klęsce. Krystyna widziała jasno, że niebezpieczeństwo dopiero przyjdzie.

Krystyna spojrzała obojętnie ku wyspie. Takunai leżała w blasku popołudniowego słońca, cicha i zielona. Drzewa stały zupełnie nieruchomo. Życia ani śladu. Krystynę uderzyła spadzistość ciemnych klifów i uroczy, ostry kontrast w tonach zieleni u wierzchołka ponurego masywu. Odwróciła się ziewając. Raptem obejrzała się.

Wśród krzewów na krawędzi klifu coś się poruszyło. Koza? Prawdopodobnie. Każde żywe stworzenie musiało zainteresować znudzoną, uwięzioną dziewczynę. Zaczęła się przyglądać ze wzmożoną ciekawością. W cichym, przejrzystym powietrzu widzialność była świetna. „San Juan” stał od brzegu dobrą milę, ale Krystyna miała oczy żeglarza. Wśród niskich krzaków niewątpliwie coś się ruszało.

Długo czekała, cierpliwie, lecz bez skutku. Czy zwierzę zawróciło w głąb wyspy? Nie było więcej na co patrzeć, więc skierowała znów oczy na kajutę.

Gdzie jest Carroll? Co robi Haggerty? Gdzie Blaize? — Blaize, który ją kocha. Krystynie gorąco się zrobiło na wspomnienie, jak mu dokuczała, jak go wydrwiwała. Siedząc na skraju koi, przypomiwała sobie, w jakich okolicznościach widziała go ostatni raz. Odchodził w oświetlony księżycem las z pogrózką na ustach, podczas gdy ona została koło ogniska, oniemiała z wściekłości i urazy. Teraz dziwiła się, że go posłuchała. Gdyby Haggerty lub Carroll wydał jej rozkaz, postawiłaby się okoniem, odpowiedziała kpinami. Dlaczego więc posłuchała Blaize?

Gdyby go kochała...

— Nie kocham go — powiedziała głośno. — Ale chciałabym, żeby tu był gdzieś blisko.

Plusnęły wiosła. Słysząc było głośną sprzeczkę. Niebawem rozróżniła głęboki bas Treherne'a. Szalupa otarła się o burzę.

Wszyscy weszli na pokład. Po hałasie Krystyna poznała, że „San Juan” ruszył z miejsca. Jakoż niebawem żaglowiec skierował się ku brzegowi. Ktoś wetknął klucz w drzwi Krystyny, przekręcił szybko i odbiegł z pośpiechem.

Krystyna włożyła żakiet i otworzyła drzwi. W końcu korytarzyka mignęły jej bary Treherne'a. Poszła za nim. Musiał usłyszeć, ale nie odwrócił głowy. Wyszła na pokład, wdychając głęboko świeże powietrze. Przez kilka minut przechadzała się tam i na powrót, szczęśliwa, że ma znów swobodę ruchów, rada, że może rozprostować nogi.

Lambert dzierżył ster. Prowadził „San Juana” do przystani, Treherne odebrał odeń koło.

— Ja będę teraz sterował. Te rafy nie na twój rozum. Woda musiała ci wypłukać większą część mózgu.

Lambert odstąpił bez słowa. Patrząc na niego Krystyna pomyślała:

— Coś mu jest. Okropnie wygląda.

Zaczekała, póki idąc na oślep przed siebie, nie znalazł się blisko niej i zapytała cichym głosem:

— Co się stało?

Poruszył bezradnie ociężałymi rękami.

— Nic. Jestem zmęczony. Zmusił mnie do nurkowania. Mówił jak przez sen, patrząc w dal przed siebie. Oczy miał szkliste, twarz bladą, włosy wilgotne i stargane.

— Myślę, że wydobędziemy to — mówił wysokim, monotonnym głosem. — Myślę, że nam się uda. Będziemy musieli użyć bosaków. Jeżeli da się przesunąć część desek i belek i dostać się do piasku — to tam jest stos rupieci.

W jego głosie było coś takiego, że Krystynę zdjął strach. Położyła mu rękę na ramieniu, zmuszając, żeby jej spojrzął w twarz.

— Co się stało? Co ty tak dziwnie patrzysz?

Nie odpowiadała. Potrząsnęła nim niecierpliwie, wtedy usta mu drgnęły słabym uśmiechem. Wyjął coś wolniuteńko z kieszeni i pokazał jej na dłoni.

Był to duży ludzki palec, palec Kanaka.

Odskoczyła.

— Co za okropność! Po co ty tonosisz?

Lambert przyglądał się straszemu szczątkowi zadumanym wzrokiem.

— Znałaś Pukę? — rzekł zwyczajnym głosem. — Rekin go pożarł i tyle tylko z niego zostało.

Krystynie zrobiło się niedobrze. Z trudem opanowała mdłości.

— To było wcale, wcale zabawne — ciągnął z histerycznym chichotem Lambert. — Opuściliśmy się razem. Grzebaliśmy blisko dziobu. Zobaczyłem cień. Traciłem Pukę i chwyciłem go za palec. Za ten palec.

Znów spojrzął na straszny szczątek.

— Dwa razy otworzył paszczę. Starczyło na dwa kęsy. Został tylko ten palec.

Taczał się ze śmiechu. Treherne ryknął od steru.

— Sprowadź go na dół, Krystyno. Zaprowadź go do jego koi. Ja tam zaraz będę.

Krystyna ujęła Lamberta za rękę, tak jak się bierze dziecko, i poprosiła łagodnie, żeby z nią szedł. Początkowo szarpał się i wrywał, ale potem szedł potulnie, trochę się potykając. Zeszli po trapie i Krystyna zaprowadziła go na jego miejsce.

— Jesteś bardzo zmęczony — rzekła powoli. — Tak, tak, mówiłeś mi o Puce. Teraz postaraj się usnąć.

Usiadł na koi z otwartymi ustami. Oczy miał bez wyrazu, jak ślepiec. Zaczął znów mówić, powtarzając wszystko tymi samymi słowami. Położyła mu ręce na ramionach i pchała, póki nie upadł głową na twardą poduszkę. Zręcznym ruchem uniosła mu nogi i położyła na koi. Teraz leżał jak długi. Ale żalonym głosem wywodził monotonna swoją opowieść. Krystyna wyszła po cichu, zamykając za sobą drzwi. Wyjęła klucz od środka, włożyła z zewnątrz i przekreśliła. Chwilę stała oparta o drzwi, bo świat wirował jej przed oczami. Potem schowała klucz do kieszeni i wróciła na pokład.

„San Juan” dopływał do wybrzeża. Wysoko w górze sterczały czarne skały z koronami palm u krawędzi. „San Juan” znajdował się w osłoniętej zatoczce, gdzie głęboka woda zaczynała się dwadzieścia metrów od brzegu. Treherne zatrzymał statek i łańcuch kotwiczny zleciał z hałasem. Otarłszy czoło podszedł

do Krystyny, stojącej przy kabinie. Oddała mu bez słowa klucz od kajuty Lamberta. Wziął z poważną twarzą.

— Co się stało? — zapytała.

— Czy usnął?

— Nie. Trudno się spodziewać, żeby usnął. Mówi bez przerwy. Opowiada w kółko to samo.

Treherne usiadł na pokładzie z nogami wyciągniętymi przed siebie.

— Cholerne szczęście, moja mała. Już niewiele brakowało, i taki wypadek. Licho nadało rekina. Widziałem wszystko. Lambert i Puka byli razem. Rekin przepłynął nad nimi. Lambert go zobaczył. Więc do Puki — chwycił go za palec i — obaj w górę! Ale Puka nie zdążył. Rekin szarpnął raz, drugi raz. Musiał musnąć paszczą Lamberta po rękę. Chłopak wypłynął, a my go do łodzi.

Urwał.

— Ale tyle z niego będzie pożytku, jakby i jego rekin pożarł — rzekł ponuro. — Zwariował. Zawsze był słaby i niezrównoważony. Wstrząs go dobił.

— O! nie! — przeraziła się Krystyna. — Chyba przecież przyjdzie do siebie? Gdy się prześpi i powoli uspokoi.

— Łudzisz się. Mężczyźni tak łatwo nie wracają do równowagi, a zwłaszcza tacy jak on.

— On wiedział, że go coś spotka! — zawołała. — Okropnie bał się nurkowania. Roztrzaskał skafander w nadziei, że się w ten sposób uratuje.

— Więc uważasz, że powinienem był się liczyć z jego fantazjami? — rzekł szyderczo Treherne. — Zdarzył się paskudny i wypadek, którego nikt nie mógł przewidzieć i to wszystko. Zobaczymy, jak z nim będzie. Jeżeli będzie spokojny, zabierzemy go na Tahiti, bo tam pożeglujemy, i wsadzimy do szpitala wariatów. Jeżeliby miały przyjść ataki furii, to ja się nim zajmę. A ty trzymaj się od niego z daleka.

Patrzył na nią dziwnym wzrokiem.

— Nie chciałbym, żeby mi cię pokaleczył. Za żadne skarby! Jesteś diabelnie odważna. Zaprowadziłaś go na koję, choć musiałaś widzieć, że zszedł. Nie zlekłaś się! I mnie się nie boisz. Dzielna mała!

Krystyna wyczuła zachwyty w jego grubym głosie, ale zrobiła/ wielkie oczy.

— Nie rozumiem.

Wstał i oparł rękę o ścianę kabiny. Jego brązowe ramię dotknęło jej ręki.

— Mnie nie rozumiesz? E, rozumiesz. Znałem wiele kobiet, ale tak odważnej jak ty jeszcze nie spotkałem.

Urwał i poszedł skłąć Kanaków, którzy jazgotali podnieceni śmiercią Puki. Ze zmysłowym pociąganiem mieszał się w świadomości Treherne'a podziw, jakiego

nigdy nie czuł dla żadnej kobiety. Zdumiewał się, jak bardzo działała na niego jej odwaga.

Obejrzał się. Stała oparta o kabinę. Silna, gibka postać odcinała się od tła desek. Przesunął oczami po linii ramion, biustu, smukłych chłopcących bioder i ścisnęło go w gardle.

Boże! — przemknęło mu przez myśl. — Żadna mnie jeszcze tak nie wzięła. Żadna.

Odwrócił się raptownie, a ona stała wpatrzona w ciemne skały. Wtem podniosła oczy ku krawędzi i zdretniała. Czy to złudzenie? Nie, spomiędzy krzaków wyglądała biała, wyrazista twarz.

CZĘŚĆ TRZYNASTA

Rozdział pierwszy

Treherne miał ochotę zanocować na brzegu. Krzyki Lamberta rozlegały się po całym statku. Walił w drzwi domagając się otwarcia. Treherne zaryzykował i wypuścił go. Lambert wypadł jak oszalały byk i rzucił się na swego kata. Trzeba było pięciu Kanaków, żeby go wrzucić z powrotem do kajuty i zatrzasać drzwi. Treherne, otarłszy pot z czoła, wyszedł na pokład. Słońce już zaszło i świat tonął w nagłym zmierzchu. Nad „San Juanem” królowały mroczne klify, odcinające się ostro na wieczornym niebie.

— Płynicie na brzeg — rzekł Treherne do czekających Kanaków. — Wszyscy idźcie spać na brzeg. Jeden niech szybko rozpali ognisko.

Dzicy pośpieszyli wykonać rozkaz. Katamaran jeszcze nie wciągnięty na pokład, kołysał się u burty „San Juana”. Sypnęli się do niego ze śpiewem wśród ogólnej szturchaniny i uwiązali u dziobu latarnię. Dwaj zostali, żeby przewieźć szalupą pana. Zabrali szare derki, garnek do gotowania, kilka emaliowanych talerzy i resztę drobiazgów. Treherne spoglądał na nich ze ściągniętymi brwiami.

— Krystyna!

— Czego? — odpowiedziała z ciemności.

— Zanocujemy na brzegu.

— A Lambert?

— Co tam Lambert! Co on nas obchodzi? Będzie wrzeszczał, póki nie ochrypnie, a wtedy pewnie uśnie. Jeść mu dać? Nie, niech się przegłodzi. Chodź.

Krystyna, jeszcze pod wrażeniem twarzy, która jej mignęła w ciemnościach, zbliżyła się do niego ruchami lunatyczki.

— Chodź — powtórzył niepewnym głosem. — Płyniemy. Zabrali dla ciebie kilka derek.

— Kapitan nocuje na brzegu? Dlaczego?

— Nie mogę znieść wrzasków Lamberta — mruknął. — Działają mi na nerwy.

— Czyja to wina?

— Wiem, że moja — rzekł zniecierpliwiony. — Ale tylko z tobą chcę siedzieć przy ognisku. O! wiem, że ci to nie w smak. Tylko, że mi wszystko jedno, co ty sobie myślisz. Schodź do szalupy.

Musiła posłuchać. Zaczekała, póki nie przesadził burty, i puściła się za nim. Podtrzymał ją. Poczowała jego dłoń, suchą i rozpaloną. W milczeniu dobili do brzegu, gdzie ognisko już zaczynało strzelać płomieniami. Keluti zawołał:

— Zrobić kai-kai prędko, prędko jak wszystka diabeł, Tereherini. O! Kerisitini, ona kai-kai przyjąć zaraz, natychmiast.

Zabrał się zrećźnie do przyrządzania kolacji. Krajał, obierał, mieszał. W powietrzu rozeszły się smakowite wonie. Inni Kanakowie palili drugie ognisko w odległości pięćdziesięciu kroków. Ich miękkie, leniwe głosy rozpływały się po wybrzeżu.

— Ochłodziło się — odezwał się nagle Treherne. — Chodź, przejdziemy się. Kolacja jeszcze nie gotowa.

Zrównała się z nim potulnie i przechadzali się poważnie wzdłuż wybrzeża tam i z powrotem. Treherrie'owi, gdy tak kroczył obok dziewczyny, dziwnie robiło się na duszy. Czy to nie głupota, że przechadza się o księżycu z ładną kobietą, nie trzymając jej w pół? To nienaturalne, to niedorzeczne. A jednak nie wyciągnął ręki, póki się nie potknęła. Wtedy ścisnął ją za ramię tak mocno, że krzyknęła.

— Cicho! — rzekł ostro. — Czego się boisz? Myślałem, że nie wiesz, co to strach.

— Przestraszyłeś mnie, Treherne.

— Przestraszyłem cię? Tylko bez nerwów. Dostyc mamy na pokładzie tego towaru.

— Niby Lamberta? Głupio zrobiłeś — rzekła chłodno — zmuszając go do nurkowania. Co teraz poczniesz? Zdasz się na Kanaków?

— Muszę — zasepił się. — Ach, diabli nadali! Kanakowie nurkują znakomicie, zwłaszcza Keluti i Manua. Ale to tępe łby, nie wiedzą, jak sobie radzić. Dlatego wziąłem Lamberta. On już się zorientował. Mówił, że gdyby poruszyć górną warstwę desek, to dotarlibyśmy do skarbu. Od razu wypatrzył stos rzeczy pod szczątkami dziobu „Konstantyna”. Wszystko zagrzebane głęboko i pokryte szlamem. Ale po samym układzie desek i belek poznał, że tam coś jest. Rozumiesz? A Kanakowie tego nie zauważyli, bo nie umieją patrzeć.

— Nie można nimi kierować? Przecież przez skrzynkę widać, co robią. A sam kapitan nie mógłby się opuścić?

— Nie — zachnął się tak gwałtownie, że Krystyna drgnęła. — Nie, tego nie zrobię i nie będę się tłumaczył, dlaczego. Moja sprawa. Możesz sobie myśleć o mnie, co ci się podoba. Ja nie będę nurkował.

— No, to pewnie długo potrwać poszukiwania. Treherne burknął gniewnie i zawrócili ku ogniskom.

— Co zrobimy z Lambertem?

— Niech go nagła cholera! Co komu do tego, co z nim zrobimy? Wyrzucimy za burtę i już. Nie mam czasu na zabawy z tym łajdakiem. Ale co ty się tak o niego troszczysz? Czy ci na nim zależy?

— Nie.

— Za to on w tobie zadurzony — powiedział zazdrośnie Treherne. — Widziałem, jak na ciebie spoglądał. Ale to smarkacz. Cóż on może wiedzieć o miłości?

— A kapitan wie?

— Ja znam wiele rodzajów miłości — odpowiedział. — Miłość to dla mnie...

— ... spać z kobietą — rzekła brutalnie. — Mów dalej, Treherne.

— Ano, tak — potwierdził z równie brutalną otwartością. — Od czegoż są kobiety? Większość was raduje się ze swego przeznaczenia.

— Dziewięć na dziesięć może, ale ta dziesiąta?

— Ta dziesiąta...

Umilkł i ona umilkła. Słyszał w mroku jej przyśpieszony oddech.

— Ta dziesiąta, dlatego że trudna do zdobycia, przez to właśnie najbardziej pożądana — rzekł trochę schrypniętym głosem.

Sięgnął do jej rąk, ale schowała je szybko za siebie.

— Czy to znaczy, że ja mam być tą dziesiątą? — zapytała z drzeniem, które nie uszło jego uwagi.

— Krystyno ...

— O! Tereherini — zawołał ochoczy głos — ona kai-kai parzyć gorąca!

Treherne zawrócił bez słowa.

Siadł koło ognia i wpatrzył się w środek żaru. Światło, padające na jego energiczne, grube rysy, uwydatniało ostre linie koło ust. Nie kwapił się do jedzenia i Krystyna zastała go w nieruchomej pozie kamiennego bożka.

Usiadła z drugiej strony i wyciągnęła ręce do ognia.

— Jedz!

— Nie jestem głodna.

Wyjął flaszkę i przyłożył do ust, przechylając głowę do tyłu. W czerwonym blasku płomieni zobaczyła jego potężną, muskulamą szyję. Wcisnął starannie korek i przesiadł się, żeby móc widzieć Krystynę.

— Jesteś śliczna — zaczął wolno — i taka, jakiej jeszcze nie spotkałem. Inne w porównaniu z tobą to głupie kury. Byłby z ciebie dzielny mężczyzna.

— Gdybym była mężczyzną...

— Jesteś dziesięć razy odważniejsza niż Lambert. Ba! założyłbym się, że nurkowałabyś dziś, gdybyś była z nami w szalupie. Co?

Nie odpowiedziała. Wstał, obszedł ogień i stanął nad nią. Wypity trunek zapalał w nim krew.

Muszę panować nad sobą, żeby nie poznał, że się boję — pomyślała szybko Krystyna.

Ale trudno było ukryć strach przed czarnymi, przenikliwymi oczami „konkurenta”. Usiadł i położył rękę na piasku obok jej ręki. Smaczna strawa stygła tymczasem w garnku. Treherne milczał, lecz było to milczenie brzemiennie rodzącym się wybuchem. Krystyna siedziała cicho. Wiedziała, że za najlżejszym jej poruszeniem Treherne rzuciłby się na nią.

Zapytał niespodziewanie:

— Ty mnie nienawidzisz, Krystyno?

— Tak — rąbnęła. — Jesteś pies, zły pies, ale się ciebie nie boję. Gdy mi zamordowałeś ojca...

— Powiedz to jeszcze raz!

— To prawda! — krzyknęła z uniesieniem. — Bardziej mnie już nie możesz skrzywdzić, niż skrzywdziłeś. Nie miałam nikogo prócz ojca i kochaliśmy się.

— Dostyc tego. Ja go nie zabiłem.

— Kłamco! I po co się wypierać? Mnie nie oszukasz. Zabiłeś go. I spaliłeś „Meduzę”.

— Kto ci powiedział to kłamstwo? — podchwycił.

— To nie kłamstwo. To prawda. Któryś z Kanaków... Myślałeś, łotrze, że to się nie wyda? Blaise wydusił z niego prawdę, o mało go nie zabił.

— To wszystko brednie — powiedział łagodnie Treherne. — Kanackie bajki! A ty uwierzyłaś, co?

— To prawda — upierała się Krystyna.

— Śmiesz mi to mówić w żywe oczy!

— Tak.

— Czy wiesz, że jak zechcę, to przeklniesz dzień, w którym ujrzałaś światło dzienne? Czy rozumiesz, że jesteś na mojej łasce i niełasce? Cokolwiek bym z tobą robił, żaden Kanak nie odważyłby się podnieść palca w twojej obronie. Rozumiesz?

— Rozumiem. Mimo to mówię jeszcze raz: zabiłeś mi ojca i spaliłeś „Meduzę”, Treherne!

Mierzyła go rozognionymi oczyma.

— Twój ojciec... — zaczął i urwał.

— Co mój ojciec?

— Czy mówił ci kiedyś, co robił, zanim ściągnął tu na południe?

— Nie. No, niewiele.

— Czy nie byłaś ciekawa, dlaczego nie wracał do Anglii?

— Gdyby chciał, toby wrócił.

— Doprawdy?

— Bo co? — spytała mimo woli.

— Bał się wrócić, bo go tam czekał stryczek. Spokojnie! Ja nie zmyślam. Twój ojciec wcale się nie nazywał John Allen. To było przybrane nazwisko. Spokojnie! Czy wiesz, co zrobił? Czy wiesz, jaką haniebną rzecz popełnił? Więc ci powiem. Tak, powiem ci. Posłał niewinnego człowieka na szubienicę, kiedy sam powinien był zawisnąć na stryczku.

— Nie wierzę — rzekła bez namysłu Krystyna.

— Wierzysz. Rozumie się, musiałaś zaprzeczyć. Ale zastanów się. Wiem, że się zastanowisz. Allen zabił tego człowieka. Tak, po prostu, wydał niewinnego na śmierć. Pozwolił go powiesić za to, co sam zrobił.

Krystynie usta drżały i widok ten dziwnie wzruszył Treherne'a.

— No, nie przejmuj się, mała. Musiał stchórzyć. Inaczej nie mógł.

Krystyna milczała. Splotła ręce tak mocno, że knykcie zbieleły. Przeczyła, ale czuła, że Treherne nie kłamie. Raptem wyjaśniło się jej wiele zagadek z życia ojca. A więc to dlatego bywał taki ponury, dlatego stronił od ludzi, dlatego nie lubił mówić o Anglii i zbywał z pośpiechem jej pytania, gdy chciała się czegoś dowiedzieć o jego życiu. Jak ojciec mógł się dopuścić rzeczy tak haniebnej! Uczucie żalu do ojca przeszło tak szybko, jak wybuchło, ustępując miejsca nagłej litości. Jakże musiał cierpieć! — pomyślała. — Co za tortury znosił przez tyle lat! Strach przed odkryciem, nieustępliwa myśl, że córka może się dowiedzieć. Czemu sam jej tego nie powiedział? Czemu nie zrzucił ciężaru z serca? Musiał się obawiać, że przestałaby go kochać. Gdyby go mogła wtedy zapewnić, że nic by jej od niego nie odstręczyło...

— Krystyna!

Skierowała z wysiłkiem myśl na teraźniejszość, ale była jak nieprzytomna.

— Co?

Objął ją szybko silnym ramieniem i przycisnął do piersi. Poczwała jego wargi na czole, na ustach, na szyi. Lewą ręką próbował niecierpliwie rozpiąć bluzkę. Poczwała na skórze jego rozpaloną dłoń. Szamotała się jak szalona, waląc, gdzie popadło. Dostał w szczękę tak mocno, że krzyknął ze zdziwienia. Cisza nocna wrzała odgłosami walki. Krystyna spostrzegła się, że klnie głośno, że sypie przekleństwami, tak jak Allen w trudnych chwilach.

Treherne sapał niczym zgoniony biegacz. Gruby kark zrosiły krople chłodnego potu.

Na Boga! ależ silna! Mimo to nie da mu rady. Trzymał ją mocno, okrutnie pewny, że w końcu zmęczy się i skapituluje.

— Ze mną nie wygrasz — zapał triumfalnie. — Jesteś moja.

— Ach, głupi — zaśmiała się tak swobodnie, że zdębiał. — Po co tak nagle? Gdzie ty masz rozum, Treherne? Masz mnie i możesz robić ze mną, co ci się podoba. Ale po co ta przemoc? Nie znasz się na kobietach.

— Co?

— Głupi — powtórzyła, unosząc się lekko. — Przecież ja rozumiem, że tego nie uniknę. Zgoda. Poddaję się. Ale, jakież z ciebie cham, Treherne. Nic nie wiesz. Kobieta lubi zaloty i udaje przed sobą, że rozstrzygnięcie należy do niej. Gdybyś był mądrzejszy...

Chciała zyskać na czasie. Jeżeli uda się odwlec klęskę choćby na tę jedną noc, to może tymczasem niebo ześle ratunek. Mówiła wolno, spokojnie, byle go rozbroić. Treherne słuchał, choć właściwie nie chciał słuchać. Ale myślał:

Słusznie, słusznie, do stu diabłów! Sam sobie psuję interes.

Puścił ją. Wynagrodziła go szybkim, nerwowym uśmiechem.

— Kapituluję — rzekła. — Miałam urazę o ojca. Ale teraz, gdy się dowiedziałam, co to był za człowiek, już mi wszystko jedno. Myślałeś, Treherne, że cię nienawidzę. Prawda, nienawidziłam cię. Ale teraz wszystko się zmieniło.

Nie przestając się uśmiechać, spoglądała na niego ni to bojaźliwie, ni to wyzywająco.

— Nie mógłbyś zaczekać, dopóki... Nachylił się nad nią skwapliwie.

— Prawdę mówisz? Nie kpisz? Nie chciałem cię krzywdzić, ale muszę cię mieć. Boję się, że coś się stanie i nie zdążę...

— Cóż by się mogło stać? — odparła leniwie. — Daj mi tylko trochę czasu, żeby nie tak nagle... Dzień, dwa. Potem...

Treherne cofnął ręce, a ona ją obciągać na sobie żakiet zupełnie spokojnymi ruchami. Treherne, siłąc się na zwyczajny głos, zauważył, że trzeba by coś zjeść, więc jedli i gawędzili jak przyjaciele. Krystyna słuchała, a on opowiadał o ludziach, których znał; o tym, czego dokonał w życiu.

Co on też chciał zrobić najlepszego? Żeby po chamsku brać się do takiej dziewczyny! Czyste wariactwo! Pierwszy raz od wielu lat Treherne powiedział sobie, że był głupi. Nic dziwnego, że mu się tak wściekle opierała. Dobrze mi — ganił siebie z jakąś szczególną uciechą. Przecież to nie dziwka z Hobart Alley.

Śmiać mu się chciało, że tak dwornie ze sobą rozmawiają. Ba! za parę dni zaprzestaną komedii. Ale na razie trzeba dziewczynie ustąpić. Śmiać mu się chciało z jej fochów, bo przecież to on miał ją w ręku, nie ona jego. Kanakowie nucili rzewną pieśń na śmierć Puki. Czyste głosy niosły się po wybrzeżu.

Krystyna podniosła rękę i oboje słuchali w milczeniu melodyjnych lamentów, po których nastąpiła pieśń o rekinie. Początkowe tony, ciche i mrukliwe, przeszły w furję gniewnych dźwięków, a te z kolei w triumfalny śpiew o losie rekina, gdy dostanie się w ręce poławiaczy.

— Ależ wrzeszczą!— rzekł wreszcie Treherne. — Czas spać. Czy nie słyszysz Lamberta? Zdawało mi się, że znów walił we drzwi. Gdzie twoje derki? Czekaaj, rozłożę.

Krystyna zerwała się z ziemi i położyła mu rękę na ramieniu.

— Nie za blisko ognia. Nie mogę spać, mając światło w oczy. Tutaj, koło drzew.

Treherne przeniósł derki pod cztery palmy, rosnące w zwartej grupie nad wybrzeżem, rozpostarł na ziemi i wygładził.

— Ja położę się przy ognisku — rzekł. — Mam lekki sen — dodał tylko na pół żartem. — Mówię ci to na wypadek, gdybyś zamierzała w nocy uciec.

— Po cóż bym miała uciekać? Teraz wiemy już, co o sobie myśleć.

Stali tuż przy sobie. Krystyna wzięła głęboki wdech.

— Raz możesz mnie pocałować.

Ujął ją pod brodę. Krystyna zniosła te okropne pieszczoty z zaciśniętymi zębami. Treherne nie zauważył, jak się wzdrygnęła, gdy ją puścił.

— Śpij dobrze — powiedział i odszedł do ogniska. Krystyna położyła się na derkach i pełna oczekiwania spoglądała w ciemność.

Blaize przeczekał całą godzinę. Od chwili gdy „San Juan” przybił do brzegu, czatował na skałach. Wiedząc, jaką ostrością wzroku i słuchu odznaczają się Kanakowie, uważał, że lekkomyślnie by postąpił, gdyby próbował wpełznąć do obozu przed północą. Przypuszczał, że Krystyna musiała go widzieć. Nie dała, co prawda, żadnego znaku, ale rozumiał, że nie mogła tego uczynić, żeby nie zwrócić czyjejś uwagi.

Widział, jak załoga rozbijała obóz na wybrzeżu, czuł zapach palącego się drzewa, słyszał śpiewy Kanaków. Podczas gdy Krystyna z Treherne'em przechadzali się po wybrzeżu, schodził ze skał ostrożnie krok za krokiem. Każde stąpienie przyprawiało go o przyływ trwogi. Było tu twardo i stromo. Musiał badać każdą piędź ziemi, bo inaczej zwałiby się na łeb. Potem, I skulony wśród skał, patrzył, co się dzieje. Krystyna i Treherne | usiedli koło ogniska. Niewiele słyszał z tego, co mówili, lecz gdy^ zaczęli się kłócić, wyciągnął ciekawie szyję. Treherne, porywając Krystynę w objęcia, nie wiedział, iż mało brakowało, żeby I dostał kulę w łeb. Na szczęście dla siebie uległ chytryści dziewczyny. Blaize, widząc, że Krystyna daje sobie radę z niecierpliwym amantem, opuścił rewolwer.

Zaczekał, póki się nie położyła. Obliczył, że za godzinę będzie mógł bezpiecznie zacząć działać, bo Treherne z Kanakami będą już spali jak zabici. Przewróciwszy się na plecy, patrzył w rozmigotane gwiazdy. Czy nie lepiej byłoby zaskoczyć nieprzyjaciela z rewolwerem? A gdyby tak spróbować? To nazbyt wielkie ryzyko. Dziesięciu Kanakom i jednemu białemu nie dałby rady. I Treherne mógłby strzelić pierwszy. Blaize zaryzykowałby, gdyby chodziło tylko o niego samego. Ale gdyby on padł, Krystyna byłaby zgubiona.

Jak ci Kanakowie długo nie idą spać!

A potem jeszcze, gdy się pokładli koło ogniska, jazgotali, aż Blaize'a ogarniała rozpacz.

Zdawało mu się, że minuty rozciągają się w wieczność.

W końcu obóz uspokoił się na dobre. Blaize jął pełznąć na czworakach wielkim łukiem na lewo, żeby się nie oddalać od palm, które tu rosły w kępach. Co chwila zatrzymywał się i nasłuchiwał, czy wszyscy śpią. Często zwracał oczy na nieruchomą, skuloną przy dogasającym ognisku postać Treherne'a. Od Krystyny dzieliło go jeszcze dwadzieścia kroków. Poczłł nieznośny ból we wszystkich członkach. Ręce miał obolałe, ramiona zeszywniałe. Tobołek na plecach ciążył mu coraz bardziej, ale bał się go rzucić. Te kilka puszek żywności, nóż i derka mogły bronić go od śmierci przez wiele dni.

Mijając ognisko Kanaków, czołgał się ostrożnie na brzuchu. Słyszał postękiwania i głębokie, chrapliwe oddechy. Nagle Keluti wrzasnął i zerwał się nieprzytomnie, widocznie pod wpływem sennego przewidzenia. Blaize przylepił się do ziemi, spocony ze strachu. Ale nic się nie stało. Keluti padł znów na ziemię. Nikt inny się nie poruszył.

Dziesięć kroków — pięć — dwa. Poczłł pod palcami szorstką derkę. Krystyna chwyciła go za rękę. Żadne nie powiedziało słowa. Krystyna widziała, jak czołgał się w świetle księżyca i modliła się żarliwie, żeby mu się udało.

Trwał nieruchomo w obawie, żeby nie spłoszyć jej ręki. Bał się odezwać, bo nawet najszłabszy dźwięk mógł wyrwać Treherne'a z niespokojnego snu.

Krystyna podniosła się ostrożnie. Pokazał jej głową kierunek. Ruszyli razem ślimaczymi ruchami, starając się trzymać ramię w ramię. Spod ręki Krystyny wytoczył się kamyk. Oboje padli plackiem w bolesnej trwodze, że zostaną odkryci. Ale obóz spał, więc pełzli dalej. Blaize kierował się na prawo ku palmom na stoku. Krystyna, rozumiejąc, o co chodzi, posuwała się za nim.

Gdy wybrzeże zostało w tyle, otucha wstąpiła w ich serca. Szum morza rozplął się stopniowo w oddali. Obejrzelili się. Ognisko mrugało w księżycowych cieniach jak zapałka. Niebawem stracili je z oczu całkowicie.

Krystyna drżała od stóp do głów. Godzinny marsz wyczerpał ją doszczętnie. Gdy Blaize szepnął: „Teraz możesz odpocząć”, usiadła pod palmą i oparta o pień dyszała z ulgą.

Blaize przeciągnął się.

— Nie możemy tu zostać. Zesztywniałem na kość, do stu piorunów! Patrz, poruszaj rękami tak: do góry i na dół, do góry i na dół. Dobrze. Teraz posłuchaj. O wschodzie słońca musimy być daleko stąd. Niech się tylko zrobi alarm, że uciekłaś, pogonią za nami.

— Nie jestem pewna...

— Dlaczego?

— Treherne szaleje za skarbem. Szkatułka Vasarięgo. Ceni ją nad wszystko. Więcej niż mnie. Póki się z tamtym nie upora, da mi spokój.

— Nie wiadomo. Jednakże, nie możemy ryzykować. Takunai jest niewielka. Jeżeli Treherne rozpuści Kanaków po wyspie i dostaniemy się im w ręce...

Wzruszył ramionami.

— Do wschodu słońca niedaleko. Odpoczęłaś? No, to jazda!

— Jeszcze chwilę — błagała, ale Blaize był nieugięty.

— Nie. Boję się tutaj marudzić. Zbyt wielkie ryzyko. Jeżeli nie możesz iść, mogę cię kawałek nieść.

Chciał jeszcze dodać: Teraz, gdy cię wyratowałem z jego rąk, czuję się silny za dziesięciu. Mógłbym cię nieść bez trudu dziesięć mil.

Ale milczał. Czekał, żeby ona coś powiedziała.

Krystyna podniosła się chwiejnie, wyprostowała obolałe plecy. Wszystko postawił na jedną kartę, żeby ją ratować, a ta nawet nie dziękuje, tylko jęczy, że jest zmęczona. A co on w takim razie ma powiedzieć? Kiedy on odpoczywał ostatni, raz? Kiedy spał?

— Ruszaj, Blaize. Idę.

CZĘŚĆ CZTERNASTA

Rozdział pierwszy

Rano byli już daleko. Gęste zarośla utrudniały marsz. Ślizgali się i potykali, byli podrapani i posiniaczeni. Ale Blaize rzadko zgadzał się zatrzymywać dla wytchnienia, a gdy się zgodził, to na krótką chwilę. Strach przed pościgiem przynaglał go do marszu. Na domiar złego siły go opuszczały. Takunai była nieprzyjazna. Rozpościerała przed nimi bagna, rzucała pod stopy skręty lian, żeby się potykali, zamykała ścieżki krzewami. Krystyna ledwie żyła. Jednak wlokła się wytrwale, choć raz po raz zapadała się po kostki w grzędzawiskach lub utykała w spróchniałych pniach. Wtedy czepiała się ramienia Blaize'a.

Przez ostatnią milę żadne nie miało siły rozmawiać. Oszczędzali się. Blaize parł ku środkowemu szczytowi, spodziewając się tam znaleźć schronienie do czasu powrotu „Kulika”. Ale nawet w najpomyślniejszych okolicznościach żaglowiec mógł przybyć najwcześniej za osiem dni. Osiem dni! Blaize zaczął myśleć o czymś innym.

O wschodzie słońca uznał za bezpieczne zarządzić dłuższy wypoczynek. Krystyna chwiała się idąc. Bał się, że mu zemdleje. W szarym świetle brzasku zobaczył, jaka była blada i zmordowana. Odzienie wisiało na niej w strzępach, ręce krwawiły.

— Usiądź — rzekł. Drżącymi palcami rozwiązał swój tłumok i rozpostarł na ziemi szarą derkę.

— Prześpij się trochę. Ja będę czuwał. Potem ty możesz stanąć na warcie. Nie sprzeczasz się. Rób, co każe.

Położyła się posłusznie. Pokaleczone ręce zapiekły boleśnie od zetknięcia z derką. Podłożyła ramiona pod głowę i momentalnie zasnęła ciężkim snem. Byli na polance wśród dżungli. Tu zaczynało się już górskie zbocze, przechodzące wyżej w środkowy masyw. Blaize siedział i walczył ze wszystkich sił z ogarniającą go sennością.

Nie mógł myśleć. Nie mógł układać planów. Nie mógł się nawet cieszyć nowym dla siebie widokiem uśpionej Krystyny. Dla jego znużonego umysłu była to tylko przemęczona kobieta, którą należało niedługo obudzić, żeby samemu odpocząć. Żeby nie zasnąć, wybijał na kolanie rytmy melodii. Sięgnął w gąszcz zwichrzonej czupryny i wyrwał kilka włosów. Ból podziałał orzeźwiająco.

Słońce wschodziło, zalewając niebo żółtym światłem. Blaize patrzył uważnie. Czy ten wschód wróży wiatr czy ulewę? Bryza ciągnęła od zachodu. Zły to znak, gdy o świcie wiatr wieje ku wschodowi. Zastanawiał się sennie, co by to mogło

wróżyć. Chociaż, czy to nie wszystko jedno, czy w ogóle nie wszystko jedno? Blaize zaklął.

Powieki kłuły go od niewyspania. Szarpnął głowę w tył. Był wściekły, że aż tak musi walczyć z sennością. Jak dawno już nie spał? Spróbował policzyć godziny i nie mógł.

Poranne powietrze było chłodne. Parujący pot przyprawiał go o dreszcze. Wstał sztywno i zaczął się przechadzać tam i z powrotem między dwiema palmami odległymi od siebie o dwadzieścia kroków, wydeptując między nimi ścieżkę. Osądziwszy, że Krystyna musiała już spać ze dwie godziny, ukląkł obok niej i powiedział:

— Krystyno! Czas!

Spała tak mocno, że nie usłyszała. Potrząsnął ją ostrożnie za ramię. Usiadła raptownie z miną przerażonego dziecka.

— O!.. o!.. o!.. Jeszcze czas? Spałeś?

— Nie. Ale ja — godzinę...

I już leżał twarzą do ziemi z głową wspartą na zgiętej lewej ręce. Odezwała się. Nie odpowiedział. Zapadł w sen jak w trzęsawisko.

Ale rojenia senne nie dawały mu spokoju. Widział Treherne'a z olbrzymią złotą szkatułą w ramionach. Musiał stać i przyglądać się triumfowi nieprzyjaciela. Nie mógł się ruszyć, gdyż olbrzymie liany pętały mu ręce i nogi. W powietrzu rozchodziła się woń spalenizny. Rozległ się krzyk: „«Meduza» się pali!". Blaize jęczał przez sen i przewracał się na twardej ziemi z boku na bok.

Krystyna, siedząc obok, czuwała nad śpiącym. Chciała zrobić jaką taką toaletę, lecz wysiłki jej w tym kierunku nie na wiele się zdały. Nosiła w kieszeni ułamek grzebienia od Treherne'a zgodnie z instynktem, który nie pozwala kobiecie rozstawać się z tym przedmiotem. Drugim przyborem toaletowym była chustka do nosa, zwilżona rosą. Tymi skąpymi środkami Krystyna chciała usunąć skutki nocnego marszu przez tropikalne gąszcze leśne. Byłaby oddała rok życia za najmniejsze lustro.

Z przerażeniem oglądała odzież, która wisiała na niej w strzępach. Jeden rękaw, wyrwany ze szwu, trzymał się na kilku nitkach. Spodnie, podarte na kolanach, były czarne od błota.

— Dzięki Bogu — pomyślała — że jest jeszcze ta derka. Może niedługo będę zadowolona, że mam się w co owinąć.

Papuzki skrzeczały hałaśliwie. Olbrzymi krab lądowy pełznął obok — szkaradne stworzenie, którego złośliwe oczka przyprawiały Krystynę o dreszcze. Poruszyła się i krab zatrzymał się przezornie. Bliskość ogromnych kleszczy napędziła jej strachu. Pochwyciła puszkę z marynowaną wołowiną i

cisnęła w kraba. Stwór cofnął się, zagarnął gniewnie szczypcami przysmak, pochwyił zdobycz i uciekł. Krystyna zaśmiała się trochę żałośnie, bo przecież Blaize miał mało żywności. Z wzrastającym przerażeniem policzyła puszki i ustawiła jedne na drugich. Pięć z wieprzowiną i fasolą, trzy małe z wołowiną i jedna bez naklejki, tajemniczo bulgocząca za wstrząśnięciem. Przygotowała pakunek dla Blaize'a. Owinęła puszki derką i zawiązała sznur w ten sposób, żeby łatwo było zarzucić na plecy. Pozostawało tylko czekać, aż Blaize się prześpi, i obudzić go. Doświadczonym okiem dostrzegła żółtawą barwę nieba. I jej nie podobał się kierunek wiatru. Burza? Możliwe. W takim razie tamci nie mogliby nurkować.

Usiadła obok śpiącego. Marszczył brwi i chwilami mruzczał coś o spalonej „Meduzie”. Ten niespokojny sen martwił Krystynę. Patrzyła na towarzysza z troską. Jaki znużony, jaki wyczerpany! Miała ochotę położyć sobie jego głowę na kolanach, ale dała spokój. Aż jej się chciało śmiać.

Słońce szło coraz wyżej. Wiatr ucichł. Z lasu buchała gorąca, wilgotna woń.

— Blaize!

Obudził się momentalnie i usiadł prosto z przytomnymi oczami.

— Wszystko dobrze? — zapytał. — Na Boga! Spójrz na słońce! Gzas nam w drogę.

— A może jeszcze trochę... Jeszcze nie odpocząłeś. Stękałeś jak stara szkapa.

— Nie możemy tracić czasu. Treherne przeszuka całą wyspę. Ma jedenastu Kanaków i Lamberta.

— Teraz dziesięciu, a Lambert nie przyda mu się na nic. Wczoraj rekin pożarł jednego Kanaka. Lambert zdążył się uratować, ale oszalał. Trzymali się z tantym za ręce.

— Tacy rodzą się na wariatów — wygłosił Blaize. — Za grosz siły woli. Dobrze spakowałaś ten tobołek.

Wstał i zarzucił go sobie na plecy. Krystyna rzekła z miną winowajczyni:

— Och, laź tu krab lądowy. Cisnęłam w niego puszką i chwycił ją w kleszcze. Przepraszam, że byłam taka nieostrożna.

Blaize spojrział na nią markotnie.

— Masz czego żałować. Co za głupi wypadek! Czy wiesz, że nam tej żywności musi wystarczyć na wiele dni? „Kulik” w najlepszym razie wróci za tydzień. A może za dwa tygodnie. Chyba że wcześniej zasięgną języka. No, ale na cuda nie możemy liczyć.

Krystyna chrząknęła i zarumieniona gniewnie gotowała się odeprzeć zarzut. Ale nie dał jej dojść do słowa.

— Daj spokój! Sama wiesz, że zrobiłaś głupstwo.

— Jak śmiesz tak do mnie mówić?

— Ach, przestań już — odparł zniecierpliwiony Blaize. — Nie jesteśmy na pokładzie „Kulika”. Na swoim statku wolno ci było bawić się w dowódcę, kapitanie Krystyno, ale tu, na wyspie, ja rozkazuję. Masz mnie słuchać. Zrozumiano?

— Na pokładzie nie pozwoliłbyś sobie na taką śmiałość.

— Może i nie.

Spojrzał na nią i odwrócił oczy.

— Może się we mnie coś zmieniło. Chodź. Możemy rozmawiać idąc. Tędy, po zboczu. Zapnij żakiet i podnieś kołnierz, bo tu są moskity.

— Za gorąco.

Szła tuż za nim, stąpając po jego śladach, bo było grząsko. W odpowiedzi Blaize odwrócił się zniecierpliwiony i zanim zdążyła wydać okrzyk oburzenia, objął ją za ramiona i przytrzymał, podczas gdy drugą ręką zapiął jej żakiet po samą szyję. Wściekłość Krystyny z powodu tej, jak uważała, zniewagi była tak wielka, że głosu jej zabrakło. Ale Blaize nic sobie nie robił z jej piorunujących spojrzeń.

— Nie rozpinaj — rzekł ostrzegawczo, znów ruszając przodem. — Nie słyszałaś, co mówiłem przed chwilą? Powiedziałem, że może się we mnie coś zmieniło od opuszczenia „Kulika”. Nie będę się tłumaczył. Sama się zastanów.

Szedł długimi zamaszystymi krokami i Krystyna ledwie mogła za nim nadążyć. Pot ją oblewał, ale nie odważyła się rozpiąć żakietu. Blaize miał słuszość co do moskitów. Z bagniska na lewo, odległego o pół mili, przybyły bzykające zastępy w nadziei, że będą miały ucztę. Blaize ułamał kilka gałęzi pierzastej rośliny i opędzali się tymi naturalnymi wachlarzami, aż im ręce drętwiały. Ciężko było iść. Brnęli teraz po żółtym mchu, który ustępował pod nogami jak gąbka.

Po godzinie Blaize nakazał postój.

— Dokąd się kierujesz? — spytała Krystyna.

— Na szczyt góry. Tylko tam możemy być bezpieczni, bo będziemy widzieli całą wyspę jak na dłoni. Zobaczymy „San Juana”, będziemy mogli osądzić, co się dzieje. Gdyby Treherne chciał zajrzeć do krateru, będziemy mieli nad nim przewagę w walce. Zanim dotarłby do nas, mogłoby być po nim.

Krystyna spoglądała z przerażeniem na środkowy masyw.

— Tam?

— Najlepsze miejsce — mówił obojętnie. — W połowie wysokości płynie strumień. Też dobrze dla nas. Powinniśmy dożyć do powrotu „Kulika”. Najgorszy jest niedostatek żywności.

— Czy tu są banany?

— Widziałaś? Jeżeli zobaczysz, krzyknij. Kokosy są, naturalnie, ale wiesz, jakie to pożywienie, wiatr w żołądku. Raz żywiłem się tym przez tydzień, bo nic innego nie było. Od tego czasu choruję na żołądek.

— Kiedy to było?

— Wtedy, jak „Szczęśliwy Wojownik” zatonął koło Nikii na zachód od Papalagos. Cudem wydostaliśmy się na brzeg: ja, kapitan i kucharz. Szczury tam były jak kociaki. Oj, mieliśmy używanie! Marsz!

I znów szli i szli. Teren zniżał się ostro ku prawie niewidocznej dolinie, otaczającej górę na podobieństwo fosy. Krystyna wzdrygnęła się na widok rozparzonej głębi. Słońce stało wysoko i z doliny podnosiły się ciepłe, wilgotne, cuchnące wyziewy.

— Czy musimy tu zejść?

Nachylała się trwożnie nad zboczem. Język miała suchy i napuchnięty, ale Blaize wcześniej nie pozwolił się napić ze strumyka wijącego się kręto przez żółty mech, a przez ostatnie pół mili szli po twardym, bezwodnym gruncie.

— Naturalnie. Usiądź na chwilę i odpocznij, jeżeli chcesz. W duchu pomyślał:

— Nie mogę zbyt wiele ustępować, bo jakby mi zaczęła grymasić...

— Ale czy tak będzie naprawdę najlepiej? — pytała z niepokojem Krystyna.

— Nie moglibyśmy przedostać się na północne wybrzeże i tam się przyczaić?

— Nie — sprzeciwił się. — Treherne spenetruje wybrzeże. Wierz mi, Krystyno, że ta góra to jedyne bezpieczne miejsce.

— Wyolbrzymiasz niebezpieczeństwo. Treherne jest pochłonięty skarbem.

— A gdy go wydobędzie? Dziś mu się może udać. To co wtedy? Czy ruszy na Amanu, a ciebie zostawi? Weź też pod uwagę, że nie podejrzewa mojej obecności. Myśli, że uciekłaś sama. Przez jakiś czas nie będzie się śpieszył, ale potem wypuści w pogoń Kanaków.

Poprawił tłumok i wstał.

— Dlaczego Treherne nie postawił żadnego na czatach?

— Postawił, ale wszyscy bali się Puki. Manua miał czuwać... Może się bał, że zobaczy upiora Puki, bo gdy Treherne usnął, wrócił do ogniska i pewnie położył się z innymi.

Upał był straszliwy. Nawet powiewy wiatru nie łagodziły piekielnego żaru w dolinie. Stok spadał bardzo stromo. Między płataniną pnączy nie było ani śladu ścieżki. Krystyna widziała, że muszą sobie torować przejście, ciąć i przepychać się całą siłą. Podążała energicznie za Blaize'em, który ją znacznie wyprzedził. Nie czekał. Na chwilę gniew w niej wezbrał. Czy Carroll kłamał zapewniając, że Blaize kochają nad wszystko? Bo jeżeli kocha, to przecież powinien jej okazywać trochę więcej względów. Dziwny sposób okazywania miłości —

myślała ze złością, szamocząc się wśród grubych, mięsistych łodyg. — Gdzież on się podział?

A, jest! W gąszczu mignęły szerokie bary i czarna głowa. Słysząc było trzask gałązek. Przepychała się za nim. Chciała go zawołać, gdyż odgięte gałęzie, wracając na swoje miejsce, tłukły ją po głowie. Ale powstrzymywała się. Prosić go, kiedy taki niechętny? Nie, choćby miała się męczyć cały dzień.

Niżej i niżej. Żar niebezpieczny i nie do wytrzymania. Pot zalewa Krystynie oczy. Ręce robią się lepkie, mokre ubranie — w strzępach. Wysilek schodzenia w dół okropny, obolałe członki odmawiają posłuszeństwa. Ale widok Blaize'a dodaje jej odwagi. Krystyna zacina zęby i ciągnie za nim, jak może. Czy zuchwalec czeka, żeby na niego zawołała? Niedoczekanie!

Przystanąła, zgarnęła włosy z twarzy i otarła spoconą szyję. Przypuszczała, że jest na połowie pochyłości. Blaize'a nie widziała. Gąszcz zielonych liści i łodyg zasłaniał go całkowicie. Słaby trzask daleko w dole powiedział jej, że przewodnik przedziera się jeszcze na dno doliny, schodziła więc pośpiesznie, żeby go nie zgubić. Rozsądek zapewniał, że nie zostawiłby jej na zgubę, ale nie była wcale pewna, czy szukałby z trwogą w sercu.

Carroll pomagałby jej. Wyobrażała sobie, jak by kroczył obok, jak by ją przeprowadzał przez najgorsze miejsca, jak by przytrzymał gałęzie. I żartowałby z tej przeprawy, urozmaicając nudę marszu przenikliwymi spostrzeżeniami, dowcipami i humorem. Nawet Treherne miałyby dla niej względy — myślała. Wprost nie chciało jej się wierzyć, żeby ktoś mógł ją traktować tak lekceważąco.

Brnęła naprzód, chora, z zawrotami głowy od upału i gnilnych wyziewów. Nie miała noża, żeby sobie torować przejście, a szlak Blaize'a szybko się za nim zamykał. Musiała się więc przepychać po stromej pochyłości w dół, ciągle w dół. W końcu nogi zaczęły się zapadać. Przemokła ziemia ociekała strużkami zgniłej wody. Rosły tu dziwaczne, kielichowate mchy. Kępy szkarłatnych lilii błotnych tworzyły złowieszczo jaskrawe plamy. Kanakowie mówią, że te kwiaty kwitną tylko tam, gdzie krew wsiąkła w ziemię.

Blaize siedział na powalonym, na pół zapadniętym w grzędawisku pniu, z założonymi rękami i nogami wyciągniętymi przed siebie, ze zgarbionymi plecami. Gdy Krystyna podeszła chwiejnie i padła na pień obok niego, nawet nie odwrócił głowy. Obolała, bezsilna, ogłupiała z wyczerpania, spostrzegła, że żadne z nich nie miało tego dnia w ustach kęsa strawy.

— Ciężko ci się schodziło? — zapytał zdawkowo Blaize.

— O, nie — skłamała.

— Pięknie — pochwalił niedbale. — Czy jesteś zmęczona? — Ani trochę.

— Świetnie. A więc w drogę!

— Zaczekaj — rzekła nagle błagalnym tonem. — Czy nie można by — przecież myśmy jeszcze nic dziś nie jedli.

— Tu nie będziemy jedli. W tym upale i gnoju? Gdzie ty masz rozum? Gdybyś zaczęła gryźć marynowaną wołowinę, przesiedziałybyś tu do wieczora.

— Tak, ale dokąd idziemy? — pytała oszołomiona.

Dolina okrążała górę. Przez trzęsawisko płynął wolno niewielki strumyk. W tej stronie dolina miała w najwęższym miejscu około stu kroków szerokości. Wielki stożek wygasłego wulkanu wznosił się na podobieństwo kolosalnej ściany. Na pierwszy rzut oka wspinaczka po tak spadzistej powierzchni wydawała się niemożliwością. Masa splątanej, bujnej roślinności wcale nie osłabiała tego wrażenia. Krystyna patrzyła bezradnie.

— Którędy pójdziemy? — zapytała.

— Prosto pod górę.

— Prosto pod górę? Tam? Czyś ty zwariował? To przecież niemożliwe. Musimy iść doliną, póki nie natrafimy na dostępnejsze miejsce.

— Nie — rzekł tępo.

— Nie bądź taki uparty — powiedziała cierpko. — Tylko głupiec mógłby próbować wspinać się tędy. Ściana jak burta.

Blaize nie odpowiedział. Czy usłyszał? Patrzył na łażącego po pniu czerwonego żuka.

— Słuchaj, Blaize! To śmieszne, że się tak upierasz. I wreszcie, po co leżć tak wysoko? Nie rozumiem. Wybrzeże...

— Zostać na wybrzeżu byłoby samobójstwem.

Był niewzruszony. Gniewnie szarpnęła go za ramię, żeby na nią spojrzeć.

— Jakiś ty dziwny! Czy nie rozumiesz, że twój pomysł jest nedorzeczny?

— Dorzeczny czy nedorzeczny, musimy spróbować.

Wstał i ostrożnie wszedł w grząskie bagno. Strumień nie był głęboki, ale szeroki i dno obfitowało w zdradzieckie dziury. Blaize próbował nogą przed każdym stąpieniem. Krystyna, choć zła, patrząc za nim zachwycała się po kobiecemu jego szerokimi barami, siłą i swobodą. Odwrócił nagle głowę i zawołał:

— Tu trudno przejść. Jeżeli się pośpieszysz, to zaczekam.

— Nie potrzeba! — odkrzyknęła. — Dam sobie radę. Wzruszył ramionami i brnął dalej. Przeszedłszy na drugą stronę, oparł się o zębatą skałę, żeby odsapnąć przed wspinaczką. Krystyna strząsnęła włosy z oczu i zaczęła przechodzić przez szeroki, leniwy potok.

Ale przeprawa okazała się nadspodziewanie ciężka. Płaskie, omszone kamienie wymykały się spod stóp. Miejscami woda płynęła szybciej okrążając nogi małutkimi wirami. Zgrzana i zmordowana Krystyna szła cierpliwie naprzód. Nie chciała za ? nic pomocy Blaize'a. Co na niego spojrzała, ogarniała ją wściekłość. Stał oparty leniwie o skałę, całkiem obojętny na jej trudy. Wydostała się na drugi brzeg, zmoczona do nitki. Była blada ze zmęczenia i kolana się pod nią ugiwały. Mimo to nie powiedział jednego współczującego słowa.

Odpooczywała, on milczał. Upłynęło dziesięć minut. Blaize wyprostował się.

— Blaize, jeszcze nie...

— Już. Chodź.

Krystyna nie mogła iść. Wolałaby paść trupem na miejscu, niż w taki upał piąć się pod niebo po tej okropnej ścianie* porośniętej gęsto splątaną roślinnością.

— Nie — rzekła słabym głosem. — Nie mogę. Zaczekajmy. Blaize zawahał się, lecz strach przed Treherne'em zrobił swoje. Widział go oczyma wyobraźni, myszkującego zaciekle po całej wyspie za zbiegłą dziewczyną. Rozum kazał szukać bezpiecznego schronienia, serce współczuło jej cierpieniom. Gdyby

nie udawał, że mu jest właściwie wszystko jedno, czy Krystyna idzie za nim czy nie, nie byłby jej zaciągnął tak daleko. Gdyby teraz ustąpił...

— Wstawaj — rzekł szorstko. — Myślałem, żeś odważniejsza. Czego się boisz? Trochę stromo, prawda, ale co z tego?

Zdjął tobolek i wyjął z niego sznur długości kilku metrów. Zrobiwszy obszerną pętlę zarzucił jej niespodziewanie przez głowę i ramiona. Drugim końcem opasał się sam.

— Chodź.

Krystyna siedziała nieruchomo z zaciśniętymi ustami i rozognionymi oczami. Przygotowała się do oporu. Patrzyli na siebie wojowniczo — obdarci i bladzi, dwie żałosne postacie na tle bujnej zieleni.

— Niebezpiecznie zwlekać. Będę cię podciągał, jak się da. Czepiaj się wszelkich występów i nie zwisaj zanadto na sznurze. I ja jestem zmęczony.

Krystyna ani myślała wstać. Jak on śmie jej rozkazywać?

Blaize dał krok i sznur poderwał ją na nogi. Wbrew postanowieniu musiała za nim iść. Takiej sile nie mogła się oprzeć. Czowała się jak słoma na wietrze. Ciągnął ją prosto na stok.

Wspinaczka zajęła im dwie godziny z okładem. Blaize przedzierał się przodem z cierpliwością wołu. Przepychał się przez dzikie wino i pnącze, wymijał czepiające się kolące krzewy i drzewiaste paprocie, laźł po lianach.

Niebo i ziemia przestały istnieć dla niego i dla Krystyny. Nie pozostało im nic prócz wytrwania. Wdzierali się na tę górę bez końca. Przed ich umęczonymi oczami wirowały zielone obrazy. Pozdzierali skórę z rąk, ale nie pamiętając o bólu, czepiali czego się dało. Byli potłuczeni, obolali. Przystawali, żeby nabrać tchu i znów pięli się wzwyż.

Na trzech czwartych wysokości roślinność przerzedziła się i było już łatwiej iść. Odtąd Blaize nie pozwalał na przystanki. Musieli śpieszyć się do wierzchołka, do bezpiecznego schronienia. Krystyna coraz częściej się potykała, ale Blaize — sam nieugięty — stale podciągał linę. Serca łomotały im w piersiach. Żadne nie mogło mówić. Coraz wyżej i wyżej. Nagi, szary stożek był już blisko. Jeszcze pięćdziesiąt metrów, jeszcze dwadzieścia, jeszcze dziesięć. Po stronie osłoniętej od wiatru mały występ skalny. Blaize pokazał nań bez słowa.

Wyżej, wyżej...

Ostatni rozpaczliwy wysiłek i upadli na wąską płaszczyznę zamykając oczy. Górą zawiewał wiatr od północy, pędzący „Kulika” na Amanu.

CZĘŚĆ PIĘTNASTA

Rozdział pierwszy

Lambert uspokoił się i Treherne pozwolił mu wyjść na pokład. Nieszczęśnik objął się po statku z nieodłącznym palcem Puki. Gdyby nie oczy, wydawałby się normalny. Ale Treherne wiedział, co o tym sądzić. Odzywał się do niego łagodnie i pobłażał jego kaprysom.

— Gdzie Krystyna? — powtarzał w kółko Lambert, aż Treherne rzekł z rozdrażnieniem:

— Och, cicho bądź! Niedługo wróci!

Jednak gdzie ona jest? Gdzie się podziała? Tyle człowiekowi przychodzi ze słuchania kobiet. Dał sobie wmówić, że ma ją w rękę.

A niech się błąka! — zniecierpliwził się. Będzie czas zapolować na nią, jak wydobędzie szkatułkę. Niech się Krystyna przekona, jak smakuje wolność na niegościnnej Takunai. Założyłby się, że będzie zadowolona, gdy ją odnajdą. Kobieta sama na Takunai!

Kazał opuścić szalupę i przygotować się do nurkowania. Lambert spacerował po pokładzie i wpatrywał się szklanym wzrokiem w morze. Co on robi? — zastanawiał się Treherne. — Czy jeszcze będzie się bał? Czasami obłąd sprowadza dziwną zmianę. Bill Smiles, ten głupi zawadiaka, co to się bał węzów, gdy go w końcu wąż ukąsił, dostał pomieszania zmysłów i wszyscy myśleli, że umrze. Ale nie. Wyzdrowiał i do końca życia włóczył się po lasach i moczarach, szukając węża, który go ukąsił. Ciągłe musieli go szukać i sprowadzać do domu.

Lambert stał koło trapu. Treherne podszedł do niego i rzekł:

— Ten rekin, co pożarł Pukę, miał łykowaty kąsek. Lambert roześmiał się.

— Tak. O, tak. Z pewnością. Ten rekin. Tak.

— Mnie się zdaje, że on tam jeszcze jest — ciągnął przebiegle Treherne.

Lambert nie odpowiedział.

— Czybyś go poznał? — badał Treherne.

— O, tak. Poznałbym tego rekina, tego, co zjadł Pukę i tylko palec zostawił.

— Doprawdy! Zły rekin, co, zły? A gdybyś go tak spróbował złapać? Co, synku?

Bezmyślna twarz młodzieńca rozpromieniła się.

— Znaleźlibyśmy resztę Puki. Treherne przełknął nerwowo ślinę.

— Oczywiście. Przyprawilibyśmy palec i już. Lambert kiwnął głową.

— Dobrze. Znajdę go.

Zaczął się rozbierać i Treherne rzekł prędko:

— Zaczekaj. Popłyniemy szalupą na to miejsce, gdzie go widziałeś.

Lambert znów wesoło skinął głową, a Treherne pomyślał: Z tym bzikiem jest nawet sympatyczniejszy.

Poszedł do ładowni po linę, Lambert zaś usiadł pod głównym masztem i zapatrzył się w przestrzeń.

Treherne zabrał z sobą do ładowni Manuę. Zamierzał wziąć zaraz bosaki do odciążenia szczątków, przykrywających zagrzebane w mule rzeczy koło dziobu „Konstantyna”. Był podniecony, że znów stoczy walkę z zazdrosnym morzem. Czekał niecierpliwie, podczas gdy Manua zjechał po linie do ciemnej ładowni. Podniósł oczy i... zobaczył Lamberta.

Młodzieniec szedł ku niemu z wyciągniętymi rękami. Czego ten głupiec chce? I jak mu dziwnie oczy świecą! Coś w nim jest dziwnego...

— Chryste! — powiedział Treherne i przycisnął usta dłonią. Nie, nie ma nikogo. Lambert...

Tłumiąc trwogę pobiegł tam, gdzie go zostawił. Lambert siedział oparty plecami o główny maszt. Przy nim siedział Kanak.

— Keluti! — zawołał Treherne. Kanak zerwał się.

— Tereherini?

— Czy Lambert siedział tutaj przez cały czas?

— Siedzieć wszystka czas.

— Odchodził stąd?

— Nie, Tereherini — zaprzeczył zdumiony Keluti. — Tereherini odejść, ona Lamibeti siedzieć. Nie iść.

Zatem Lambert nie ruszył się z miejsca. Treherne poczuł, że oblewa go pot. O, niech to będzie złudzenie wzrokowe! Niech to będzie halucynacja, skutek rozstroju nerwowego! Niech to będzie wszystko, byle nie ta największa okropność na ziemi — zjawa żyjącego człowieka.

To oznacza śmierć — rzekł w duchu Treherne. — Czy dla niego? Bardzo prawdopodobne. Może dla mnie...

Zszedł na dół i napił się mocnej wódki. Lepiej mu się zrobiło, ale nie mógł się otrząsnąć ze strachu. Wyszedł znów na pokład i patrzył, jak Lambert z Kanakami ładują się z zapalem do szalupy. Wszedł za nimi. Serce dziwnie w nim drętwiało. Nie mógł wprost patrzeć na Lamberta.

Spędził ranek w szalupie nad wrakiem. Był zgrzany, wyczerpany, bezsilny. Obserwował nurkujące brązowe ciała. Było moc roboty, ale powoli rozgrzebywano bosakami stos szczątków. Lambert również nurkował. Odeszła

go wszelka trwoga. Był nieustraszony. Dziwnie było patrzeć, jak wesoło rzuca się w morze, którego przy zdrowych zmysłach bał się tak okropnie.

Pracowali ciężko całe rano. Manua i Keluti trzymali się dobrze. Innym krew ciekła z nosów i tracili od kaszlu siły. Stopniowo usunęli stos szczątków. Spod niego ukazała się duża, kwadratowa skrzynka. W niej musiał się mieścić skarb, bo inne skrzynki na pewno już zbutwiały.

Ale teraz Treherne nie mógł się dogadać z Lambertem. Chłopak słuchał i odpowiadał z głupim chichotem. Na próżno Treherne powtarzał słowa powoli, z naciskiem tłumacząc, że chodzi mu o tę skrzynkę. Lambert kiwał bezmyślnie głową. Treherne podnosił z rozpaczą ręce.

— Ach, durniu, durniu! Czy nie rozumiesz, co ci mówię? Chcę tamtą skrzynkę, skrzynkę.

— Ja szukam tego rekina, co złapał Pukę — odpowiadał Lambert. — Nie wiem o żadnej skrzynce. Rekina nie było pod szczątkami. Wszystko przewróciłem. Tylko skrzynka tam jest...

— Właśnie. O to chodzi. Trzeba ją wyciągnąć. Precz, głupcze! Hej! Keluti!

— Tereherini?

Wreszcie zrozumieli, o co mu chodzi. Pocąc się, biadoląc i wyteżając resztki sił na pół żywi Kanakowie zdołali zaczepić bosakami skrzynkę. Słońce stało na połowie drogi między południem i zachodem. Żar był straszliwy. Rozpalone niebo, rozmigotane morze i straszliwy trud bez końca. Treherne'owi kręciło się w głowie. Wciąż i wciąż posyłał Kanaków, żeby podważyli ciężką, wyłożoną ołowiem skrzynię z upragnionym skarbem. W końcu zaczęli szemrać.

— Nie wydzwigniemy jej — powiedział głośno Treherne. — Liny popękają i krzyże nam potrzaskają.

A może sprowadzić „San Juana” i użyć kabestanu? Jedyne wyjście. Ale te rafy są niebezpieczne, tu rozbił się „Konstantyn”.

— Do góry, do góry! — przynaglał Kanaków i pomagał dwóm, którzy ciągnęli liny.

Nurkowie znów poszli na dno. Bez skutku. Byli wyczerpani do ostateczności. Keluti, przechylony przez belkę, kasłał i krztusił się. Widać było, że już niedługo wytrzyma.

— Tereherini, Lamibeti nurkować mnóstwo dobrze jak Kanaka. Może Lamibeti ona dno ruszyć ona pudło.

— Na nic — rzekł ponuro Treherne patrząc na obojętne na żar białe ciało, rozciągnięte na dziobie szalupy.

— Móc powiedzieć Lamibeti ona rekina ona być w skrzynka? — podsunął Keluti.

Treherne uchwycił się chytrej rady.

— Lambert! . — Co?

— Ten rekin, co pożarł Pukę, jest tutaj. Chodź, zobacz. Wepchnął w wodę skrzynkę ze szklanym dnem i udał, że przygląda się ruchom rekina.

— Hej, Lambert! Prędko, to go złapiesz. Schował się do skrzynki. Bacność! Złapiesz go!

W Lamberta jakby piorun strzelił. Wyskoczył na krawędź szalupy i rzucił się w morze. Na znak Treherne'a Manua skoczył za nim. Białe ciało wyprzedzało brązowe i sunęło do dna jak strzała. Treherne znów zdumiał się sile Lamberta. Cóż za wybryk natury, że ten chłopak jest lepszym nurkiem od doświadczonych Kanaków!

— Na Boga! Podważył!

Na dnie zręczne ręce poruszyły skrzynkę, która zakołysała się. Treherne chwycił za główną linę. Ciągnął z dwoma Kanakami. Skrzynia szła w górę...

Żeby tylko lina nie pękła!

Treherne wrzasnął. Nurkowie znów buchnęli w wodę, żeby podtrzymać wolno wznoszący się ciężar. Morze zmąciło się naokoło. Lambert wystrzelił na powierzchnię, zadyszany i rozpromieniony. Przytrzymując się machnął triumfalnie ręką. Skrzynka szła w górę na haku i linach. Ukazała się na wodzie. Drewno od wierzchu spróchniało, część nawet odpadła i wyglądał róg ołowianej skrzynki. Treherne konał ze strachu, żeby hak nie puścił. Z drzewa zwisały wodorosty. Koło jednego rogu przylegała do drewna kolonia fioletowych mięczaków, pospolitych w sąsiedztwie Takunai.

— Do góry, do góry! — wrzeszczeli Kanakowie. Treherne zdobył się na ostateczny wysiłek. Skrzynka runęła z trzaskiem na dno szalupy i triumfalna duma rozparła jego serce. Postawił na swoim. Wydarł zazdrosnej głębi morskiej skarb „Konstantyna”. Zacisnął chciwie ręce na kolących kantach skrzynki...

— Gdzie rekin?

Lambert wdrapał się do szalupy i spoglądał głupio na wydobyty ciężar. Woda, ociekająca z jego ciała, rozlewała się u nóg w małą kałużę.

Treherne'a porwał gniew. Ten głupiec, ten obłąkany głupiec! Co z nim zrobić? Ciągnąć wszędzie z sobą — bezużytecznego półgłówka? Wiecznie mieć w uszach ten bezbarwny głos, na każdym kroku spotykać się z wielkimi, bezmyślnymi oczami?

— Precz! — rzekł z pasją. — Ten kanalia rekin jeszcze jest w wodzie.

Lambert wzdrygnął się lekko, odwrócił i znów plusnął w morze. Treherne patrzył za nim gniewnie. Raptem z jego ust wydarł się okrzyk trwogi. Szara płetwa przecięła wodę. Płynie ... płynie...

Lambert wyprysnął na powierzchnię, ale nie wrócił do szalupy, żeby odetchnąć, tylko położył się na wodzie na wznak i poruszał piętami. Treherne omdlewał z przerażenia, mimo to nie ostrzegł go. Coś go powstrzymywało. Rekin jeszcze daleko ...

Upłynęła chwila długa jak wiek. Manua wrzasnął, pozostali Kanakowie zawtórowali. Zobaczyli płetwę i w popłochu rzucili się do szalupy i katamaranu. Zbici w kupę, podnieśli straszny alarm:

— Lamibeti! Ona rekina! Ona rekina!

Ale już było za późno. Gdyby Treherne ostrzegł Lamberta pięćdziesiąt sekund wcześniej, może by go jeszcze uratował. Obląkany młodzieniec odwrócił głowę i spojrzał leniwie w kierunku trwożnie wskazujących rąk.

Szara płetwa mignęła bliżej. Treherne dostrzegł przelotnie gładki, biały brzuch olbrzymiej ryby i zrobiło mu się niedobrze. Lambert również to zobaczył. Wstrząs przywrócił mu zmysły. Godziny, które przeszły od śmierci Puki, zapadły w nicość. Znow poczuł się sobą, słabym, tchórzliwym człowiekiem, śmiertelnie bojącym się morza i rekinów.

Jał płynąć co sił ku szalupie. Jego męczeńskie oczy spotkały się z kamiennym wzrokiem Treherne'a. Prędko, prędko! Jeszcze jedno uderzenie, jeszcze jedno, jeszcze czas...

Ale już było za późno. Poczul pod sobą zimne, twarde ciało rekina. Wrzasnął i krzyk zamarł mu w gardle. Potwór przyparł do niego. Nieszczęśnik uderzył w chłodną łuskę drżącymi pięściami. Wielka paszcza otworzyła się... zamknęła... znów rozwarła...

I zamknęła!

Blaize postradał koszulę. Zostawiał ją po kawałku na kolczastych krzewach podczas okropnej wspinaczki. Krystyna, wdrapując się za nim, gdzie mogła, zbierała strzępy i chowała do kieszeni, żeby nie zostawiać śladów. Jej odzież była w niewiele lepszym stanie. Powyrywane kawałki nie dały się przygładzić. Wiatr na górze wysmagał jej policzki. Włosy miała stargane. Odsuwając je niecierpliwą dłonią z szaroniebieskich oczu, uśmiechnęła się do Blaize'a.

— Para strazydeł!

— Racja. Ale nie wychodź spomiędzy drzew, Krystyno. Treherne mógłby nas zobaczyć przez lornetę.

Otwierał puszkę marynowanej wołowiny. Miał twarz znękaną, wychudłą i sińce pod oczami.

— Chodź, zjedz swoją część. Poszukamy drzewa chlebowego. Lubisz na surowo? No, mniejsza z tym. Żebyśmy tylko znaleźli.

Krystyna podeszła i usiadła obok niego. Była potwornie głodna. Jedli z szalonym apetytem i gryźli wolno, starannie, żeby przedłużyć posiłek. Oboje poczuli się dziwnie nieswojo, zakłopotani. Spoglądali na siebie ukradkowo. Siedzieli w kępie palm blisko szczytu góry, po stronie niewidocznej dla „San Juana”. Gdy zjedli skąpy posiłek, odpoczęli i obejrzelili swoje rany. Do zachodu było niedaleko. Krystyna wstrząsnęła się.

— W nocy będzie tu zimno — rzekła, żeby przerwać uciążliwe milczenie. — Przydałby się ogień.

— Musimy się obejść bez ognia.

— Dlaczego? Można by rozpaść trochę niżej.

— Nie. Nie będę ryzykował. Treherne by zauważył. Jak tylko słońce zajdzie, będzie wypatrywał ognia.

Krystyna zacięła z uporem wargi.

— Musimy mieć ogień.

— Nie ma mowy.

— Słuchaj, Blaize, czy nie możemy otworzyć ust bez kłótni? Pewnie wypadnie nam tu siedzieć wiele dni. Czy przez cały czas mamy warczeć na siebie?

— Zwykle ty zaczynasz — odpowiedział. Krystyna zaperzyła się.

— Tak? Moja wina? Dobrze sobie!

I rozpuściła języczek. Blaize wytrzymał chwilę i wreszcie rzekł:

— Spokojnie! Nie pozwolę sobie wymyślać. Miotasz się, bo nie chcę rozpaść ognia. Zobaczmy, czy wytrzymamy przez noc. Nie będzie tak zimno, jak ci się zdaje.

— Pleciesz! Dlaczego...

— Milcz! — ryknął. — Bo zbiję cię na kwaśne jabłko!

Ten nagły wybuch gniewu przeraził Krystynę. Blaize rozejrzał się za linką, podniósł ją i zaczął składać na długość bata.

— Więc to nie żarty? — zapytała z niedowierzaniem. — Naprawdę byś to zrobił?

— A pewnie! — rzekł ostro. — Żeby tylko pomogło na kaprysy!

— Minałeś się z powołaniem — oznajmiła lodowatym głosem. — Powinieneś być szejkiem. Tylko ci brak czarnej, kędzierzawej brody. Miałbyś wielkie powodzenie w haremie.

— Ciebie by się przydało zamknąć w haremie — odpalił. — Posiedziałybyś parę tygodni, tobyś się oduczyła fochów.

— Dobrze — powiedziała z rezygnacją. — Mam być twoją niewolnicą, zgoda. Czy mam ukłęknać? Czy mój pan i władca chce mi wydać jakiś rozkaz?

Blaize poczerwieniał.

— Cicho bądź — rzekł odwracając się do niej plecami.

— Nie sil się na godność bez koszuli — rzuciła. — Ale, ale, mam umrzeć z pragnienia, czy wolno mi iść poszukać wody? Ciebie bym się nie ośmieliła fatygować.

Wstał bez słowa, wziął puszkę po wołowinie i zszedł na dół. Wcześniej odkrył na północnej stronie wśród drzew mały strumień. Odnalazł go bez trudności. Napiwszy się do syta, przyniósł wody Krystynie.

Była poruszona.

— Szalupa wraca. Wyciągali coś z morza i coś się stało. Zrobił się popłoch, ale nie mogłam dobrze zobaczyć.

Patrzyła na niego z niepokojem w oczach. Nie odpowiadając podał jej wodę. Wypiła i rzekła:

— Chodź, zobacz. Zdaje mi się, że Treherne wydobył skarb. Blaize poczołgał się ostrożnie naokoło krateru. Szalupa już prawie dobijała do brzegu. Katamaran płynął tuż za nią. Kanakowie wywindowali na pokład coś ciężkiego. Białe ubranie Treherne'a odbijało się ostro od ciemnych, brązowych ciał załogi. Odległość była tak wielka, że wydawali się mikroskopijnie mali, mimo to widać ich było w czystym powietrzu nadzwyczaj wyraźnie. Blaize zaczekał, póki wszyscy nie weszli na pokład, po czym wrócił do Krystyny.

— Czy zauważyłaś Lamberta?

— Nie. Nie było go.

— Może go nie zabrali.

Słońce zachodziło na ognistym niebie. Od północy stały na widnokręgu trzy bure chmurki. Najlżejszy powiew wiatru nie poruszał ciężkich liści palmowych. Cisza była nienaturalna. Papużki i gołębie milczały. Blaize patrzył na obłoki, które rosły w oczach.

— Idzie burza — rzekła Krystyna. Skinął głową.

— Straszna burza. Rozpęta się nad ranem. Krystyna zadrżała.

— Jestem śmiertelnie znużona. Jak będzie z noclegiem?

— Treherne nie będzie marudził — rzekł Blaize nie odpowiadając na pytanie.

— Nim słońce wzejdzie, wypuści się za tobą.

— Możliwe... Weź derkę. Ja sobie rozłożę żakiet. Jeszcze coś z niego zostało.

— Na co mi derka? Mam twardą skórę.

Spojrzał na swoją szeroką, nagą pierś. Koło prawego obojczyka widniała blizna. Trzy centymetry nad sercem znać było słaby ślad po kuli. Krystyna spojrzała ciekawie.

— Skąd te trofea?

— Kula z Frisco. Niewiele brakowało, żebym został na miejscu. Przemycaliśmy z Carrolllem whisky. Odbiorca nie chciał zapłacić żądanej ceny. Chciał oszukać, hultaj. Nazywał się Mc Clusky z przydomkiem Ognisty. Wielkie było chłopsko, z rudym łbem i dwiema brodawkami na brodzie. Zrobiła się awantura ... Strzelał jak piorun, ale ja jeszcze szybciej. Kiedy Carroll w trzy dni potem odwiedził go w szpitalu, miał się tak, jak się można było spodziewać.

Uśmiechnął się na to wspomnienie.

— A ta szrama koło ramienia? Dostałeś nożem?

— Tak.

— Opowiedz, jak to było.

— Nie ma nic do opowiadania.

— To znaczy — powiedziała Krystyna — że poszło o kobietę. Zmarszczył brwi.

— W awanturach przeważnie chodzi o kobiety. Trzy czwarte złego na świecie dzieje się przez kobiety.

— Co to była za jedna?

— Jak my to możemy znosić, nie wiem. Jedyne wytłumaczenie, że jesteśmy głupi.

— Co to była za jedna — ta kobieta?

Blaize chwilę milczał. Jego poważne czarne oczy wpatrywały się w złowieszcze chmury na północy.

— Byłem głupi. Wydawało mi się, że ją kocham. Ale to nie była miłość. To była Francuzka z Degas, Julie. Miała skórę koloru jasnego złota. Podobno matka miała krew kanacką. Nie wiem. Wszystko możliwe. Spoglądała czarnymi oczami, uśmiechała się, by potem odepchnąć. Kto ją zobaczył, tracił głowę. Ja też zgłupiałem.

— Czy ty... czy ona?...

— Na Boga! nie ma tytoniu. Niech to diabli!... Tak, spała ze mną, jeżeli o to pytasz. Nazajutrz niejaki Olsen, Szwed, nazwał ją w szynku wulgarnie. Rzuciłem się na niego.

— I co?

— I nic. Wbił mi nóż. Ja mu też wiele złego nie zrobiłem. W życiu nie spotkałem takiego wielkoluda. Wyglądał jak obrośnięty wół. Pamiętam go dokładnie. Miał niebieskie oczy i kocie uszy — płaskie i cofnięte w tył.

— Co powiedziała ta Julie?

— Cieszyła się. Która kobieta się nie cieszy, gdy się o nią biją?

— Czy potem okazywała ci więcej względów?

— Skądże! Ze zranionym ramieniem nie byłem dla niej interesujący. O mało się nie wściekłem, gdy zobaczyłem, że Olsen na nią zerka, a ona na niego. Z rozkoszą byłbym zakatrupił oboje. Ale w miesiąc o niej zapomniałem.

— Czy każdą zapominasz w miesiąc? — zapytała twardo Krystyna.

— O, nawet prędzej. Czy nie rozumiesz, Krystyno, że tylko o tej się myśli, którą się kocha?

— To znaczy, że nie kochałeś? Schenck mówił, że wie o tobie to i owo.

— Tak? Jeżeli miał na myśli moje przygody z dziewczętami, to nie skłamał. Dużo się w swoim czasie awanturowałem. Na Boga, Krystyno, cóż byś chciała? Jestem silny, zdrowy chłop. Rozumie się, miałem kobiety, tak samo jak Carroll, jak Allen, jak Haggerty i inni. Ale nigdy żadnej nie skrzywdziłem. Te, co miałem... no... to były...

— Rozumiem.

— Dziękuję — rzekł sucho.

— Więc nigdy nie kochałeś?

— Owszem. Kochałem dwie kobiety. Jedna była — ale mniejsza z tym. Miałem wtedy osiemnaście lat. Była znacznie starsza ode mnie — mężatka — moja pierwsza miłość. Piękna, dobra, drugiej takiej nie znałem. Uwielbiałem ją. Pamiętam ją tak wyraźnie, jakbyśmy się rozstali przed tygodniem, choć to już siedemnaście lat temu. Jej włosy, oczy, cerę...

Nie dokończył. Krystynę ukłuła zazdrość, aż sama się zdumiała.

— A ta druga? Zawahał się.

— Hm! Nieszczęście kochać bez wzajemności. Życie zamienia się w piekło. Taka tęsknota w sercu, to jakbyś, człowieku, żył w niewoli.

— I od tego czasu nie kochałeś? — nalegała Krystyna. Blaize wstał. Jego wyniosła postać górowała nad nią na tle szybko ciemniejącego nieba.

— Kładźmy się lepiej — rzekł krótko. — Chodź, urządzimy legowisko, póki jeszcze jako tako widno.

Wziął zmiętą derkę i rozpostarł starannie na ziemi. Krystyna śledziła jego ruchy z dziwnym uczuciem w sercu. Przestała mieć do niego urazę o obojętność. Jego cierpliwa krzątanina obudziła w niej dziwną tkliwość. Te kobiety! Czy naprawdę żadnej nie kochał?

Wyprostował się i obejrzał na nią.

— Połóż się. Przykryję cię połową derki.

— A ty jak będziesz spał?

— Ja dam sobie radę. Będę trochę chodził.

— Nie bądź głupi — powiedziała z uporem. — Na tej wysokości teraz już jest zimno. Nie masz kurtki, nie masz koszuli. Nie pora na grymasy. Jeżeli się położymy obok siebie na środku derki, starczy z brzegów przykrycia dla obojga.

— Nie.

— No, to ja się nie położę.

— Zrobisz, co każę.

— Akurat!

Blaize stał niezdecydowany. Czy podejść do niej i zmusić, żeby się położyła? Wziąć na ręce, zanieść na derkę i owinąć przemocą? Dał krok i stanął. Gdyby jej dotknął, gdyby ją wziął w ramiona, czy zdołałby nad sobą zapanować?

Krystyna stała wsparta pod boki, czujna, drwiąca, wyzywająca. Blaize poczuł krople potu koło ust. Nie wiedział, co powiedzieć.

— Położę się na mojej połowie derki — mówiła Krystyna. — Całej nie zajmę, choćby nie wiem co. Drugą połowę zostawię tobie. Położysz się, dobrze. Nie moja sprawa, głupi człowieku.

Schyliła się, zmierzyła derkę rozpostartymi ramionami i na połowie uszykowała sobie rozpaczliwie niewygodne legowisko. Blaize odszedł. Przechadzał się tam i na powrót obserwując światła „San Juana” i dalekie ogniska na wybrzeżu. Kiedy zaczniesz się polowanie? Jutro?

Blisko godzinę tak spacerował, aż w końcu zaczął się zataczać. Całodniowe zmęczenie robiło swoje. Przy tym zziął do szpiku kości. Na Pacyfiku noce są zimne, zwłaszcza na wyżynach.

Zawrócił do legowiska. Świeciły nieliczne gwiazdy. Księżycy nie było. Niebo zalegał ciemny całun, grożący deszczem. Blaize'owi nie podobała się ta bezwietrzna, głucha noc. Niepodobna było przewidzieć, co się stanie do rana.

Wymacał ostrożnie derkę i położył się. Miło było poczuć szorstki materiał pod obolałymi plecami. Naciągnął na siebie skraj derki.

Pół godziny leżał bez ruchu. Przydałoby się ognisko. Ale nie chciał ryzykować. Krystyna spała niespokojnie, przewracając się z boku na bok. Spostrzegł, że się odkryła. Uniósł się więc na łokciu i naciągnął na nią jej kawałek derki. Przypadkiem musnąwszy jej rękę, przestraszył się: palce miała jak lód.

Krystyna poruszyła się i instynktownie, przez sen przysunęła się do niego. Na to zetknięcie serce w nim zamarło i wraz zatłukło jak szalone. Czemu nie?

Ale pokusa trwała jedną chwilę. Wezbrała w nim czułość dla uśpionej, bezbronnej dziewczyny. Wziął ją delikatnie w ramiona tak, jak się bierze senne dziecko. Westchnęła i przylgnęła do niego. Przycisnął ukochaną do siebie tak blisko, że słyszał w ciszy nocnej bicie jej serca. A może mu się tylko zdawało.

CZĘŚĆ SZESNASTA

Rozdział pierwszy

„Kulik” okrzyknął „Szczęśliwą Fanny”, „Miss Jane”, trampa Degaskiej Linii Żeglugowej i starego korsarza, noszącego miano „Utop się, Mojżeszu”. Ale żaden z tych statków nie widział „San Juana” i nie słyszał nic o jego losach. Nawet szyper żaglowca „Utop się, Mojżeszu”, gdy Carroll bardzo nalegał, wpadł w krasomówczy zapał:

— Namyślić się, powiadasz? — ryknął. — Ja bym nie poznał tego kloca Treherne'a? Chciałbym się z nim spotkać, do stu tysięcy piorunów! Ostatni raz na Waihiti orznął mnie w pokera do czysta, pieski syn! Kilku ich było, hultajów. Parszywy oszust! Czy go widziałem? Chętnie bym zobaczył. To ci powiem...

Czerwona twarz szypra z rozwianymi siwymi wąsiskami malała w oddali. Reszta słów zginęła w szumie wiatru, gdyż odległość między statkami rosła. Haggerty potarł się frasobliwie po brodzie.

— Zdaje się, że go jednak nie widział — rzekł. — Carroll, możemy się omylili? „Kulik” leci jak na skrzydłach. Gdyby Treherne nas wyprzedził, tobyśmy go wypatrzyli. A tamci — wszyscy prosto z Amanu ani nie widzieli „San Juana”, ani nie słyszeli o nim.

Carroll słuchał zachmurzony. Wiatr nastroszył mu włosy, więc je nakrył czapką.

— Kanakowie uważają, że gonimy wiatr. Diabły — więcej wiedzą, niż my. Oni dziwnie przeczuwają... Pamiętasz, jak przez pewien czas parowiec nieregularnie przychodził do Amanu? To co dwa tygodnie, to co trzy. Ale Kanakowie zawsze wiedzieli. Jestem raz na wybrzeżu, statku ani śladu. Boy, który mi przyniósł trunek, zaczął ni z tego, ni z owego pociągać nosem jak pies, który coś wietrzy. „Co takiego?” — pytam. A on zatrzęsł się i mówi: „Ona parawa (parowiec) przyjsć prędko niedługo.” I, co powiecie, przyszedł o zachodzie słońca. Jak ten Kanak wiedział, bo przecież nie zobaczył. Jake, kupiec, mówi, że zawsze pyta swoich Kanaków, kiedy ma się spodziewać powrotu parowca.

Haggerty skinął głową.

— Teraz mówią, że Treherne jest za nami, nie przed nami. Rozumie się, nie biorę do serca ich gadania. Jednakowoż okrzyknęliśmy cztery statki i żaden nie wiedział nic o „San Juanie”. A jeżeli Treherne jeszcze jest na wyspie?

— On i Blaize, i Krystyna...

— Z drugiej strony mógł tak kołować, że nie spotkał „Szczęśliwej Fanny” i tamtych statków.

— Ano, mógł. Mógł zatoczyć łuk na północ.

— Chytry jak wszyscy diabli. Gdybyśmy zawrócili i gdyby się okazało, że on jednak pożeglował na Amanu, wyszlibyśmy na głupców.

— Tak, ale jeżeli...

— Może. Ale nie jest wykluczone...

Rozdział drugi

Blaize'a obudził deszcz. Grube krople padały na derkę. Noc była ciemna, do świtu daleko. Niebo czarne, gwiazd ani śladu.

— Krystyna!

Nie chciała się obudzić. Dopiero gdy ją objął i posadził, ocknęła się z wysiłkiem.

— Co się stało? Czy on...

— Nie, nie Treherne. Idzie burza. Musimy się gdzieś schronić. Krystyna, już zupełnie otrzeźwiona, podniosła się i stanęła chwiejnie na pochyłości.

— Gdzie jesteś? Co teraz zrobimy?

Blaize myślał szybko. Czy schować się pod występ skalny, który chronił ich przed słońcem? Czy może rozsądniej będzie zostać między drzewami? Postanowił spróbować skalnej kryjówki. Ostrożnie po omacku złożył derkę, włożył w środek linę, zapasy i zawinał. Potem poszukał wyciągniętą ręką Krystyny i ujął ją za ramię.

— Tędy w górę. Pod występ skalny. Pamiętasz?

Razem wdrapali się po zboczu. W ciemnościach trudno było się orientować. Wielkie krople leciały z nieba. Blaize parł pod górę na prawo. Po dwudziestu minutach znalazł to, czego szukał. Przykucnęli pod półką skalną i wepchnęli derkę między siebie.

Noc stawała się groźna. Rozpętała się ulewa. O śnie nie mogło być mowy.

— Podła dziura — sarknął Blaize. — Wygodnie ci, Krystyno? Usiądź pod ścianą i podciągnij nogi. Ciasno, ale cóż robić?

Skuleni niewygodnie, w milczeniu znosili udrękę. Oboje byli przemoczeni i znużeni. Na domiar złego nie mogli nic zobaczyć.

— Która też może być godzina?

— Pewnie niedaleko do rana. Gdzie tu jest wschód?

Przez szczelinę w skale przeciekały strużki wody i spływały koło nóg Krystyny. Podskoczyła przerażona.

— Tu robi się mokro. Wsadź rękę! Deszcz zacina z tyłu. Blaize przechylił się nad nią i namacał przemiękły grunt i płynącą strugę. Jeżeliby woda zaczęła walić tędy na dobre, musieliby szukać schronienia gdzie indziej. Gdzie słońce, do pioruna? Czy te piekielne ciemności nigdy nie ustąpią?

— Dzięki Bogu, że nie ma wiatru — rzekł.

Krystyna rozcierała ręce dla rozgrzewki. Ale nic to nie pomogło. Zziębła do szpiku kości i wzmagająca się wilgoć jeszcze ten stan pogarszała. Blaize, słysząc jak wzdycha, rzekł prędko:

— Nie bój się. Niedługo się rozwidni.

— Nie boję się — zaprzeczyła pośpiesznie, lecz głos jej drżał. Żeby ją wyrwać z przygnębienia, zaczął pogawędkę. Zastanawiał się, co zrobią, gdy woda wymyje ich spod skały. Mówił wolno, spokojnie, jakby noc nie niosła z sobą żadnej grozy. O świcie może będą mogli poznać, czy deszcz przejdzie w burzę, czy po prostu skończy się na ulewie. Żeby tylko wiatr się nie wzmógł.

Ale wiatr dał o sobie znać o pierwszym brzasku. Początkowo była to tylko leciutka bryza. Nim zrobiło się tak jasno, że mogli widzieć swoje twarze, już dęło potężnie. Blaize spoglądał po niebie pomiędzy skulonych ramion. Widział, że jest źle.

— Zjemy coś i poszukamy innego schronienia — rzekł i sięgnął ścierpniętą ręką po wieprzowinę i fasolę. Mimo niewygodnej pozycji jedli z wielkim apetytem. Wzdłuż wybrzeża leżała szara mgła. „San Juan” był niewidoczny. Blaize wstał i poszedł się rozejrzeć.

Muszą zejść w dolinę, a przynajmniej trochę niżej. Szaleństwem byłoby tkwić w małej jamie, zalanej wodą. Oboje byli już przemoczeni do suchej nitki. Czy Treherne wyprawi się za Krystyną przy takiej pogodzie? Raczej nie. Jakkolwiek bądź muszą ryzykować. Zgarniał machinalnie wodę z piersi. Jak się to skończy? — myślał z ciężkim sercem.

Krystyna podeszła i spojrzała nad jego ramieniem na moką zieloną dolinę.

— Będziemy musieli zejść.

— Tak. Trudno przypuścić, żeby Treherne chciał się wyprawić na taki deszcz.

— Jeżeli się nawet wyprawi, to daleko nie zajdzie. Ale nie dziwiłabym się, gdyby wyruszył.

— Masz słuszność. Przy takiej pogodzie może liczyć, że cię zaskoczy. Zbierz zapasy i wsuń w derkę. Zejdziemy po wschodnim stoku.

Krystyna zaczęła posłusznie zbierać rzeczy. Blaize stał i patrzył w niebo. Nagle krzyknął: „Śpiesz się! Piorunem!” Krystyna z przestrawieniem zarzuciła tobolek na ramię. Chwycił ją za rękę i puścili się pędem w dół.

Ale już było za późno. Burza wybuchała tak nagle, jak się to dzieje na Oceanie Spokojnym. W jednej chwili niebo sypnęło gradem. Zawrócili pod skałę, żeby czym prędzej skryć się przed dotkliwą nawałnicą. O zupełnym zabezpieczeniu się przed tą straszliwą chłostą nie mogli marzyć. Blaize wytrząsnął z derki puszkę i owinął się. Grad kaleczył jego nagie plecy i krew lała się strumieniem.

— Zakryj oczy — rzekł do Krystyny. Pamiętasz Sharkeya Jacksona, któremu grad wybił oczy na wyspie Rapuhi?

Nagle odwrócił głowę i nasłuchiwał. Nad palbę gradową wybijał się przeraźliwie złowieszczy, jękliwy poszum. Blaize'owi krew odpłynęła z twarzy.

Zerwał z siebie derkę i z gorączkowym pośpiechem owinał Krystynę. Rzuciła pełne trwogi pytanie, ale nie usłyszała.

Wicher!

Runął od północy nieodparty, groźny. W nie osłonięty wierzchołek uderzył z całej mocy, pędząc przed sobą grad. Blaize wiedział, że gdyby tu zostali z Krystyną, to w dziesięć minut byłoby po nich. Pozostawał tylko jeden ratunek. Mimo gradu uciec na zbocze, gdzie drzewa mogły ich choć trochę osłonić.

Przez chwilę przygotowywał się do wypadu. Czuł, że niedługo utrzyma się na nogach, a cóż dopiero Krystyna. Wyprostował się, opanował strach, ból i niewiarę w skuteczność zamierzonej próby, porwał z ziemi owiniętą w derkę dziewczynę i ruszył na ścianę gradu z pochyloną głową.

Pierwsze drzewa rosły o kilkadziesiąt kroków. Nim przebył połowę tej odległości dwa razy ziemia usunęła mu się spod nóg. Ale Krystyny nie puścił. Dźwigał się na kolana i parł naprzód. Całe ciało piekło go i bolało. Rozkołysane drzewa, gdy tylko na nie spojrział, wydawały się dalsze. Spostrzegł, że Krystyna ma mokrą twarz i zaciągnął derkę do czubka głowy, żeby zabezpieczyć oczy przed gradem.

Znów upadł — tym razem jak długi. Lodowate ziarna gradu tłukły boleśnie po nagim ciele. Zdrętwiałe od zimna ręce nie mogły utrzymać ciężaru.

— Krystyno, trzymaj się mnie, trzymaj!

Wysunęła szybko ręce spod derki i chwyciła go za szyję mocno przyciskając twarz do jego ramion. Jakoś wstali i znów porwał ją na ręce. Szczepieni kurczowo, jak tonący, wpadli wreszcie między drzewa. Blaize postawił dziewczynę na ziemi. Z trudem oderwała ręce od jego szyi.

— Na dół — rzekł. Ruszyli ku zaroślom.

Nogi ślizgały się po zboczu. W górze grad siekł po liściach i pniach wśród piekielnego łoskotu. Wiatr nie dał tu już z taką siłą. Blaize zatrzymał się pod dwiema palmami rosnącymi jedna przy drugiej. Obojgu brakowało tchu. Popatrzyli nawzajem na siebie. Przez godzinę kulili się pod osłoną potężnych drzew. Grad przeszedł w ulewę. Wiatr nie ustawał. Szalał wśród koron i przewracał z trzaskiem młode palmy.

Blaize i Krystyna milczeli. Skuleni razem na ziemi, otepiali, prawie nie odczuwali bólu. Drżąc oglądali bezsilnie swoje rany.

— Zejdźmy jeszcze niżej — rzekł po jakimś czasie Blaize. Jesteśmy za wysoko. Tam na prawo, gdzie te kępy drzew.

Krystyna usiadła i powiodła niepewnym spojrzeniem we wskazanym kierunku.

— Dobrze. Czy mamy jakąś żywność?

— Jedną puszkę wieprzowiny z fasolą. Zdażyłem schować do kieszeni.

— To wszystko? — przeraziła się. — Czy nie warto by wrócić?

— Po co? Wicher zmiótl, nie wiadomo dokąd.

Krystynie usta zadrżały, a Blaize pomyślał: „Niech raz zacznie, będzie źle”.

Więc rzekł szorstko:

— Na Boga, nie zaczynaj lamentów. Nie dosyć tego, co jest, żebyś jeszcze miała płakać? Wstawaj i bierz derkę!

Dźwignął się sztywno. O mało nie krzyknął, tak bolały przemoczone, ścierpnięte nogi. Poderwał Krystynę z ziemi i zaczęli schodzić wolno, zygzakiem. Deszcz lał w najlepsze. Mokre drzewa przestały przed nim chronić. Po liściach palm ściekały nierówne strugi i ziemia była pod wodą. Trudno było iść po śliskim gruncie, toteż Blaize i Krystyna czepiali się, czego się dało.

Dotarli do kępy drzew i wyczerpani osunęli się na ziemię. Głód i znużenie robiły swoje. Nie mogli nic przedsięwziąć i nie mieli nic do powiedzenia. Naokoło rozciągała się dżungla brunatna, szara i jaskrawozielona. Na deszczu barwy stały się żywsze niż zwykle. Z ziemi buchała dziwna, oszałamiająca, zgniła woń. W małej wyrwie leżał nieżywy gołąb z postrzępionymi niebieskimi piórkami, jedwabistym tułowiem zanurzony w błocie. Przez krzaki na prawo przemykał w śmiesznie niezdarnym pośpiechu krab lądowy. Blaize kopnął płaski kamień, spod którego pierzchła na wszystkie strony czereda drobnych stworzeń — mrówek i szkarłatnych żuków, a wśród nich jaszczurka z długim ogonem.

Upływały godziny. Blaize nalegał, by co jakiś czas wstawać celem rozprostowania nóg. Ale ulewa była tak okropna, że w końcu nie mogli się już utrzymać na nogach. Pod wieczór zaprzestali wysiłków. Woda spływała po zboczu pęczniejącymi strumieniami, które niosły z sobą szlam, kamyki, liście i patyki.

— Siedzimy w rzece — odezwała się Krystyna. — Ojej! jak my wyglądamy!

Zaśmiała się drżąco. Blaize odpowiedział uśmiechem.

— W nocy będzie jeszcze gorzej. Ale już niżej nie zejdziemy. Co się będzie działo w dolinie, gdy te strumienie jeszcze przybiorą! ...

— Długo to potrwa, jak myślisz?

— Raz w drodze na Degas zaskoczył nas sztorm, który trwał zaledwie kilka godzin.

Trudno było coś na to odpowiedzieć. Krystyna ucichła. Głód męczył ją okropnie. Nie skarżyła się, lecz Blaize wiedział i tak. Wziął mały, okrągły, gładki kamyk.

— Włóż w usta i ssij. Trochę pomaga.

Burza zaczęła przycichać, ale w jakiś dziwny sposób. Deszcz osłabł, prawie ustał. Blaize wstał i spojrział na niebo. Czyżby już koniec? Czy tylko cisza, która czasami poprzedza przesilenie?

Krystyna chciała wstać, lecz ją powstrzymał.

— Siedź. To jeszcze nie koniec — rzekł ostro.

Ale sam stał i to na otwartej przestrzeni. Urok, którego nie umiał nazwać, przykuwał go do miejsca. Z drzewa na lewo rozległ się trwożny krzyk przemokłej papużki i dźwięk ten dziwnie rozdarł ciszę.

Co się tak ściemnia? Do zmierzchu jeszcze trzy godziny. Blaize rozejrzał się naokoło. Liście sterczały sztywno. Niesamowita cisza...

— Blaize!

Przerażony głos Krystyny wyrwał go z osłupienia. Podszedł* do niej wolno. Oczy miał niespokojne, zwięzione. Śmiertelnie1 bladzi patrzyli na siebie.

— Co to? — pytała Krystyna. — Co to będzie?

Nagła błyskawica rozdarła niebo. Krystyna zakryła oczy ramieniem, a Blaize pomyślał: Na Boga! tośmy wpadli! Usiadł przy niej mówiąc:

— Dobrze, schowaj twarz. Musimy się trzymać. Ale to długo nie potrwa...

Huk pioruna nie dał mu dokończyć. Niesamowita cisza pękła ze straszliwym łomotem, jakby naraz otworzyły się wszystkie wierzeje niebios. Rozmowa była niemożliwa. Krystyna odsłoniła twarz. Widziała, że Blaize porusza ustami, ale nie mogła pochwycić ani jednego słowa. Nim grzmot ucichł, znów strzeliła błyskawica i deszcz lunął na nowo, jeszcze obfitszy niż dotąd.

Strumienie wody cięły głęboko grunt, podmywając korzenie drzew. Przemoczona ziemia obrywała się i zmywana rwącymi potokami, spływała w dolinę. Palmy na skraju gięły się jak trzciny. Najsłabsza pękła i zjechała na dół. Minęła Blaize'a w odległości kilku kroków.

Wiatr znów się wzmaczał. Teraz wiał od północnego wschodu, hulając po wyspie jak opętaniec. Błyskawice bez ustanku rozłupywały niebo przy akompaniamencie huku piorunów. Błysk — grzmot. Błysk — grzmot. Wieczorem Blaize zaczął tracić głowę. Raz po raz złowrogi trzask oznajmiał, że nowe drzewo zostało wyrwane z korzeniami. Pień, o który się opierał, chwiał się i skrzypiał pod naporem huraganu. Jak też długo wytrzyma? Lada chwila może runąć. Ale dokąd iść, gdzie się schronić? Każda błyskawica ukazywała potop i ruinę: wałące się drzewa, rwące strumienie, zawieję i ulewę. Gdzie tu mógł być ratunek?

Krystyna trzymała się drzewa. Nagimi rękami obejmowała mokry pień. Przestała kryć oczy przed ogniem błyskawic.

Grzmoty wzmagały się. Przy następnej błyskawicy Krystyna zobaczyła, że Blaize stoi prosto i patrzy na ziemię. Spojrzała i ona. Grunt dziwnie się wzdymał. Ukazała się wielka szpara — druga, trzecia... Drzewo, którego się czepiała, zadygotało jak żywe.

Blaize odwrócił się, dopadł do niej, objął w pół i zarzucił sobie na ramię. Buchnął na oślep w zarośla. Przedzierał się przez gąszcz w szalonym pośpiechu. Uciekał przed niebezpieczeństwem. Za nim falowała i stękała pękająca ziemia.

Krystyna wrzasnęła. Blaize ani nie przystanął, ani się nie obejrzał. Przy przeraźliwym blasku błyskawicy, która po prostu przewierciła ziemię, zobaczył małą kotlinkę, nadającą się na schronienie dla ich zmordowanych ciał. Biegł zataczając się. Miał zawroty głowy i niewiele widział, bo deszcz zalewał mu oczy. Liany plątały się koło nóg, a mokre jaśminy były po twarzy obwisłymi kwiatami. Przyśpieszał kroku, jak mógł, byle prędzej, byle dobieć do bezpiecznego miejsca. Krystyna zwisała mu na ramionach bezwładnym ciężarem. Czyżby zemdląca? Zaniepokojony zagadał do niej ochryple. Nie odpowiedziała. Na drodze leżał powalony pień. Przeskoczył przezeń ciężko i zsunął się w kotlinkę.

Położywszy Krystynę na ziemi, rozcierał jej ręce. Otworzyła oczy. Gdy znów błysnęło, zobaczył, że jest z nią źle. Na widok jego przerażenia uśmiechnęła się mężnie i chciała usiąść.

Miał jeszcze we flasce trochę whisky. Objął Krystynę ramieniem, uniósł nieco i przyłożył jej flaszkę do ust.

— Teraz mi lepiej — rzekła. — Jak długo będziemy mogli tu zostać? Tu jest dosyć wygodnie.

Blaize schował starannie flaszkę. Słońce musiało zająć nie tak dawno. Czy wytrzymają do świtu? Lada chwila on może zginąć lub ona, albo oboje. Walące się drzewo, strącona gałąź...

Krystyna rzekła nagle:

— Gdyby nie ja, nie byłbyś teraz w niebezpieczeństwie. Dlaczego zostałeś na wyspie?

— Miałem przecucie, że cię znajdę. Nie wierzyłem, że Treherne pożegluje na Amanu. Od razu się połapałem, że mówił to umyślnie, żeby nasz Kanak usłyszał.

W kotlinie było ciszej. Mogli rozmawiać.

— Ja się pytam — mówiła wolno Krystyna — dlaczego zadałeś sobie tyle trudu? Przecież ja byłam dla ciebie okropna. Zabawne. Ciągłe się kłóciliśmy, a teraz jesteśmy tu razem.

— Piekielnie zabawne — powtórzył. Oparła się o niego, a on objął ją ramieniem.

— Czy myślisz, że wyjdziemy stąd żywi? — spytała. — W tej kotlinie na razie jest dobrze. Ale jak długo będzie bezpiecznie?

— Boisz się? — odrzucił. — Nie martw się. Jakoś będzie. Siedzieli cicho, radzi z jakiego takiego wytchnienia. Siedzieli tak pół godziny. Krystyna trzymała młodziutką papużkę, która przytuliła się bojaźliwie do jej kolan. Blaize raz po raz oglądał się na drzewa, czy się któreś nie chwieje. Wichura zamiatała zbocza, z góry na dół pędząc wezbrane strumienie. Błyskawice stały się rzadsze. Huk piorunów przeszedł w dalekie, głucho dudnienie. Burza odpływała w kierunku Herari, wyspy położonej na południowy wschód od Takunai.

Dreńcący deszcz nie ustawał. Nawet tutaj dosięgał ich, nie dawał spokoju, drażnił i denerwował niewymownie. Krystyna zaczęła się kręcić w miejscu, jakby mogła uniknąć udręki, na którą nie było sposobu.

— Niedługo nas zmyje — zaniepokoiła się. — Zaczekaj, zaraz błysnie! Widzisz, jak się tam woda przelewa przez krawędź?

— Widzę — rzekł głucho. — Musimy się przesiąść. Nie ruszaj się. Pójdę się rozejrzeć.

— Nie idź.

Przysunęła się tak blisko, że poczuł na policzku jej szybki oddech.

— Nie idź — powtórzyła. — Zostań. Albo weź mnie ze sobą.

— Niebezpiecznie.

— Niebezpiecznie? Dlatego nie puszczę cię samego.

Nie było czasu na rozmowy. Na stoku nad nimi zaszumiało złowieszczo i do kotlinki jąła walić woda, tak jak wino leje się do szklanki. Siła nurtu rozdzieliła ich. Krystyna straciła grunt pod nogami i potoczyła się na dół. Oparła się dopiero gruby pień palmy i przywarła do ziemi zadyszana, na pół żywa. Chciała zawołać na Blaize'a i nie mogła dobyć głosu.

Wieczność upłynęła, nim ją doszło stąpanie od prawej strony. Krzyknęła na całe gardło. Zaczął iść ku niej potykając się po omacku, brnąc po wodzie, przepychając się przez zarośla. Natrafił na jej rękę.

— Krystyno! Krystyno!

— Nic mi się nie stało — wyjąkała.

— Myślałem, że cię nie znajdę... Krystyno, myślałem, że się zabiłaś...

Przebrnęli przez wodne wiry i wydostali się na pewniejszy grunt. O trzydzieści kroków dalej wznosiło się niewielkie skalne płaskowzgórze. Tu skierowali się przy świetle ostatniej błyskawicy i usiedli. Burza słabła. Około północy deszcz ustał, a wichur stracił na sile.

— Nie mogłabyś usnąć? — zapytał Blaize. — Już po wszystkim. Wiatr wykręca na wschód. No, skończyło się. Takunai jeszcze nas nie zwyciężyła.

— Niewiele brakowało — rzekła Krystyna słabym głosem. — Czy bezpiecznie będzie teraz spać?

— Tak.

Ale długo nie mogła zasnąć. Myślała o przeżytych okropnościach i niebezpieczeństwach. Tej nocy śmierć dotrzymywała im towarzystwa, ale Blaize odprawił ją z pustymi rękami. Blaize uratował jej życie. Na myśl o posiniaczonych i pokaleczonych ramionach, które ją obroniły, ogarnęła ją czułość.

Leżała zupełnie nieruchomo. Blaize myślał, że usnęła. Poczula, że przysuwa się wolno i ostrożnie, aby jej nie obudzić. Dotknął ustami jej nagiego ramienia. Krystynie dech zaparło, on cofnął głowę.

— Nie śpisz?

— Nie.

— No, to śpij.

— Kiedy ja...

— Nie sprzeczasz się. Masz słuchać i już! — rzekł Blaize.

CZĘŚĆ SIEDEMNASTA

Rozdział pierwszy

Kanakowie z Herari wyprawili poselstwo do boga ognia, mieszkającego w górze na Takunai. Dla przebłagania bożka posłowie wieźli ze sobą zrezygnowanego nieszczęśnika, którego naczelnik wyznaczył na ofiarę. Nieborak, upacykowany na czerwono, miał na głowie przybranie z piór niebieskiej papużki. Przez trzy dni był przedmiotem hołdów i mógł używać, ile włązło. Czwartego dnia zaprowadzono go uroczyście na wielki katamaran wojenny.

Towarzyszyło mu dwunastu ludzi naczelnika. Zamiarem ich było przeprowadzić się na Takunai, wejść na górę i tam wśród modlitw i zaklęć załatwić się z ofiarą. Rozumiało się oczywiście samo przez się, że bóg ognia zadowoli się kośćmi, które składano zwyczajowo w środku krateru i przysypywano szarym żużlem wulkanicznym. Przepis, nie pozwalający zostawiać ciała, był może przyczyną dyskretnego ożywienia dwunastu siepaczy.

Burza zaskoczyła katamaran niedaleko brzegu. Wioślarze dobyli wszystkich sił. Lekka łódź pomknęła ku zatoce z niebezpieczną szybkością. Dobili z radosnym wrzaskiem i wyciągnęli katamaran wysoko na brzeg między palmy, po czym pobiegli schronić się do pieczary, żeby tu doczekać cierpliwie końca wichury.

Czekali długo, bardzo długo, by w końcu przy pięknej, słonecznej pogodzie dopełnić obrządku. Twarze mieli poważne. Ofiara znarowiła się i zaczęła okazywać dziwną, grzeszną niechęć do swojej roli. Zwłoka ją otrzeźwiła. Zazwyczaj przewożono ofiary z Herari, nim zdążyły przyjść do siebie po trzydniowej rozpuście. Narkotyczny napój działał zamraczająco, wywołując u wybrańców boga pożądaną bierność. Czegoś podobnego jak tym razem kroniki kanackie dotąd nie zanotowały.

Mieszkańcy Herari wierzyli święcie, że ognisty bóg Takunai daje się utrzymywać na wodzy jedynie dzięki dorocznym ofiarom. Prawda, że dawno już nie dał znać o sobie. Na wielkim głazie w lesie oznaczano lata, upływające od ostatniego wybuchu gniewu strasznego boga. Na skale było już tyle znaków, ile ośmiu ludzi ma palców u rąk. Ale któż mógł powiedzieć, co by się mogło stać, gdyby obecny więzień zawiódł pokładane w nim nadzieje?

Trzynastu ludzi jęło się pięć na górę. Opuściwszy się w okrężną dolinkę, w miejscu znanego bagna zastali wezbrany potok. Złowili więc z filozoficznym spokojem pień unoszący się na wodzie i przeprowadzili na drugą stronę, jak się dało,

przy czym najlepsze miejsce dostało się wybrańcowi boga. Dwaj towarzysze podtrzymywali go z obu stron. Pozostali płynęli kierując pień ku brzegowi.

Przeprawili się znanymi ukosami na miejsce, skąd najłatwiej było wejść na szczyt. Pięli się wzwyż i poganiali głównego aktora, który nie myślał się śpieszyć, skarżąc się gorzko na gwałtowność towarzyszy.

Już byli o kilkanaście kroków od malutkiego skalistego płaskowzgórza, gdy uderzył ich widok tak nadzwyczajny, że stanęli jak wryci. Na skraju skały siedziało dwoje ludzi o skórze barwy płatków jaśminu. Słowem: białych ludzi! Stali nieruchomo i patrzyli..

Blaize rzekł spokojnie do Krystyny:

— Siedź cicho. To nie ludzie Treherne'a! Od razu poznałem. Zobaczył białe koła na ciemnych policzkach, świetne pióra w kędzierzawych włosach wybrańca, umalowanego na czerwono. Przypomniały mu się stare opowieści. Takunai uchodziła za nie zamieszkaną wyspę. Czy to jakiś tajemniczy szczep? Stary Andy Peters mawiał, że na Houtenach są jeszcze ludożercy. Raz, gdy sztorm zwał go ku brzegom Herari, ledwie uszedł z życiem.

Blaize sięgnął ukradkowo po swój rewolwer, który leżał na słońcu. Krystyna zbladła jak ściana.

— Jeżeli ich nie odeprzemy, to się na nas rzuca — rzekł Blaize. — Muszę kilku zastrzelić, Krystyno. Tylko na miłość Boską, nie zdradź się, że jesteś w strachu.

Kanakowie, zbici w kupę, jazgotali między sobą. Raptem obrócili się ku skale i zaczęli iść. Twarze mieli zacięte. Trzymali dzidy w pogotowiu. Zamiar ich był oczywisty. Krystyna usłyszała, że Blaize bierze syczący wdech.

Szybkim ruchem pchnął ją za siebie, za występ skalny i podniósł rewolwer. Strzelił.

Idący na przodzie Kanak padł z piersią we krwi. Dwie dzidy świsnęły w powietrzu. Blaize znów strzelił. Drugi Kanak wyrzucił ręce w górę i legł cicho bezwładnym ciężarem. Trzeci strzał trafił umalowanego na czerwono wybrańca boga. Pozostali Kanakowie cofnęli się. Byli przerażeni, ale jeszcze nie zamierzali odstąpić. Czterej ponowili natarcie. Blaize, pełen trwogi, dwóch z nich położył trupem. Miał już tylko jeden nabój. Czy zaryzykować? Wahają się. Jeszcze jeden strzał mógłby ich przepłoszyć na dobre. Tylko że gdyby Krystyna...

Krople potu wystąpiły Blaize'owi koło ust. Skała paliła jego boscie stopy żywym ogniem. Jeżeli strzeli ostatni raz i chybi, i jeżeli się na niego rzuca, co się stanie z Krystyną? Czy ma prawo ryzykować?

— Czemu nie strzelasz, do diabła? — syknęła mu w ucho. — Pał, głupcze!

Pomyślał szybko: Zaryzykuję. Może ich przepłoszymy! Pewną ręką nacisnął spust. Znow jeden Kanak zachwiał się i runął w krzaki pociągając za sobą towarzysza. Pozostali wzięli nogi za pas. Polegli zostali tam, gdzie padli. Może o zmroku będzie można po nich wrócić. Teraz trzeba ratować własną skórę.

Blaize nacisnął spust pustego rewolweru.

— Już teraz do niczego — mruknął. — Na Boga, Krystyno, cudem uniknęliśmy śmierci.

Krystyna potaknęła niemo i osunęła się w cień krzewów, rosnących obok skały.

— Myślisz, że wrócą?

— Nie — odparł Blaize. — W każdym razie teraz nie wrócą. Mają dosyć.

Żadne nie przyznało się do nowej trwogi. Jeżeli Treherne jest na wyspie, to musiał usłyszeć strzały. Trudno przypuścić, żeby się nie wyprawił zbadać ich przyczyny. Lada chwila mogą go zobaczyć. Lada chwila usłyszą chrzęst w zaroślach. Lada chwila zmierzą się z nim oko w oko.

— Dlaczego tak długo się namyślałeś przed ostatnim strzałem? — spytała Krystyna, rozkładając swoje skąpe łachmany. — Złękłam się, że nie strzelisz.

Blaize milczał.

— Odpowiadaj, kiedy pytają — rzekła gniewnie. — Co cię ukąsiło?

Przestąpił z nogi na nogę i szarpnął się za czuprynę.

— Myślałem...

— O czym?

— O tobie.

Stał i patrzył na nią. Spomiędzy strzępów niebieskiej bluzy i drelichowych spodni przeświecała biała skóra. Ramiona i nogi do kolan miała nagie. Wicher i deszcz zbiły w istny kołtun jej czarne, zawsze takie lśniące włosy. Mimo wszystko wyglądała porywająco pięknie na tle ciemnej, żywej zieleni. Blaize patrzył na jej twarz rozjaśnioną niebieskoszarymi oczyma, na pełną, białą szyję, na piersi, falujące pod łachmanami. Z jaką rozkoszą złożyłby na nich głowę, żeby go objęła ramionami. Czuł, że tylko ta dziewczyna może dać mu szczęście. Nie pożałował wyłącznie jej ciała. Tak samo jak Treherne, uległ czarowi jej nieustraszonej odwagi, zapalczywości i przedsiębiorczości ...

— Czemu o mnie myślałeś? — zapytała Krystyna. — Od chwili, gdy opuściliśmy obóz Treherne'a, nieustannie burczysz i pokrzykujesz na mnie. Jeżeli ci dokuczałam na „Kuliku”, to już to sobie odbiłeś z okładem. Nic nie mogę powiedzieć, nic nie mogę zrobić tak, jak mnie się podoba. Ciskasz się przy każdej sposobności. Wymyślasz, wydrwiwasz i teraz jeszcze śmiesz mówić, że ci popsułam cel!

— Wcale tego nie powiedziałem — oburzył się. — Zastanawiałem się, czy strzelić jeszcze raz do Kanaków, czy zachować ostatni nabój dla ciebie.

— Dla mnie? — zaśmiała się. — Czym mi jeszcze będziesz groził?

— Wiesz, co mam na myśli — odpowiedział takim tonem, że spoważniała.

— Wiem. Widziałam, co Kanakowie wyprawiają z kobietami. Wyciągnęła do niego rękę prawie nieśmiało.

— Nie potrafię ci podziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłeś przez te dwa dni — rzekła i głos jej drżał, chociaż siła się na spokój. — Ale przynajmniej wiedz, że jestem wdzięczna. Głupio mówię. Nie umiem dobierać pięknych słów. Może powinnam ci się rzucić na szyję. Niestety, to się nie da zrobić. Zresztą miałbyś sposobność odepchnąć mnie, a tej przyjemności ci nie sprawię.

Blaize nie odpowiadał. Stał i patrzył. Sycił oczy jej widokiem. Nigdy jeszcze tak do niego serdecznie nie przemawiała, nigdy nie wyciągała ręki. Już ją opuszczała, gdy szybkim ruchem pochwycił wąskie paluszki i ścisnął tak mocno, że syknęła.

— Nie potrzebujesz mi dziękować — powiedział wolno. — Jeżeli uważasz, że cię źle traktowałem, to przepraszam. Gdybym ci ustępował, mogłoby się to dla nas kiepsko skończyć.

A jeszcze nam grozi Treherne. Tu głos mu się załamał.

— Mam teraz tylko ręce do obrony — mówił dalej. — Rewolwer bez nabożów, nóż diabli wzięli. Musiałem zgubić w strumieniu, bo potem go już nie miałem. Treherne nie cofa się przed niczym. Gotów mnie zabić.

— O Boże! Nie!

— Sama wiesz, że jest do tego zdolny. Jeżeli podejdzie blisko, to się rozprawimy na pięści. Ale on nie lubi ryzykować. I zresztą będzie miał ze sobą ludzi. Ilu on ma Kanaków? Ośmiu, dziesięciu? Krystyno, jeżeli szczęście obróci się przeciw nam, jeżeli nie zdołam go zabić, to będziesz musiała...

— Nie martw się o to — rzekła twardo. — Jeżeli Treherne mnie dostanie, to tylko po twoim trupie, a wtedy już byłoby mi wszystko jedno. Treherne, czy inny — co za różnica.

— Jak to? — wyrzucił chrapliwie.

— Czy muszę mówić wyraźniej? — uniosła się. — Czy jesteś taki tępy, że nie rozumiesz?

Odwróciła się i ukryła twarz w dłoniach. Słyszała, jak szedł do niej, jak bose stopy stapały miękko po skale. Chciał ją wykręcić ku sobie. Opierała się ze wszystkich sił, żeby nie zobaczył jej łez.

— Krystyno, może już niewiele czasu nam pozostało. Czy mamy go zmarnować? Kocham cię od tak dawna...

Obrócił łagodnie jej twarz ku sobie, zajrzał w zamglone oczy, pochylił się nad drgającymi, czerwonymi ustami. Przeżyte cierpienia i niepokoje, niebezpieczeństwa, których uniknęli, niebezpieczeństwa, które jeszcze im groziły — co to wszystko mogło znaczyć w tej chwili?

Szelest w zaroślach... trzask pękających gałęzi... brązowe ciała, przeciskające się ku płaskowzgórz... głos Treherne'a:

— Tam, Keluti, wysoko, gdzie ta skała.

Rozdział drugi

Treherne zatrzymał się o kilka kroków od skały. Słońce migotało w jego rozbujanych kolczykach. Usta rozciągał lekki uśmiech. Na Boga, ten Blaize nie dał za wygraną! Został na wyspie, a tamtych głupców puścił na Amanu. Ale widać, że ledwie żyje. Próżno potrzasa rewolwerem. Wiadomo, że wystrzelał wszystkie naboje. Krystynę schował za siebie. Treherne'owi zwężyły się źrenice. Co między nimi zaszło wśród tej pustki na pagórku?

I na Krystynie widać skutki awantury. Treherne patrzył na nią chciwie. Poczuł nagle dziwną suchość w ustach. Krystyna nabrała dla niego jeszcze większego uroku. Będzie walczyła, bladła, modliła się o litość i w końcu, gdy jej zabraknie łez i modlitw, ulegnie. W duszy Treherne'a z żądzą mieszało się okrucieństwo. Jakże pragnął skatować ją, zapłacić za oszustwo. Pokaże jej!

Dobył rewolweru.

— Ręce do góry, Blaize!

Ten Blaize! Wytrzyma najwyżej kilka minut. Na pół zagłodzony. Ręka mu drży. Jaki głupi! Myśli, że kogoś nastraszy pustym rewolwerem!

— Strzelaj, strzelaj! — zawołał Treherne. — Nie oszukasz mnie. Wystrzeliłeś wszystkie sześć nabojów. Liczyłem.

Z tymi słowy podszedł do skały i wspiał się na krawędź. W chwili gdy przerzucał nogi na wierzch, mocna pięść ugodziła go w ramię. Zerwał się i zwarli się pierś w pierś. Blaize walił niepewnie, na oślep, co pozwoliło poznać Treherne'owi, w jakim jest stanie. Odskokzył więc, czekając na odpowiedni moment. Zręcznie odparowywał ciosy. Niech się ten głupi Blaize zmęczy. Niech wyczerpie resztę sił w próżnej walce. Mimo osłabienia jeszcze jest niebezpieczny, choć walczy o pustym żołądku...

Treherne czekał na sposobną chwilę. Doczekał się prędzej, niż się spodziewał. Blaize chciał obetrzeć pot z czoła i Treherne wykorzystał moment nieuwagi. Blaize, uderzony w brodę, zachwiał się. Treherne zadał drugi, szybki cios prawym sierpowym nad serce. Blaize osunął się na kolana. Treherne powalił go na łopatki. Padając Blaize uderzył głową o kamień i legł nieruchomo. Treherne ciężko dysząc zawołał na Manuę. Wspólnymi siłami strącili bezwładne ciało z wysokości dwudziestu stóp w krzaki na dole.

— Niech leży — rzekł Treherne. — Żyje. Jutro o tej porze ocknie się i zawoła o whisky. Keluti, trzymaj mocno Krystynę.

Keluti zrozumiał. W chwili gdy jego pan zaczął się bić z Blaize'em, przytrzymał Krystynę z tyłu za ręce tak mocno, że nie mogła się ruszyć. Teraz

pochwycili ją obaj i zszadził lekko ze skały. Szamotała się i klęła. Na próżno. I na próżno wzywała

Blaize'a. Dwaj Kanakowie prowadzili ją w las. Twarze ich były jak maski. Treherne nie powiedział do niej ani słowa.

Zeszli na dół i brnęli przez zalaną dolinę, ale już woda zaczynała opadać. Manua podniósł Krystynę do góry i niósł triumfalnie przez wodę, która mu dochodziła do pach. Przedostali się na drugi brzeg i szli jakiś czas z biegiem strumienia, póki nie znaleźli zbrocza łagodniejszego od tego, po którym Blaize prowadził Krystynę przed dwoma dniami. Ale już jej było wszystko jedno. Rozpacz i śmiertelne znużenie dławili wszelkie uczucia i wrażenia. Nie obchodziło jej nic, ani którądy idą, ani jak długo. Może upłynęła godzina, może dwie lub trzy, zanim poczuli słone powiewy od morza i zobaczyli roztańczone fale. Co ją teraz to wszystko obchodzi? Co jej teraz po życiu, kiedy Blaize został tam, na górze.

Jak przez mgłę spostrzegła, że ją wsadzają do szalupy. Za chwilę już ją wysadzali. Usłyszała głos Treherne'a: „Powoli! Powoli!” i otarła się nogą o burtę. Zobaczyła kabinę na pokładzie „San Juana” — wśród ciemnych desek jedną nową żółtą.

Leżała na pokładzie z głową na zwoju lin. Treherne siedział obok, trzymając kubek, w którym moczył w gorącej wodzie z whisky kawałek suchara. Ułamał część i wepchnął jej w usta. Początkowo nie mogła przełknąć. Ale powoli nakłonili ją do jedzenia. Usiadła i sama wyrwała mu z rąk suchar. Patrzył z zadowoleniem.

— Lepiej? — zapytał. — Ach, ty, diablico, co ci też przyszło do głowy? Mogłaś wiedzieć, że mi nie uciekniesz, Ani ty, ani twój ulubieniec. On by się dopiero zażerał.

Suchary i alkohol dodały Krystynie sił. Nawet się trochę zarumieniła. Treherne nachylił się i pogładził ją po ramieniu.

— Użyłaś przygód, co? — rzekł pieszczotliwie. — Ach, smarkata, mogłaś zginać od tej burzy. Ale już mi się drugi raz nie wymkniesz, ślicznotko!

Zagryzł usta. W jego czarnych źrenicach zaświeciły zagadkowe błyski, w których kryło się okrucieństwo.

— Odtąd należysz do mnie — mówił dalej. — Raz mnie oszukałaś, ale drugi raz ci się nie uda, moja miła! O, na Boga, nie! Za godzinę podniesiemy kotwicę. Pożeglujemy na Amanu. Opłyniemy Takunai od południa. Widziałem tych dzikich, do których strzelał Blaize. Pewnie przyplłynęli z Herari. Jeżeli ich katamaran jeszcze tu gdzieś krąży, pošlemy im na dokończenie kilka kulek.

Krystyna patrzyła na niego nie rozumiejąc. Po chwili zapytała:

— A gdzie Lambert?

— Utopił się — rzekł krótko Treherne. — Wypadek. Zaniosem cię do kajuty. Musisz się wyspać.

I bez żadnych korowodów wziął ją na ręce i zniósł po trapie. Otworzywszy kopnięciem drzwi do kajuty, złożył pieczołowicie swój ciężar na koi. Minę miał triumfalną.

— Mam ciebie i mam szkatułkę Vasariego. Potem ci pokażę. Największe cudo na świecie — po tobie. Ano, udało się. Ciebie zdobyłem i tamto zdobyłem. Co tak drżysz? Nakryj się derkami. Blaize'owi też by się przydały. Tylko bez grymasów, moja mała. Przedtem znosiłem, teraz nie zniosę. Tym razem będę cię miał. Śpij i marz o mnie.

Krystyna dźwignęła się z wysiłkiem na wąskiej koi. Oczy jej miotają błyskawice.

— Ty podły chamie! Czy myślisz, że będę sobie z ciebie cokolwiek robiła? Czuję do ciebie taki wstręt, że nie mogę znieść twojej obecności.

— Tak myślisz? — zamruczał.

Szybkim ruchem rozerwał jej bluzkę. Chciała go bić, lecz ją chwycił za ręce i przycisnął do derki, że leżała jak ukrzyżowana. Poczowała jego usta na piersi. Zdławiła krzyk. Gdy ją puścił, schowała twarz w twardą płaską poduszkę i leżała jak martwa.

— Masz, za to, żeś mnie wtedy uderzyła w twarz. Ja czułem to samo. Jak się prześpisz, przyniosę ci kobiece szmatki. Po mojej przyjaciółce, z którą żeglowałem rok temu. Mam gdzieś schowane. - Wyszedł zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Z ręką na grubej desce przystanął i spojrzał w głąb korytarzyka. Czy ktoś przeszedł? Byłby przysięgł, że widział cień znikający za zakrętem.

Ale korytarzyk był pusty. Treherne poszedł do głównej kajuty, gdzie schował szkatułkę Vasariego. Małym żelaznym kluczykiem otworzył nabijaną ćwiekami skrzynię i uniósł wieko. Rozwinął gorączkowo derki, w które okutał swój skarb i pochylił się nad skrzynią. Jego śniada twarz promieniała radością. Ujął w ręce złote cudo, które tak długo spoczywało na dnie morza.

Cały świat zna szkatułkę Vasariego. W momencie jej zniknięcia wszystkie pisma, nawet najmniejsze, podały fotografię ze szczegółowym opisem kształtu i wymiarów.

„... .piętnaście centymetrów wysokości, dwanaście szerokości, dwadzieścia długości. Cztery podtrzymujące ją figury przedstawiają Apolla, Herkulesa, Pana i Merkurego. Na wypukłym wieku Bellerofont dosiada uskrzydłonego rumaka, Pegaza. Na bokach są przedstawione sceny z Iliady ...”

Treherne postawił szkatułkę na stole i przyglądał się jej z zachwytem. Ilu ludzi przez wieki uwielbiało to dzieło sztuki tak, jak teraz on? Każda figurka odcinała się czysto i wyraźnie. Nigdzie zatartych zarysów, nigdzie zaniedbanych szczegółów. Stary kardynał, dla którego to było wykonane, musiał się wpatrywać w to cudo, musiał chłonać oczami każdy szczegół, musiał pękać z dumy, że posiada taki skarb. Stało to w jakiejś starej, mrocznej, włoskiej kaplicy, kryjąc w sobie bezpiecznie święte relikwie. Upływały lata, upływały wieki. Wielu ciekawych rzeczy musiały być świadkami te cztery dumne figurki na rogach. Skąd ten uśmiech Apolla? Uroczy chłopiec musiał posłużyć mistrzowi za model. A ten wir postaci na bokach szkatułki, Helena ze znużonymi oczyma, trup Achillesa z zaciśniętymi pięściami... Treherne patrzył, patrzył, patrzył dotykając lśniącego złota z bojaźliwą czcią. Oto historia, oto piękno, oto czar baśni. W głowie mu się kręciło z podziwu. On umrze, inni poumierają. Krystyna zestarzeje się tak, jak się Helena zestarzała, a to niezmiennie piękno pozostanie...

Zawinął z westchnieniem szkatułkę w derki i zamknął skrzynię. Na marzenia będzie czas po pracy. Uśmiechając się dziwnie, wydobyl z kuferka narecze delikatnych jedwabnych szmatek, za którymi przepadają kobiety.

Rozdział trzeci

Blaize wyciągnął nieprzytomnie rękę i chwycił pęk czerwonych lilii. Ich chłód otrzeźwił go. Otworzył oczy. Okropnie bolała go głowa. Chciał dotknąć palcami czoła, ale świat zakręcił mu się przed oczami. Powtórzyło się to dwa razy i w końcu pobliskie drzewa wrosły w miejsca. Dźwignął się na nogi z bolesnym trudem. Usiłował przypomnieć sobie ostatnie wydarzenia. Myśl o Krystynie wyrwała go z oszołomienia bolesnym ukłuciem w serce. Momentalnie zapomniał o bólu głowy.

Zaczął nasłuchiwać. Nic. Żar. Cisza. Dokąd ją Treherne zabrał? I jak dawno się to stało?

Musi się przekonać, czy „San Juan” opuścił Takunai? A więc znów drapać się na wierzchołek, bo tylko stamtąd jest widok na wybrzeża! Zaciął zęby i zaczął mozolną wspinaczkę na czworakach. Często odpoczywał. Kawałkami wdzierał się pędem, po czym padał na twarz i klął urywanym głosem. Przebycie półmilowego stoku zajęło mu godzinę. W końcu padł zmordowany, ale triumfujący na skalnym występie, gdzie leżał z Krystyną. Przekrwione oczy zwrócił na morze.

Jest! „San Juan” wysuwa się z zatoki i rozpina żagle na wiatr. Skręca wolno na południe. Blaize patrzył w milczeniu. Na południe skręca? Po kiego licha? Wszystko jedno. Teraz mu już w ogóle wszystko jedno.

Zabłądził wzrokiem na północ i znieruchomiał z wyciągniętą szyją.

Na widnokregu pokazywały się żagle.

CZĘŚĆ OSIEMNASTA

Rozdział pierwszy

Carroll wdrapał się między palmy. Znalazł Blaize'a na krawędzi klifu. Dobijając do brzegu lornetował Takunai na przemian z Haggertym. Tłusty Haggerty pierwszy wypatrzył samotnika. Jego bystre oczy pochwyciły ruch na szczycie ostrego przylądka, wrzynającego się w burzliwe morze od północnego zachodu. Potem i on, i Carroll rozróżnili człowieka, który czymś wymachiwał. Gdy z bliższej odległości upewnili się, że to Blaize, Carroll z czterema Kanakami wsiedli do szalupy i popłynęli na brzeg. „Kulik” nie mógł zbliżyć się zaledwie do ostrych raf.

Jasnowłosey żeglarz piał się pod górę ukosami. Gdy dotarł do płaskiego szczytu, już dyszał. Oparł się o skałę, żeby serce się uspokoiło po szybkiej wspinaczce.

Ale gdzie jest Blaize? Dwadzieścia minut szukał, zanim znalazł przyjaciela na skraju klifu, zupełnie nagiego z pękiem łachmanów pod ręką. Wydał okrzyk i puścił się biegiem. Zawołał dwóch Kanaków, którzy pięli się za nim. Zastali go na kolanach obok Blaize'a.

— Ona Bilase prędko wszystko umrzeć? — zapytał Moriri.

— Nie — odparł Carroll. — Rozcieraj mu nogi. Huka, ty rozcieraj ręce. Musimy prędko go ocucić.

Kanakowie rzucili się z zapalem do rozcierania zdrętwiałych członków Blaize'a. Carroll uniósłszy ciężką głowę przyjaciela wlał przemocą w sine usta kilka kropel wódki. Zemdlony westchnął i otworzył oczy. Spojrzał na Carrolla.

— Na południe — rzekł słabym głosem. — „San Juan” opłynął Takunai od południa. Gonić go.

Carroll dał znak Kanakom, żeby go podnieśli. We trzech znieśli bezwładne ciało do czekającej szalupy. Blaize więcej się nie odzywał. Carroll obejmował go troskliwie. Szalupa mknęła z powrotem do czekającego „Kulika”. Carroll odkrył ranę na głowie Blaize'a i bał się myśleć, ile krwi przez nią uciekło.

Haggerty czekał niecierpliwie przechylony przez burtę. Kanakowie biegali po pokładzie z gorącą wodą i derkami. Wydzwignęli Blaize'a na pokład i zanieśli na koję. Gdy go owijali w derki, znów szepnęli:

— Gonić ich. Okrążyli Takunai od południa.

— Co on mówi? — szepnął Haggerty.

— Podobno „San Juan” skręcił na południe. Nie, nie wiem dlaczego. Ale rozumiem, o co mu chodzi. Jeżeli popłyniemy północną stroną, możemy się

spotkać z tamtym akurat, jak skreśli od zachodniego wybrzeża. Wszystko zależy od tego, o ile nas wyprzedzili. Nie dawajcie mu więcej. Niech się prześpi. Huka, czuwaj przy nim. Musi mieć ciepło, rozumiesz?

Zostawiwszy Kanaka przy przyjacielu, Carroll z Haggertym wyszli na pokład. Słońce dotykało już morza. Po wodzie szły czerwonożłote smugi, które przeobrażały „Kulika” w czarodziejskie widziadło. Od lądu ciągnął chłodny wiaterek, jaki bywa tylko po zachodzie słońca. Carroll rozpiął wszystkie żagle. Jeżeli mieli doścignąć Treherne'a, musieli rozwinąć jak największą szybkość.

Zawrócili. Był już zmierzch, tak szybko przechodzący w noc. Haggerty sterował. Pod jego pewnymi rękami „Kulik” lawirował ku zachodowi. Kanakowie rozumieli, że to pogoń i krzatali się z zapalem po pokładzie jak wojownicy przed bitwą. Z forkasztelu dolatywały urywki starych pieśni wojennych, które ich przodkowie śpiewali za dawnych bojowych czasów. W miarę jak się ściemniało, wiatr przycichał. Po ciemnej wodzie, pod gwiazdzistym niebem „Kulik” ścigał nieprzyjaciela. Takunai leżała z prawej burty bezkształtną czarną masą. Słaby zapach ziemi ciągnął przez niespokojne wody.

— Diabelnie niezdrowe miejsce — rzekł Haggerty. — Kanakowie z Herari zaglądają tu czasami w swoje uroczyste diii. Żrą ludzkie mięso na Herari — mawiał stary Andy Peters. Dzicz! Piekielne nasienie!

Splunął z oburzeniem.

Carroll nie podtrzymał rozmowy. Jego młodzieńcza twarz zacinała się w twarde linie. Gdzie jesteś, Treherne? Którędy umykasz, psi synu? Bystro spoglądał w ciemność, czy nie zobaczy światła żaglowca. Ale noc sprzyjała Treherne'owi. Carroll zszedł pod pokład i zastał Blaize'a pogrążonego w głębokim śnie. Cierpliwy Huka siedział w kucki obok koi z głową opuszczoną na kolana. Z wejściem Carrolla zerwał się na równe nogi mrugając sennie oczami. Carroll pochylił się nad śpiącym i przez chwilę słuchał jego ciężkiego oddechu. Kiwnąwszy z zadowoleniem głową, wrócił na pokład.

— Zdrowo śpi — meldował Haggerty'emu. — Jutro o tej porze będzie gotów do roboty. Szkoda, że nam nie powiedział o Krystynie. Treherne musiał ją porwać, nie ma co.

— Treherne nigdy się nie da oszukać, gdy chodzi o kobietę — potaknął Haggerty. — Wiesz, bracie, Blaize go zabije.

— Ja sam go zabiję, jeżeli mi się napatoczy. Po cóż go ścigamy?

Carroll zluzował Haggerty'ego przy sterze. Z rękami na kole poczuł się spokojniejszy. Przez całą noc trzymał majtkę na bocianim gnieździe, żeby wypatrywał światła „San Juana”. Nad ranem wiatr osłabł i Carroll kłął w żywy

kamień. Haggerty wyszedł na pokład ziewając. Zastał młodszego kolegę bladego z wściekłości.

— Ten piekielny wiatr ustaje. Nie dogonimy „San Juana”.: Przecież to jeden z najszybszych żaglowców na wyspach.

— Spokojnie — rzekł Haggerty. — Zejdź na dół i zdrzemnij się. Ledwie się trzymasz na nogach. Zobacz, czy Blaize się nie obudził.

Carroll posłuchał. Przeszedł chwiejnie przez pokład, zlął po schodkach i pchnął drzwi do kajuty Blaize'a.

— Hej, Carroll!

Na ten głos Carroll podniósł odruchowo rękę. Blaize siedział w koi i majstrował przy bandażu, którym mu tak starannie obwiązano głowę.

— Po jakiego diabła omotali mi łeb? Gdzieście się podziali? Gdzie Haggerty? A „San Juan” ...

Urwał.

— Krystyna jest na „San Juanie” — uzupełnił. — Na Boga, Carroll, musimy się śpieszyć! Pomóż mi wstać!

Wypoczynek zrobił swoje. Blaize, kiedy się tylko ubrał i zjadł piorunem przygotowane śniadanie, wyszedł na pokład do Haggerty'ego. Wymienili uśmiechy.

— Jużes zdrów? — zarechotał grubas. — Psiakość, zaschło mi w pysku od wiatru. Jak ci się zdaje, dokąd Treherne może płynąć? Na Amanu?

Blaize zmarszczył brwi.

— Tak. Wydobył z morza ten skarb — szkatułkę Vasariego. Nie, wtedy jej jeszcze nie miał, gdy nas Lambert podszedł. Chcieli nas nabrać, łgarze. Ale teraz ją ma i myśli, że nas przechytrzył.

— Musiał wiedzieć, że wrócimy po ciebie — zauważył Carroll.

— Domyślił się, oczywiście, ale ryzykował. Udało mu się. Leci na skrzydłach wiatru. Teraz już nie boi się „Kulika”. Mówię ci, że teraz jest niebezpieczniejszy, niż był.

Haggerty pokiwał głową.

— Może masz rację.

„Kulik” parł naprzód. Ciemne skały Takunai zostały w tyle. Haggerty skreślił na północny zachód. Rozbujana pustynia wodna świeciła pustką. Ani śladu „San Juana”. Trzej biali na „Kuliku” chodzili po pokładzie z ponurymi minami. Wiatr świstał w olinowaniu. W południe Takunai została daleko za rufą w sianej mgle.

Żagle nadymały się twardo pod bryzą. Raz po raz „Kulik” przechylał się niebezpiecznie. Ale Blaize nie pozwalał zwinać ani kawałka żagla. Konieczność pośpiechu przeważała nad wszelkimi względami. Musiał zdążyć, żeby...

Carroll patrzył na przyjaciela spacerującego po przechylonym pokładzie. Bryzgi piany oblały wysoką postać Blaize'a i zmoczyły mu kark. Wytarł się czerwoną chustką.

Carroll zapytał:

— Jak sobie radziliście z Krystyną podczas burzy? Nas złapała skrajem i zniosła jak korek.

Blaize przystanął.

— Źle z nami było. Opowiem ci o tym kiedy indziej. Carroll patrzył na niego z ciekawością.

— Czy... ona wie? — zapytał delikatnie. — Możesz mi powiedzieć. Ja się w niej nie kocham.

— Posądzałem cię o to.

— Wiem. Chciałem cię doprowadzić do tego, żebyś się jej oświadczył, ośle. Ale nie dawałeś się... Więc wszystko dobrze?

— Bilase! — wrzasnął majtek z bocianiego gniazda — Bilase! Ona żaglowiec! Ona „San Juan”!

Chude brązowe ramię machało gwałtownie, drżąca ręka pokazywała na północny wschód.

— Zostań tu — rzekł rozkazująco Carroll do Blaize'a. — Nie możesz leżeć na maszcie z tą głową.

Wdrapał się jak kot. Blaize miotał się niecierpliwie u stóp masztu.

Rozdział drugi

Lambert był na pokładzie „San Juana”. Treherne nie mógł go widzieć, lecz czuł jego obecność.

Cień koło kabiny, odgłos kroków na trapie... Treherne śmiał się z siebie, ale ten ochryply śmiech stawał mu w gardle, bo nagle... Oglądał się za siebie. Nic. Pusto.

„San Juan” okrążając Takunai od południa nie natknął się na Kanaków z Herari. Treherne nie szukał ich. Nie mógł tracić czasu. Chciał jak najprędzej osiągnąć Amanu, a stamtąd uciec na Tahiti i do Stanów. Taki był przynajmniej jego zamiar. Ale co sobie wyobraził szkatułkę Vasariego w brudnych rękach starego Rosenbauma, handlarza z Frisco, robiło mu się słabo.

Tej nocy zostawił Krystynę w spokoju. Sam czuwał nad statkiem, to sterując, to objając się po kajucie, w której trzymał w skrzyni swój skarb. Świadomość, że zmarły towarzyszy mu na każdym kroku, nie pozwalała mu zmrużyć oka. Nie miał chwili wytchnienia, chwili spoczynku. Kanakowie zaniepokojeni jego zachowaniem szeptali między sobą. Spostrzegł ich wystraszone spojrzenia i patrząc bystro na Kuahe sklął ich tak, że się pochowali.

„San Juan” odsunął się daleko od lądu — nie było sensu lawirować między niebezpiecznymi rafami — opłynął wschodni cypel groźnej wyspy i ze wschodem słoń i pozegłował na północny wschód. Dziób statku pruć pracowicie fale, a Treherne odetchnął. Światło dnia przepłoszyło z jego duszy upiorne obawy. Krystyna wyszła na pokład, blada jak papier, ale z podniesioną głową. Spojrzał z uznaniem na jej postać w szkarłatnej sukni, z obcisłym stanikiem i fałdzista spódnicą. Przypomniawszy sobie dziewczynę, od której kupił ten strój. Miriam jej było na imię. Ładna była. Uśmiechała się, gdy on z Lambertem... Z Lambertem...

Krystyna przechodząc nawet na niego nie spojrzała. Zobaczył, że rozgląda się po morzu, oszołomiona, z rozchyłonymi trwożnie ustami.

— Myślisz, że Blaize pogoni za tobą w pław? — zapytał grubiańsko.

Nie odpowiedziała.

— Zostawiliśmy Takunai za rufą — dodał. — Płyniemy na Amanu.

— Na Amanu!

— Tak — mówił nie spuszczać z niej oczu. — Jeżeli spotkamy wracającego „Kulika”, to zmów pacierz za grubego Haggerty'ego i za tego blondyna. Będą tego potrzebowali.

— Nie wiem jeszcze, co się stało z Lambertem — rzekła Krystyna. — Jak to było?

— Co ci do tego? — odwarknął.

Odwrócił się. Kanak na maszcie zasłaniał oczy przed słońcem. Treherne'a uderzyło coś w jego bacznej postawie.

— Hej tam, na górze! Co widzisz? Rekin?

— Widzieć, widzieć ona statek, ona żaglowiec, Tereherini!

— Łżesz!

— Widzieć — powtórzył z uporem Kanak.

— Boże! — rzekł Treherne. — Czyżby „Kulik”? Ale czemu od razu „Kulik”? Ech, nie. Tędy chodzi mnóstwo statków.

Ale tak nie było i Treherne o tym wiedział. Wiedział, że żeglarze unikali Houtenów, jakby to była kolonia trędowatych. Ale jeżeli to „Kulik”, jeżeli Haggerty z Carrollem gonią go... Nie, dlaczego od razu „Kulik”?

Blaize... Jeszcze z nim nie skończył. Choć go ogłuszył i powalił, choć go zostawił na Takunai, wiedział, że z nim nie koniec. Powinien był poczęstować go na rozstanie kulą, ale jakoś mu się przejadło zabijanie.

Treherne rozpiął więcej żagli, wrzeszczał na uwijających się . Kanaków, sam ciągnął liny jak oszalały. Jednak obcy statek zdawał się nadrabiać odległość. Treherne zaczął odczuwać ze zmęczenia zawroty głowy. Zapomniał o Krystynie, zapomniał o zmarłym Lambercie. Przestał wątpić, że to „Kulik” sunie za nim tak uporczywie.

Minęło południe. Słońce zaczęło się zniżać. Treherne myślał:

— Niech się tylko ściemni, to im ucieknę. Nie zapalę świateł, to mnie stracą z oczu.

Zapadał szary zmierzch. Treherne'a ogarnęło radosne podniecenie. Na pewno w nocy zdoła zgubić te dalekie złowieszcze żagle. Zaczął obliczać czas, wiatry, okoliczności. Ale zapomniał o sobie.

Przekonał się, że nie wytrzyma w ciemnościach. Początkowo walczył z sobą, próbował opanować strach przed duchem Lamberta. Ale nie dał rady. W ustach mu zasychało, dłonie potniały. Krzyknął o światła. Czerwono-zielone błyski na maszcie, latarnie pokładowe dodały mu otuchy. Szaleństwo! Tak, szaleństwo! Wzruszył ramionami. Co ma być, to będzie. Z żywymi mógł się mierzyć, ale nie z umarłymi.

Powierzył ster doświadczonym rękom swojego najlepszego Kanaka, nurka Keluti i zszedł na dół. Jeżeli się nie prześpi z godzinę, będzie do niczego. Ale gdzie jest Krystyna? Niech ją diabli, teraz nie może jej szukać. Drzemał nad wieczerzą, a potem usnął tak, jak siedział, z rękami na stole.

Keluti tymczasem dzielnie się wywiązywał ze swego zadania. Ale i on był zmęczony i, jak w ogóle Kanakowie, bał się ciemności i nie znanych wód. Na

pokładzie panowała cisza. Załoga, pod nieobecność kapitana, zaniechała wachty. Keluti słyszał od forkasztelu stłumione śmiechy. Przełknął niespokojnie. E! Tereherini niedługo się pokaże. Posłać po niego nie miał odwagi. Obudzić Treherne'a! Był to czyn nie na odwagę Kanaków.

Pojękiwania wiatru, niespokojne morze, ciemności.

Keluti zaczął drzeć. Jak ten wiatr dziwnie świszczę! Biali mówią, że morscy topielcy siadają o północy na rejach i zawodzą pieśni. A jeżeli Lamibeti, którego pożarł rekin, chciałby się wdrapać na pokład?

Ktoś szedł cicho przez pokład. Keluti o mało nie zapłakał z ulgi.

— Kerisitini!

— Spokojnie — powiedziała Krystyna.

Światło kołyszących się latarń padało na szkarłatne fałdy jej sukni. Wystraszonemu Kanakowi wydawała się w swojej wyniosłej piękności boginią.

— Ona Tereherini spać — oznajmił. — Kerisitini nie spać?

— Nie.

— Zostać tu? — zapytał nieśmiało Keluti.

Krystyna zastanowiła się chwilę, przystąpiła bliżej, wyciągnęła ręce do koła, na którym spoczywały brązowe palce. Keluti zrozumiał. Z westchnieniem ulgi oddał jej ster. Wszyscy Kanakowie od Degas po Les Aves wiedzieli o jej żeglarskiej sprawności. Jeżeli Kerisitini steruje, to statek jest bezpieczny...

Rozdział trzeci

„Kulik” doganiał „San Juana”. Haggerty sterował z taką furją, że Blaize zagwizdał, a Carroll rzekł: — Nie zatop nas, bracie!

Nie pojmowali, dlaczego „San Juan” zwolnił. Widzieli, że chwieje się i waha, jakby czekał, żeby się z nim zrównali. Trwało to półtorej godziny. Potem znów porwał się jak koń, gdy go podciąć batem.

Ale już teraz „San Juan” nie mógł ujść nieprzyjacielowi. Na próżno rozwścieczony Treherne wysiłał się przy sterze i grzmiał na przerażonych Kanaków. Gdy, przespawszy się, wylazł na pokład, na pół pijany od snu i whisky, której łyknął, żeby zapomnieć o Lambercie, zastał Krystynę przy kole. Jakże się przeraziła jego twarzy! Odepchnął ją bez słowa i sam chwycił za ster rękami rozdygotanymi z pasji. Mimo to Krystyna triumfowała w duszy. Czy już nie zdążą ujść pogoni? Czy „Kulik” ich teraz doścignie?

Skulona na rufie śledziła zbliżające się światła ścigającego statku. Treherne źle steruje. Niecierpliwi się.

Krystyna wstała. Pokład chybotął się i przechylał. Ciśnięta na słupek, uczepiła się mocno, żeby nie upaść. Treherne wykręcał „San Juana” w odwrotnym kierunku.

Stracił panowanie nad sobą. W głowie dzwoniły mu słowa, które słyszał przed laty na Degas z ust starego wariata: „Zdarza się, że nie ma innej rady, jak wziąć się za łby.”

Wykręcając statek Treherne mówił sobie, że stary miał słuszność, że nie ma innego wyjścia jak walka. I po cóż miałby uciekać przed tymi korsarzami? Czy mają go ganiać po całym Pacyfiku? Dosyć się bawił w zająca. Czy ten Blaize jest na pokładzie „Kulika”? Jeżeli tak, to niech idzie na dno razem z tamtymi.

Krystyna stanęła obok steru. Treherne zobaczył w migocącym świetle jej suknię, szarpaną wiatrem i oblepiającą mocno ciało. Ale rzucił jej tylko przelotne spojrzenie.

— Co robisz? — usłyszał jej głos. — Co robisz? Zamiast odpowiedzi zaśmiał się dziwnie.

— Dlaczego walisz na „Kulika”? — zapytała niby to od niechcienia, ale Treherne pochwycił strach w głosie. Nie patrząc na nią rzekł:

— Chytra jesteś, jak wszyscy diabli. Ja spałem, a tyś zatrzymała statek. Chciałaś, żeby zdążyli nas dogonić, co? Chciałem się odczepić od „Kulika”. I byłbym to zrobił. Jaki byłem głupi, że zaufałem Kelutiemu. Jutro sprawię mu łaźnię... Dlaczego lecimy na „Kulika”? Żeby go rozbić.

Więcej na nią nie zważał. Całkowicie pochłonięty swoim strasznym zamiarem dopóty lawirował, dopóki nie wycelował dziobem „San Juana” w burtę „Kulika”. Ciszę przerywał tylko świst wiatru i pluskanie fal. Kanakowie milczeli. Krystyna umilkła. Treherne wyciągnął szyję i nozdrza mu drżały z podniecenia, a usta trzęsły się. Już czuł w sobie szal bitwy. Czekaj, Blaize! Czekaj!

Już teraz rozróżniał postać wroga. Wysoki cień, przewyższający inne, do kogóż mógł należeć jak nie do Blaize'a? „Kulik” był w strachu. Wykręcał się gwałtownie, żeby uniknąć tej szalonej szarzy. Ale Treherne przewidział te rozpaczliwe manewry. Położył ster na lewą burtę i leciał na „Kulika”, rzucającego się jak dziki zwierz w sieci.

Huknął strzał. Kula trafiła z trzaskiem w drzwi kabiny pokładowej. Drugi strzał, trzeci, czwarty. Jeden Kanak dostał postrzał w ramię. Treherne wrzasnął na Krystynę:

— Schowaj się. Pod pokład! I nachylił się nad sterem.

Statki były już niebezpiecznie blisko. Piana spryskała mu rękę, taka zimna, że zadrżał. Morze... zacząjone... morze...

Nowy strzał. Położenie zaczynało być groźne. Ale Treherne nie miał zamiaru się cofać. „Kulik” nie mógł mu ujść. Przetnie go na dwoje! Uderzy jak taranem, rozpruje drewniane wiązania, zgruchocze, zatopi. Już jeden statek zniszczył

Blaize'owi, teraz zniszczy drugi. „Kulik” zapadnie się w czarne wiry z załogą, ze wszystkim. Niech ginie!

Usłyszał krzyk Krystyny i wrzaski Kanaków. Usłyszał wrzawę z pokładu „Kulika”, gdzie wszyscy stanęli do walki.

Krystyna widziała Blaize'a. Widziała wszystko. Haggerty sterował z twarzą zastygłą w maskę śmierci. Krystyna spojrzała na Treherne'a. Patrzył prosto przed siebie i w jego oczach czaił się obłęd. Cała jego krępa postać wyrażała nieugięty zamiar. Usta zacięły się z wyrazem okrucieństwa. „Kulika” nie uratuje ani zręczność Haggerty'ego, ani celne oko Carrolla.

„Kulik” usiłował wyminąć „San Juana”. Ale czy to było możliwe? Treherne dobrze obliczył manewr. Niecałe trzy minuty i wpadną na siebie. Krystyna miała uczucie, że ciało jej staje się ciężkie jak ołów. Słyszała, że Blaize ją woła, lecz sama nie mogła poruszyć ustami.

Raptem odezwała się w niej krew Allena. Z przytomnością umysłu, która budzi się czasem w człowieku w chwili wielkiego niebezpieczeństwa, zrozumiała, co trzeba zrobić. Podeszła spokojnie do steru. „Kulik” był tuż-tuż.

Zawisła całym ciężarem na ramieniu Treherne'a. Mimo jego wysiłków ster uskoczył w bok. Treherne odrzucił ją, ale już było za późno. „San Juan” zboczył chwiejnie i nim odzyskał pozycję, „Kulik” wyminął go przed samym dziobem w odległości trzech stóp.

Na pokład „San Juana” spadł z trzaskiem bosak. Statki zakołysały się. Lina naciągnęła się, ale wytrzymała. Mroki nocy wypełniły się chrzęstem lin, zgrzytem żelaza i trzaskiem drzewa. Statki zwarły się burta w burzę.

Blaize pierwszy przeskoczył pokład „San Juana”. Carroll biegł za nim, a za Carrollem sześciu Kanaków, zwinnych jak pantery, pochylonych na wypadek strzelaniny. Treherne obrócił twarz ku nieprzyjacielowi. W migotliwym świetle latarń twarz jego skurczyła się w srogi grymas. Ręce miał pewne. Zbierał się w sobie do ostatniego spotkania z Blaize'em. Ten już przysiadł do skoku. Treherne strząsnął z czoła mokry wiecheć czarnych włosów i ruszył naprzód.

CZĘŚĆ DZIEWIĘTNASTA

Rozdział pierwszy

Walka rozegrała się na pokładzie „San Juana”. Blaize był wyższy, Treherne za to niewzruszony jak skała, dzięki czemu często wychodził z walk zwycięsko. Teraz był zagrożony, bo go przyparto do muru. Jeżeli nie pokona tego olbrzyma ze śmiercią w oczach, to sam zginie. Wyrzucą go przez burtę w zieloną otchłań. Zadrzał. Dawna trwoga ożyła, strach przed wodą, strach, który przyszedł z nienacką przed laty i nigdy go odtąd nie opuścił.

Kanakowie wrzeszczeli jak opętani. Związano statki razem i bitwa szalała na obu pokładach. Brązowe postacie podrywały się, padały, wstawały i zataczając się znów nacierały. Treherne'owi mignęli Carroll z Haggertym i serce w nim omdlało. Jak da radę trzem?

Ale nie było czasu myśleć. Blaize już go atakował szybkimi, ostrymi ciosami, które Treherne odparowywał bez trudu. W słabym świetle przesuwali się po pokładzie ich cienie. Treherne czaił się ostrożnie, bacząc na olbrzymie pięści przeciwnika. Blaize obserwował Treherne'a, wypatrując stosownych do natarcia momentów. Teraz — teraz! Zadał prawym sierpowym cios tak chytry a niespodziewany, że Treherne zatoczył się w tył, pokaszując. Manua przytrzymał swego pana za barki. Treherne odepchnął go i ruszył chwiejnie do ataku.

Początkowo stapał wolno. Blaize przysiadł w cieniu masztu, lecz zaskoczony nagłym wypadem Treherne'a, nie zdołał się uchylić i od strasznego razu zakołysał się na nogach. Zwarli się instynktownie. Blaize odrzucił z wysiłkiem nieprzyjaciela, ale tylko na chwilę. Treherne znów gnał na niego z pochyloną głową. Oplótł dyszącego Blaize'a muskularnymi ramionami, jakby go opasał postronkami.

Blaize na próżno usiłował się oswobodzić, Treherne trzymał nieprzyjaciela nie zważając na grad razów, spadających na jego nie osłonięte ramiona. Czuł pod rękami miotającego się Blaize'a i pochylał się z całej siły zaciskając ramiona. Mogło się zdawać, że Blaize'owi żebra popękają. Podniósł olbrzymią prawą pięść i spuścił na Treherne'a jak młot. Treherne załamał się. Myślał, że mu krzyż pękł. Puścił.

Blaize nabrał z rzeżeniem powietrza w udęczone płuca. Ranny Kanak potoczył się po pokładzie i towarzysz odciągnął go w bezpieczne miejsce. Blaize podniósł knykcie do ust. Ręce miał starte do krwi. Światła pokładowe tańczyły mu przed oczyma. Czuł w nozdrzach krew.

Błysk szkarłatu koło kabiny. Krystyna!?! Nie ma czasu myśleć o Krystynie. Blaize patrzył na Treherne'a — łotra, który zabił Allena i spalił „Meduzę”. Tak, Treherne i teraz chce go zabić. Niech naciera. Niech próbuje.

Ruszyli ku sobie. Stąpali bezgłośnie bosymi stopami, jak czające się pantery. Treherne udał, że atakuje i pierwszy zadał cios. Blaize, trafiony w starą bliznę, wrzasnął z bólu. W odwecie wyciął Treherne'a w nagą pierś knykciami. Gdy cofnął rękę, była mokra od krwi. Treherne zasłonił się ramionami. Blaize odskoczył w prawo.

Kanakowie uciekli. Ci, którzy zostali przy życiu i mogli się utrzymać na nogach, przyglądali się walce swoich panów. Ktoś porwał latarnię i podniósł wysoko. To Carroll — Carroll im przyświeca. Nozdrza rozdymają mu się z podniecenia. Sam nie wie, że przeklinając cicho zachęca przyjaciela do walki. Krystyna stoi koło kabiny oparta o Haggerty'ego. Dysząc szybko obserwuje udane ataki, parowanie, pchnięcia i uniki. Haggerty chciał ją wyprowadzić, ale go odepchnęła.

Treherne miał przeciętą wargę i krew spływała mu na piersi ciemną strugą. Splunął w dłonie. Następny cios trafił Blaize'a w brodę. Blaize zachwiał się, ale odzyskał równowagę. Łzy bólu i wściekłości przesłoniły mu widok.

W jego mózgu dojrzywał plan. By go wykonać, musiał się zewrzeć z Treherne'em. Zaczął się przysuwać, uchylając się przed prawym przeciwnikiem. Zanim Treherne zdążył się wyprostować, Blaize przysiadł z zamiarem pochwylenia go za uda. Treherne chciał uskoczyć i nie zdążył. Blaize objął go błyskawicznie i już zmagali się w strasznej walce na śmierć i życie.

Treherne utracił siły. Na próżno wypręzał się i bił Blaize'a po opasujących go ramionach. Poczul, że unosi się w powietrze. Chwilę tak wisiał opierając się rozpaczliwie. Wkrótce znalazł się jeszcze wyżej, z twarzą na poziomie latarni, którą trzymał Carroll. Blaize cisnął nim o pokład. Treherne chwilę leżał ogłuszony. Nim zdążył ochłonąć, straszne ręce wroga ogarnęły go znów i zaczęły podnosić ...

Znów uderzył o pokład.

Chciał krzyknąć, ale z posiniaczonych ust nie wyszedł żaden dźwięk. Całe ciało drgało w męce. Ostatkiem sił zerwał się chwiejnie na nogi i puścił kulawym biegiem ku półkolu postaci, które się przed nim rozstępowały. Ale jedna zastąpiła mu drogę. Zobaczył nieruchome, wpatrzone w siebie, niebieskie oczy. Wrzasnął:

— Lambert!

Zawrócił w trwodze prosto na burtę. Każdy krok przyprawiał go o męki, mimo to nie mógł się zatrzymać; za nim Blaize, przed nim morze. Serce tłucze

się rozpaczliwie o zebra. Nie mogę już walczyć — przemknęło mu przez myśl. Nie pozostawało nic innego, jak szukać bezpiecznego miejsca. Z rej, z mrocznego masztu spływała na niego ukradkiem cicha groza. Stał chwiejąc się na nogach. Co to wszystko znaczy? — zadał sobie pytanie. — Co się dzieje?

Boże! Blaize znów nadchodzi. Treherne nie może mu już stawić czoła. Czuje, że kolana się pod nim uginają. Posuwał się kulawo w stronę burty skowycząc jak wilk, który ciągnie do legowiska, żeby zdechnąć. Chciał krzyknąć, błagać o miłosierdzie, o litość, on, który nigdy nie miał dla nikogo litości. Jak to możliwe, żeby miał już umrzeć? Jak to możliwe, żeby miał stanąć przed gniewnym zastępem umarłych?

Blaize chwycił go za gardło. Silne, nieubłagane ręce objęły grubą opaloną szyję Treherne'a.

Zdobył się na ostatni wysiłek. Cudem porwał się na nogi i zamachnął na oślep, żeby uderzyć w pochyloną twarz przeciwnika. Ale nie sięgnął. Odzyskał głos. Urywany, chrapliwy wrzask buchnął w ciemność. Krystyna zatkała uszy.

Burta. Treherne odsunął się dalej na pokład. Nawet w tej ostatecznej chwili mniej był mu straszny Blaize, niż wzburzone morze. Ale daremnie się trudził. Blaize pchał go właśnie na burtę. Treherne wpadł na twarde drewno.

Śmierć i morze! Wiedział od lat, że mu to było sądzone, że zginie od morza.

Coś go uderzyło w twarz. Zatoczył się w tył. Wszystkie gwiazdy niebios ujrzał nagle przed oczami. Leciał w przepaść...

Blaize przechylony przez burtę, ocierał krew z twarzy i wypatrywał wśród fal człowieka, którego rzucił do wody. Całe ciało go bolało. W piersiach dziwnie kłuło. Pomścił Allena i pomścił „Meduzę”. Wróg, od którego tyle wycierpiał, spoczął na wieki w morskiej toni, która tak długo na niego czyhała.

CZĘŚĆ DWUDZIESTA

Rozdział pierwszy

„Kulik” płynął na północ. Za nim żeglował „San Juan” pod komendą Haggerty'ego. Mieli zamiar zabrać zdobycz na Degas, gdzie ludzie nie lubią zadawać natrętnych pytań, i uwiązać miotłę do masztu na znak, że „San Juan” jest na sprzedaż. Na wszelkie dochodzenia mieli gotową odpowiedź, że znaleźli go na morzu bez załogi. Kanakom Treherne'a, z których pięciu zostało przy życiu, dano do wyboru, że albo będą milczeć, albo zostaną przewiezieni na wschód na osławioną wyspę Panguan na plantacje wanilii.

Prędko przenieśli swoją lojalność na człowieka, który pokonał groźnego Tereherini. Haggerty ofiarował im miejsca wakujące na „Kuliku” po poległych. Zgodzili się ochoczo. Carroll rzucił im kilka cegiełek tytoniu i kazał wydzielić po racji marynowanej wołowiny.

Sprawa była rozstrzygnięta. Oba statki wzięły kurs na północ. Blaize pozwolił się obmyć, okleić plastrami i natrzeć oliwą, po czym usnął kamiennym snem. Obudził się bardzo cichy i spokojny. Nawet cudna szkatułka Vasarięgo nie skłoniła go do mówienia.

Postawili ją w głównej kajucie „Kulika” na stole, umocowanym klamrami do masztu i podłogi. Carroll zdjął owijaki i promień słońca z iluminatora padł na Bellerofonta wspinającego konia. Krystyna, pełna podziwu, obracała złote cudo na wszystkie strony. Blaize, wsparty o wielką skrzynię, nie spuszczał oczu ze swojej ukochanej.

Teraz gdy Treherne nie żył i walka dobiegła końca, czuli się dziwnie wobec siebie skrepowani. Unikali nawzajem swoich oczu i nie kwapili się do rozmowy. Początkowo radość z dopełnionej zemsty pochłaniała ich całkowicie. Ale gdy życie na pokładzie unormowało się, przypomnieli sobie to, co między nimi zaszło na Takunai. Blaize, co spojrzał na Krystynę, myślał, że już ją przecież miał w ramionach. Chyba nie zapomniała, że dała mu nadzieję na chwilę przedtem, nim Treherne ze swoimi Kanakami zburzył groźnym zgiełkiem czarodziejską leśną ciszę?

Krystyna wyprostowała się z lekkim westchnieniem. Zrzuciła szkarłatne jedwabie i miała na sobie jak zwykle spodnie i fałdzisty żakiet. Blaize'owi wydawało się, gdy ją znów zobaczył w tym ubiorze, że spotkał dawno nie widzianego przyjaciela. Niebieski kolor bluzy sprawiał, że oczy jej wydawały się głębokie i błękitne. Męski koszulowy krój kołnierza uwydatniał miękkie kobiece zarysy szyi. Wdzięk postaci przebijał w każdym ruchu.

— To Pegaz — mówiła. — Wiesz o Pegazie? Patrz, tu na wieku.

Widząc po drżących rękach, że jest zdenerwowana, zapytał zupełnie mimo woli:

— Co ci jest?

— Nic.

Ale głos jej drżał; to mu dodało odwagi:

— Krystyno.

— Słucham?

Stała nieruchomo, wpatrzona w świecącą złotą szkatułkę. Przez otwarty luk dolatywał śpiewny głos Carrolla, zajętego przy żaglach. Blaize przysunął się do Krystyny tak blisko, że zetknęli się ramionami.

— Ten — pokazał głową — nie zawrócił ci w głowie?

— Nie.

— Szczerze mówisz?

— Czy mam powtarzać sto razy?

— Na Takunai — wyjaśniał Blaize — wszystko się nam pokręciło. Powiedziałaś mi tam na skale...

Krystyna stanęła w ogniu rumieńców.

— Czy ci się zdaje, że ja raz tak, a raz tak?

Spojrzała na niego, a jemu od tego spojrzenia zrobiło się gorąco.

— Kochasz? — zapytał zduszonym głosem.

Nie odpowiedziała. Objął ją wpół i pocałował w usta.

Długo tak trwali milcząc, jakby w trwodze przed szczęściem. Wreszcie Krystyna uniosła uśmiechniętą twarz znad jego ramienia.

— Wiesz, będziemy mieli piekielne życie — rzekła proroczo. — Ja jestem zapalczywa i tyś w gorącej wodzie kąpany. Ale mam dosyć kapitaństwa. Powiedziałaś kiedyś, że kobiety zawsze narobią bigosu, gdy chcą rządzić. Nie zgadzam się z tym zdaniem, chociaż...

Przyciskając ją do siebie zagłębił usta w lśniące czarne włosy. Czuł pod ręką silne, równomierne bicie jej serca. Trzymał w objęciach kobietę, która miała go obdarzyć spokojem wyższym nad wszelkie pożądanie.

Treherne nie żył. John Allen mógł spać spokojnie wśród palm na Pararze. Za to przed tymi dwojgiem otwierało się życie, do którego rwali się niecierpliwie.

Blaize odetchnął głęboko słonym powietrzem i odrzuciwszy w tył głowę wybuchnął śmiechem.

— Będziemy szczęśliwi! — zawołał.

— Będziemy szczęśliwi! — zawtórowała Krystyna...

